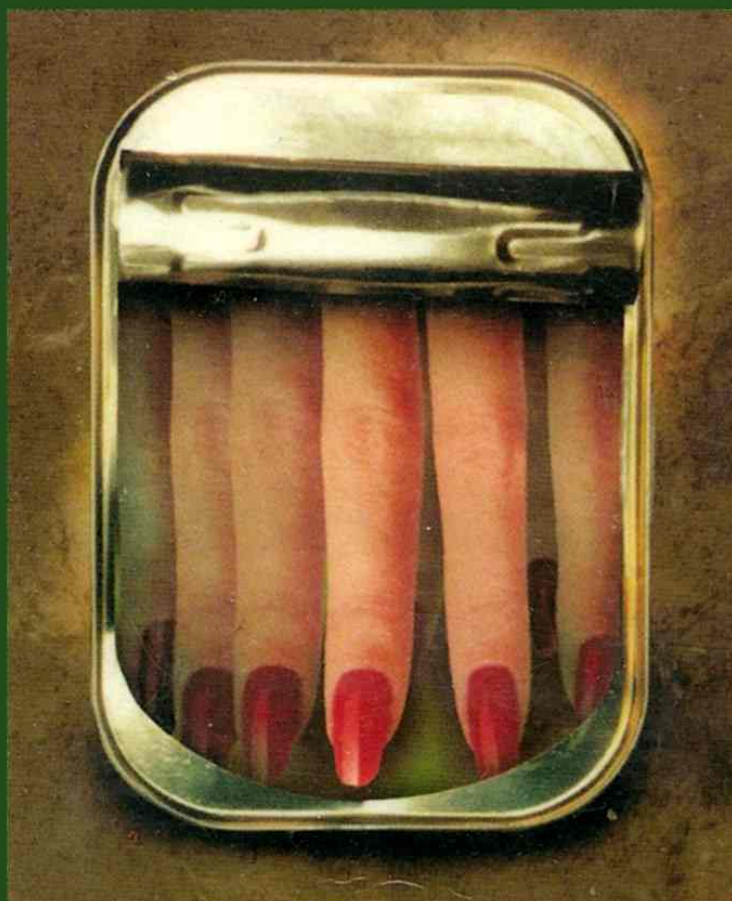


GALERIA

AMÉLIE NOTHOMB

HIGIENA MORDERCY



GALERIA

AMÉLIE NOTHOMB HIGIENA MORDERCY

Przełożyła
JOANNA POLACHOWSKA



Warszawskie Wydawnictwo Literackie
MUZA SA

G A L E R I A

Kiedy stało się rzeczą powszechnie wiadomą, że pisarz Prétextat Tach za dwa miesiące umrze, dziennikarze z całego świata zaczęli zabiegać o prywatne wywiady z osiemdziesięcioletkiem. Starzec bezsprzecznie cieszył się wielkim prestiżem, niemniej zdumiewające było to, że do wezłowania frankofońskiego pisarza spieszą wysłannicy tytułów tak znanych – pozwoliliśmy sobie je przytoczyć – jak „Echa Nankinu” czy „The Bangladesh Observer”. Tym sposobem na dwa miesiące przed śmiercią Prétextat Tach miał okazję przekonać się o zasięgu swojej sławy.

Jego sekretarz wziął na siebie zadanie przeprowadzenia surowej selekcji napływających propozycji: odrzucił wszystkie dzienniki obcojęzyczne, ponieważ umierający mówił tylko po francusku i nie miał zaufania do żadnych tłumaczy; odprawił z kwitkiem reporterów kolorowych, gdyż z wiekiem pisarz zaczął wygłaszać rasistowskie opinie, stanowiące niemiły rozdzźwięk z jego dogłębnymi przekonaniami – zakłopotani taszyści upatrywali w tym przejaw starczej żądz szokowania – i wreszcie uprzejmie utracił zakusy ze strony telewizji, magazynów kobiecych, dzienników uchodzących za zbyt upolitycznione, a już zwłaszcza czasopism medycznych, które chciały się dowiedzieć, jakim sposobem ów wielki człowiek nabawił się tak rzadkiej odmiany nowotworu.

Prétextat Tach nie bez pewnej dumy przyjął do wiadomości, że zapadł na groźny syndrom Elzenveiverplatza, pospolicie nazywany „rakiem chrząstki”, odkryty przez pewnego uczonego – od którego wziął swoją nazwę. Jedyne przypadki tej choroby odnotowano w XIX w. w Kajennie u kilkunastu przestępców odsiadujących kary za zabójstwa na tle seksualnym. Potraktował tę diagnozę jako rodzaj nieoczekiwanej nobilitacji; będąc człowiekiem monstrualnie grubym, mającym wszystkie cechy eunucha oprócz głosu, bał się, że przyjdzie mu umrzeć na jakąś idiotyczną chorobę serca. Sporządzając własne epitafium, nie omieszkał wymienić nazwiska teutońskiego lekarza, któremu zawdzięczał tak piękny sposób rozstania się ze światem.

Prawdę mówiąc, współczesną medycynę zdumiewał już sam fakt, że ten prowadzący siedzący tryb życia grubas w ogóle dożył wieku lat osiemdziesięciu trzech. Był tak otyły, że już od dawna, jak utrzymywał, nie mógł się poruszać o własnych siłach; lekceważąc całkowicie zalecenia dietetyków, odżywił się w sposób karygodny. Mało tego, wypalał po dwadzieścia cygar dziennie. Pił jednak z umiarem i od niepamiętnych

czasów żył w celibacie; tym tylko lekarze próbowali tłumaczyć prawidłowe funkcjonowanie jego otłuszczonego serca. Niemniej nadal pozostawało tajemnicą, że w ogóle żyje, oraz pochodzenie choroby, która miała położyć temu życiu kres.

Nie było takiego organu prasowego na świecie, który by nie oburzał się na atmosferę sensacji, rozpetaną przez media wokół jego rychłej śmierci. Owa samokrytyka znalazła szeroki oddźwięk w listach od czytelników. Co nie zmienia faktu, że zgodnie z prawami współczesnego przekazu informacji oczekiwano bardziej niż niecierpliwie na reportaże nielicznych dziennikarzy-wybrańców.

Biografowie zachowywali ostrożność. Wydawcy zbroili swoje zastępy. Znalazło się też oczywiście paru intelektualistów, zadających sobie pytanie, czy ów niebywały sukces nie jest przypadkiem wyolbrzymiony czy Prétextat Tach był rzeczywiście innowatorem? Czy może tylko zręcznym epigonem innych, nieznanych twórców? I na poparcie swoich przypuszczeń cytowali kilku autorów o enigmatycznych nazwiskach, których utworów nigdy nie czytali, co nie przeszkadzało im omawiać z wielką wnikliwością ich dorobku.

Wszystkie te czynniki przyczyniły się do nadania tej agonii niebywałego rozgłosu. Jednym słowem – prawdziwy sukces.

Pisarz, mający w dorobku dwadzieścia dwie powieści, zamieszkiwał parter skromnej kamienicy; potrzebne mu było mieszkanie, w którym wszystko znajdowało się na jednym poziomie, ponieważ poruszał się w fotelu na kółkach. Mieszkał sam, nie miał żadnego zwierzęcia domowego. Codziennie o piątej po południu pewna niezwykle energiczna pielęgniarka przychodziła go umyć. Nie zniósłby jednak, gdyby go wyręczano przy robieniu zakupów; sam zaopatrywał się we wszystko w okolicznych sklepach. Jego sekretarz, Ernest Gravelin mieszkał cztery piętra wyżej, ale na ile było to możliwe, starał się unikać bezpośrednich kontaktów; regularnie do niego dzwonił, Tach zaś nigdy nie omieszkał rozpocząć rozmowy słowami: „Przykro mi, drogi Erneście, ale wciąż żyję”.

Mimo to wyselekcjonowanym przez siebie dziennikarzom Gravelin powtarzał, że ten stary człowiek ma w gruncie rzeczy złote serce: czyż nie przekazywał corocznie połowy swoich dochodów fundacji dobroczynnej? Czy tej zakamuflowanej szlachetności nie wyczuwa się u niektórych bohaterów jego powieści? „To fakt, terroryzuje wszystkich, a mnie przede wszystkim, twierdzą jednak, że jego agresywna maska to tylko kokieteria: lubi odgrywać rolę beznamiętnego, okrutnego grubasa po to tylko, by ukryć swoją wielką

wrażliwość”. Wypowiedzi sekretarza nie dodały jednak otuchy reporterom; zresztą wcale nie pragnęli ukoić swoich obaw, gdyż ten strach, którego im wszyscy zazdrościli opromieniał ich bez mała nimbem korespondentów wojennych.

Wiadomość o spodziewanej śmierci podano dziesiątego stycznia. Czternastego stycznia przed oblicze pisarza dopuszczony został pierwszy dziennikarz. Mieszkanie, do którego wszedł, było tak ciemne, że dopiero po pewnym czasie dostrzegł pośrodku salonu otyłą postać w fotelu na kółkach. Grobowy głos osiemdziesięciolatka poprzestał na neutralnym „Dzień dobry”, obliczonym na dodanie mu kontenansu, przez co nieborak poczuł się jeszcze bardziej spięty.

– Niezmiernie się cieszę z powodu tego spotkania, panie Tach. To dla mnie wielki zaszczyt.

Magnetofon był włączony w oczekiwaniu na słowa starca, ten jednak milczał.

– Bardzo przepraszam, panie Tach, czy mógłbym zapalić światło? Nie widzę pańskiej twarzy.

– Jest dziesiąta rano, proszę pana, nie zapalam światła o tej godzinie. Zresztą wkrótce mnie pan zobaczy, gdy tylko pański wzrok nawyknie do ciemności. Proszę wykorzystać tę chwilę zwłoki i podelektować się moim głosem, czyli tym, co we mnie najpiękniejsze.

– Faktycznie ma pan piękny głos.

– Tak.

Cisza, deprymująca dla intruza, który zapisał w notatniku: „Sarkastyczne milczenie T. Na ile da się, unikać”.

– Panie Tach, cały świat podziwiał stanowczość, z jaką odmówił pan udania się do szpitala, mimo zaleceń lekarzy. Nasuwa się więc pierwsze pytanie: jak pan się czuje?

– Czuję się tak samo, jak przez ostatnich dwadzieścia lat.

– To znaczy?

– Czuję niedosyt.

– Niedosyt czego?

- Niedośyt.
- Ach tak, rozumiem.
- Moje gratulacje.

Żadnej ironii w niewzruszenie neutralnym głose chorego. Dziennikarz uśmiechnął się niewyraźnie, po czym podjął:

– Panie Tach, z człowiekiem takim jak pan nie będę uciekał się do eufemizmów tak przyjętych w moim zawodzie i pozwolę sobie zapytać wprost, jak wyglądają myśli i samopoczucie wielkiego pisarza, który wie, że niedługo umrze.

Cisza. Westchnienie.

- Nie wiem.
- Nie wie pan?
- Gdybym znał własne myśli, sądzę, że nie zostałbym pisarzem.
- Chce pan przez to powiedzieć, że pisze pan, by dowiedzieć się, o czym pan myśli?
- Niewykluczone. Zresztą nie mam pojęcia, od tak dawna już nie piszę.
- Jak to? Przecież pana ostatnia książka ukazała się przed dwoma laty...
- Opróżnianie szuflad, drogi panie. Moje szuflady są tak wypełnione, że jeszcze przez następnych dziesięć lat po mojej śmierci można by wydawać co roku nową powieść.– Niesłychane! Kiedy przestał pan pisać?
- W wieku pięćdziesięciu dziewięciu lat.
- Czyli że wszystkie powieści wydane w ciągu ostatnich dwudziestu czterech lat to opróżnianie szuflad?
- Dobrze pan liczy.
- A w jakim wieku zaczął pan pisać?
- Trudno powiedzieć: wielokrotnie zaczynałem i przestawałem. Początkowo, jako sześciolatek pisałem tragedie.
- Sześciolatek i tragedie?

– Tak, wierszem. Idiotyczne. W wieku lat siedmiu przestałem. Mając dziewięć lat, dopuściłem się recydywy, co zaowocowało kilkoma elegiami, również wierszowanymi. Gardziłem prozą.

– Zdumiewające wyznanie w ustach jednego z największych prozaików naszych czasów.

– W wieku lat jedenastu znów przestałem i do osiemnastego roku życia nie napisałem ani jednej linijki.

Dziennikarz zapisał w notesie: „T. łyka komplementy bez zmrużenia oka”.

– W wieku lat osiemnastu znów zacząłem. Najpierw pisałem niewiele, później coraz więcej. Mając dwadzieścia trzy lata, osiągnąłem swoje optymalne tempo i utrzymałem je przez następne trzydzieści sześć lat.

– Co pan rozumie przez „optymalne tempo”?

– Ze tylko to robiłem. Pisałem bez przerwy; oprócz jedzenia, spania i palenia niczym innym się nie zajmowałem.

– Nigdy pan nie wychodził?

– Tylko, jeśli musiałem.

– Nikt właściwie nie wie, co robił pan podczas wojny.

– Ja też nie.

– Trudno mi w to uwierzyć.

– Taka jest prawda. W okresie między dwudziestym trzecim a pięćdziesiątym dziewiątym rokiem mojego życia wszystkie dni były do siebie niezwykle podobne. Z tych trzydziestu sześciu lat pozostało mi jedno długie, jednostajne i właściwie pozbawione wszelkiej chronologii wspomnienie: wstawiałem, żeby pisać; kiedy skończyłem pisać, kładłem się spać.

– Ale przecież przeżył pan wojnę, tak jak wszyscy. W jaki sposób na przykład zdobywał pan żywność?

Dziennikarz zdawał sobie sprawę, że dotyka w tym momencie najważniejszej sfery życia grubasa.

– Rzeczywiście, przypominam sobie, że marnie w tamtych latach jadałem.

- No, widzi pan!
- Ale to mi nie przeszkadzało. Byłem wtedy żarłokiem, ale nie byłem jeszcze smakoszem. Poza tym miałem fantastyczne zapasy cygar.
- Od kiedy stał się pan smakoszem?
- Kiedy zarzuciłem pisanie. Wcześniej nie miałem na to czasu.
- A dlaczego przestał pan pisać?
- W dniu moich pięćdziesiątych dziewiątych urodzin poczułem, że z tym już koniec.
- Po czym pan to poczuł?
- Sam nie wiem. To przyszło jak menopauza. Nie skończyłem książki, nad którą siedziałem. I słusznie; kiedy się zrobiło karierę, należy mieć jedną powieść nieukończoną, bo to dodaje wiarygodności. W przeciwnym razie uznają człowieka za pisarza trzeciorzędnego.
- Tak więc przez trzydzieści sześć lat pisał pan bez przerwy, a potem nagle, tak z dnia na dzień, ani linijki więcej?
- Tak.
- Czym więc zajmował się pan przez następane dwadzieścia cztery lata?
- Już panu mówiłem, stałem się smakoszem.
- W pełnym wymiarze godzin?
- Powiedzmy raczej w pełnym wymiarze diety.
- A poza tym?
- Musi pan wiedzieć, że to bardzo czasochłonne. A oprócz tego właściwie niczym. Przeczytałem ponownie klasyków. Ach, zapomniałbym, kupiłem też telewizor.
- Co takiego? Pan lubi telewizję?
- Reklamy. Wyłącznie reklamy – uwielbiam je.
- I nic poza tym?
- Nic; z wyjątkiem reklam nie lubię telewizji.
- Niebywale; spędził pan więc dwadzieścia cztery lata na jedzeniu i oglądaniu telewizji?

– Nie, spałem też i paliłem. I trochę czytałem.

– Mimo to wciąż się o panu słyszało.

– To zasługa mojego sekretarza, niezrównanego Ernesta Gravelina. To on zajmuje się opróżnianiem moich szuflad, spotyka się z wydawcami, tworzy moją legendę, ale przede wszystkim znosi mi najrozmaitsze teorie medyczne w nadziei, że uda mu się namówić mnie na dietę.

– Bez powodzenia, oczywiście.

– Na szczęście. Byłoby idiotyczne, gdybym się wyrzekł jedzenia, zważywszy fakt, że pochodzenie mojego nowotworu nie ma nic wspólnego z odżywianiem się.

– Więc jakie jest jego pochodzenie?

– Tajemnicze, lecz nie żywieniowe. Zdaniem Elzenveiverplatza (grubas z upodobaniem wymówił to nazwisko) powoduje go rodzaj błędu genetycznego, zaprogramowanego jeszcze przed urodzeniem. Miałem więc rację, jedząc wszystko.

– Zatem urodził się pan z góry skazany?

– Tak, proszę pana, jak prawdziwy bohater tragiczny. I po co to całe gędzenie o wolności człowieka.

– Było nie było, skorzystał pan z trwającego przez osiemdziesiąt trzy lata zawieszenia.

– Otóż to, z zawieszenia.

– Nie zaprzeczy pan jednak, że przez te osiemdziesiąt trzy lata był pan człowiekiem wolnym. Na przykład mógł pan nie pisać...

– Czy aby nie ma mi pan za złe, że pisałem?

– Źle się wyraziłem.

– A szkoda, bo już zaczynałem nabierać dla pana szacunku.

– Ale chyba nie żałuje pan, że pan pisał?

– Żałować? Jestem niezdolny do odczuwania żalu. Chce pan karmelka?

– Nie, dziękuję.

Pisarz wsunął do ust karmelek i zaczął go głośno ssać.

– Panie Tach, czy boi się pan śmierci?

– Ani trochę. Śmierć niewiele w moim życiu zmieni. Boję się natomiast bólu. Zapewniłem sobie niezbędny zapas morfiny, którą będę mógł sam sobie wstrzykiwać. Tak więc nie boję się.

– Czy wierzy pan w życie pozagrobowe?

– Nie.

– Zatem uważa pan śmierć za unicestwienie.

– Czy można unicestwić coś, co już jest unicestwione?

– To straszna odpowiedź.

– To nie jest odpowiedź.

– Rozumiem.

– Jestem pełen podziwu.

– To znaczy, chciałem powiedzieć... (dziennikarz usiłował wymyślić, co chciał powiedzieć, udając, że ma problem z ujęciem tego w słowa)... że powieściopisarz jest kimś, kto stawia pytania, a nie, że na nie odpowiada.

Głucha cisza.

– To znaczy, nie to chciałem powiedzieć...

– Nie? Żałuję, bo myślałem, że tak właśnie jest.

– Może porozmawialibyśmy teraz o pańskiej twórczości?

– Skoro panu na tym zależy.

– Nie lubi pan o tym mówić, prawda?

– Nic się przed panem nie da ukryć.

– Jak wszyscy wielcy pisarze jest pan bardzo skromny, gdy mowa o pańskiej twórczości.

– Ja, skromny? Chyba się panu przywidziało.

– Zdaje się pan znajdować przyjemność w umniejszaniu swojej wartości. Czemu pan zaprzecza, że jest pan skromny?

– Ponieważ nie jestem, proszę pana.

– Wobec tego dlaczego tak niechętnie mówi pan o własnych utworach?

- Gdyż mówienie o powieści nie ma najmniejszego sensu.
- Niemniej pasjonujące jest słuchanie pisarza mówiącego o własnej twórczości; o tym jak, dlaczego i wbrew czemu pisze.
- Jeśli pisarzowi udaje się w sposób pasjonujący rozprawiać na ten temat, oznacza to tylko dwie ewentualności: albo głośno powtarza to, o czym już w swojej książce napisał, i wtedy jest papugą; albo wyjaśnia różne interesujące rzeczy, o których w swojej książce nie powiedział, w którym to przypadku rzeczona książka jest niewypałem, ponieważ sama w sobie okazała się niewystarczająca.
- Mimo to wielu wybitnych pisarzy potrafiło mówić o swoich książkach, uniknąwszy tych raf.
- Sam pan sobie przeczy: nie dalej jak dwie minuty temu twierdził pan, że wszyscy wielcy pisarze są niezwykle skromni, gdy mowa o ich twórczości.
- Ale przecież można mówić o dziele, nie uchylając do końca rąbka jego tajemnicy.
- Co pan powie? A próbował pan już tego kiedyś?
- Nie, ale ja nie jestem pisarzem.
- Zatem w imię czego opowiada mi pan podobne bzdury?
- Nie jest pan pierwszym pisarzem, z którym przeprowadzam wywiad.
- Czy nie za wiele pozwala pan sobie, porównując mnie z tymi grafomanami, z którymi zazwyczaj robi pan wywiady?
- To nie są grafomani!
- Jeśli potrafią rozprawiać o swoim dorobku w sposób pasjonujący, a zarazem pełen skromności, są na pewno grafomanami. Niby jakim sposobem, pana zdaniem, pisarz może być wstydlivy? To najbardziej bezwstydnym zawód świata; poprzez swój styl, światopogląd, historię, czy poszukiwania pisarze zawsze mówią tylko i wyłącznie o sobie; co więcej, robią to za pomocą słów. Malarze i muzycy również mówią o sobie, ale językiem o wiele mniej dosadnym niż nasz. Nie, drogi panie, pisarze są nieskromni; gdyby tacy nie byli, zostaliby księgowymi, motorniczymi, telefonistkami – byłiby ludźmi godnymi szacunku.
- Zgoda. Zatem proszę mi wyjaśnić, dlaczego właśnie pan jest tak skromny?
- Co mi tu pan próbuje insynuować?

– Ależ tak. Jest pan pisarzem w pełnym tego słowa znaczeniu już od sześćdziesięciu lat, a to pana pierwszy wywiad. Gazety o panu nie piszą, nie udziela się pan w żadnym środowisku literackim czy nieliterackim, opuszcza pan mieszkanie właściwie tylko po to, żeby zrobić zakupy. Nie słyhać nawet, żeby się pan z kimś przyjaźnił. Jak to inaczej nazwać, jeśli nie skromnością?

– Czy pańskie oczy oswoiły się już z mrokiem? Czy widzi pan już moją twarz?

– Tak, niewyraźnie.

– Tym lepiej dla pana. Więc proszę przyjąć do wiadomości, że gdybym był piękny, nie żyłbym w tym odosobnieniu. Zresztą gdybym był piękny, nigdy nie zostałbym pisarzem. Byłbym poszukiwaczem przygód, handlarzem niewolników, barmanem, łowcą posagów.

– Zatem wyprowadza pan pewną zależność między swoim wyglądem i powołaniem?

– To nie jest powołanie. Wpadłem na to, kiedy stwierdziłem, że jestem szpetny.

– A kiedy pan to stwierdził?

– Bardzo szybko. Zawsze byłem brzydki.

– Wcale nie jest pan taki brzydki.

– Pan przynajmniej stara się być delikatny.

– Cóż, jest pan gruby, ale nie aż tak brzydki.

– A czego by pan jeszcze chciał? Poczwórny podbródek, świńskie oczka, nos jak kartofel, czaszka łyśa jak kolano, fałdy tłuszczu na karku, obwisłe policzki – przez wzgląd na pana ograniczę się tylko do twarzy.

– Czy zawsze był pan taki... gruby?

– Byłem taki już jako osiemnastolatek – śmiało może pan powiedzieć opasły, to mi nie przeszkadza.

– Tak, opasły, ale patrzenie na pana nie wywołuje dreszczu odrazy.

– Przyznaję, że mógłbym być jeszcze bardziej odrażający: na przykład mógłbym być krostowaty, obsypany brodawkami...

– Tymczasem ma pan piękną cerę, jasną, czystą, można się domyślić, że delikatną w dotyku.

– Cera eunucha, drogi panie. Jest coś groteskowego w takiej skórze na twarzy, zwłaszcza twarzy nalanej i pozbawionej zarostu; właściwie moja głowa przypomina parę gładkich, miękkich pośladek. To głowa, na widok której bardziej chce się śmiać, niż rzygać, choć czasami wolałbym, żeby się chciało rzygać. To znacznie zdrowsze.

– Nigdy nie przypuszczałem, że cierpi pan z powodu swojej aparycji.

– Ależ ja z tego powodu nie cierpię. Cierpią ci, którzy na mnie patrzą. Ja siebie nie widzę. Nigdy nie oglądam się w lustrze. Cierpiałbym, gdybym wybrał inne życie; biorąc pod uwagę to, jakie prowadzę, takie ciało mi odpowiada.

– Wolałby pan inne życie?

– Nie wiem. Niekiedy myślę, że wszystkie ludzkie egzystencje są tyle samo warte. Natomiast na pewno niczego nie żałuję. Gdybym miał znów osiemnaście lat i takie samo ciało, zacząłbym jeszcze raz, powtórzyłbym to, co przeżyłem – o ile w ogóle żyłem.

– Czyż pisać nie znaczy żyć?

– Nie ja powinienem odpowiadać na to pytanie. Nigdy nie zaznałem innego życia.

– Opublikowano już dwadzieścia dwie pańskie powieści, a sądząc z tego, co pan powiedział, będzie jeszcze wiele innych. Czy spośród tłumu bohaterów zaludniających pańskie dzieła jest jakiś jeden wyjątkowo do pana podobny?

– Żaden.

– Czyżby? Do czegoś się panu przyznam: jedna z postaci wydaje mi się pańskim sobowtórem.

– Być nie może.

– Tak, tajemniczy handlarz wosku z *Bezbolesnego ukrzyżowania*.

– On? Co za niedorzeczny pomysł.

– I zaraz panu powiem dlaczego: ponieważ tylko w jego wypowiedziach pada słowo ukrzyżowanie.

– I co z tego?

– Nie jest głupcem. Wie, że to tylko fikcja.

– Czytelnik też o tym wie. Co nie znaczy, że jest do mnie podobny.

– I ta mania zdejmowania odlewów woskowych z twarzy ukrzyżowanych – przecież to pan, prawda?

– Zapewniam pana, że nigdy nie wykonywałem pośmiertnych masek ukrzyżowanym.

– To naturalnie tylko metafora.

– A co, pan, młodzieńcze, może wiedzieć o metaforach?

– No... to, co wszyscy.

– Trafna odpowiedź. Ludzie o metaforach nie wiedzą nic. To chodliwe słowo, bo brzmi dumnie: „Metafora” – nawet ostatni analfabeta wyczuwa, że ma to coś wspólnego z greką. Te tandetne etymologie – prawdziwie tandetne – robią dziś istną furorę: kiedy się pozna przerażającą wieloznaczność przedrostka *meta* i neutralny uniwersalizm czasownika *phero* zwykła uczciwość nakazuje stwierdzić, że słowo metafora oznaczać może absolutnie wszystko. *Zresztą*, do identycznych wniosków dochodzi się, słysząc, jaki się z niego robi użytek.

– Co pan chce przez to powiedzieć?

– Dokładnie to, co powiedziałem. Ja nie uciekam się do metafor.

– No, a te woskowe maski?

– Woskowe maski to woskowe maski.

– Teraz z kolei ja, panie Tach, czuję się rozczarowany, bo jeśli wyklucza pan jakąkolwiek interpretację metaforyczną pańskiego dzieła, to pozostaje jedynie niesmak.

– Niesmak niesmakowi nierówny: istnieje niesmak zdrowy i regenerujący, polegający na spiętrzeniu potworności celem uzyskania zdrowego, oczyszczającego, wesołego i męskiego skutku typu porządne wyrzyganie się; jest też inny rodzaj niesmaku, niesmak apostolski, który oburzony tym uroczym ohydztwem potrzebuje szczelnego kombinezonu, by utorować sobie przezeń drogę. Takim skafandrem jest metafora, pozwalająca metaforyście zakrzyknąć z ulgą: „Przebrnąłem przez całego Tacha i nie uwaląłem się!”

– Tyle tylko, że to również metafora.

– Musi być: próbuję pobić metaforę jej własną bronią. Gdybym miał chęć zabawić się w proroka, gdybym musiał poderwać tłumy, wówczas zakrzyknąłbym: „Dołączcie do mojego oficjum odkupienia, bracia: sparafrazujmy metafory, połączmy metafory w jedno, ubijmy z nich pianę, zrobmy z nich suflet, i niech ten suflet rośnie i rośnie, niech wyrośnie olśniewająco wielki – aż wreszcie niech pęknie, bracia, i niech opadnie, i rozczaruje biesiadników, ku naszej tym większej ucieście!”

– Pisarz, nienawidzący metafor – to równie niedorzeczne jak bankier, który nienawidzi pieniędzy.

– Jestem przekonany, że wielcy bankierzy nienawidzą pieniędzy. Nie ma w tym żadnej niedorzeczności, wręcz przeciwnie.

– A jednak kocha pan słowa?

– Och, uwielbiam słowa, ale jedno z drugim nie ma nic wspólnego. Słowa to piękna materia, to święte ingrediencje.

– Wobec tego metafora jest jak kuchnia – a pan przecież kocha kuchnię.

– Nie, proszę pana, metafora to nie kuchnia – kuchnia jest to składnia. Metafora oznacza zakłamanie; to znaczy ugryźć pomidora i stwierdzić, że smakuje jak miód, potem zjeść miód i utrzymywać, że smakował jak imbir, potem skosztować imbiru i stwierdzić, że smakował jak salsefia, potem...

– Wystarczy, zrozumiałem.

– Nic pan nie rozumiał, żeby pojął pan, czym jest naprawdę metafora, musiałbym kontynuować tę zabawę w nieskończoność, ponieważ *metaforyki* nigdy nie przestają, ciągną swoje tak długo, dopóki jakaś życzliwa dusza nie rozkwasi im gęby.

– Ta życzliwa dusza to, jak mniemam, pan?

– Nie. Ja zawsze byłem zbyt miękki i za uprzejmy.

– Pan, uprzejmy?

– Potwornie. Nie znam drugiej równie uprzejmej osoby. A uprzejmość ta jest potworna, ponieważ nie przez uprzejmość jestem uprzejmy, a ze znużenia, a jeszcze bardziej z obawy, że stanę się zgorzkniały. Mam skłonność do popadania w zgorzknienie, a ponieważ źle to znoszę, więc staram się tego wystrzegać.

– Gardzi pan uprzejmością?

– Pan nie rozumie, o czym mówię. Podziwiam uprzejmość, która wynika z uprzejmości lub miłości. Ale czy zna pan wiele osób, uprzejmych z tego właśnie powodu? W olbrzymiej większości przypadków ludzie są uprzejmi tylko po to, by dano im święty spokój.

– Powiedzmy. Ale nadal nie tłumaczy to faktu, dlaczego handlarz wosku robił pośmiertne maski ukrzyżowanym.

– A dlaczego nie miałby ich robić? Nie istnieją głupie zawody. Pan jest dziennikarzem. Czy ja pana pytam dlaczego?

– Ależ może pan, bardzo proszę. Jestem dziennikarzem, bo to wzięta profesja, bo ludzi interesują moje artykuły, bo gazety je ode mnie kupują, bo pozwala mi to przekazywać pewne informacje.

– Na pańskim miejscu wcale bym się tak tym nie przechwalał.

– Ależ, panie Tach, trzeba z czegoś żyć!

– Czyżby?

– Przecież i pan też to robi, prawda?

– To nie takie oczywiste.

– W każdym razie robi to pański sprzedawca wosku.

– Ależ pan się wziął na tego pocziwego sprzedawcę wosku. Dlaczego zdejmuje pośmiertne maski ukrzyżowanym? Z powodów, jak sądzę, zgoła odmiennych, niż pan został dziennikarzem: ponieważ nie jest to intratne zajęcie, ponieważ ludziom jest to obojętne, ponieważ nikt ich od niego nie kupuje, ponieważ pozwala mu to nie przekazywać żadnej informacji.

– Zatem przejaw absurdu?

– Nie większego niż to, czym pan się zajmuje, jeśli chce pan poznać moje zdanie – a chce pan?

– Oczywiście, w końcu jestem dziennikarzem.

– No właśnie.

– Skąd ta agresja wobec dziennikarzy?

– Nie wobec dziennikarzy, tylko wobec pana.

– Czymże sobie na nią zasłużyłem?

– Tego już za wiele. Bez przerwy obraża mnie pan, uważa mnie pan za *metaforystę*, zarzuca mi pan zły smak, twierdzi, że nie jestem „aż taki” obrzydliwy, nie daje spokoju handlarzowi woskiem i, co najgorsze, usiłuje mi pan wmówić, że mnie rozumie.

– Ale... cóż innego miałbym powiedzieć?

– A, to już pański problem, nie mój. Kiedy jest się głupcem takim, jak pan, nie należy nachodzić Prétextata Tacha.

– Sam się pan zgodził.

– O, co to, to nie. To znów sprawka tego gamonia, Gravelina, któremu brak elementarnego rozeznania...

– Wcześniej jednak twierdził pan, że to wspaniały człowiek.

– Co nie wyklucza, że głupi.

– No, no, panie Tach, niech pan nie robi z siebie człowieka jeszcze bardziej antypatycznego niż w rzeczywistości.

– Co za grubianin! Proszę natychmiast wyjść!

– Ależ... przecież wywiad dopiero się zaczął.

– Trwał i tak za długo. Wynoś się pan! I proszę powiedzieć swoim kolegom, że Prétextatowi Tachowi należy się szacunek!

Dziennikarz czmychnął z podkulonym ogonem.

Jego koledzy, nie spodziewając się go tak szybko, popijali wino w kawiarni naprzeciwko; ujrawszy go dali mu znak, żeby do nich dołączył. Nieszczęśnik, pozieleniał na twarzy, ciężko opadł pomiędzy nich.

Zamówiwszy potrójnego port'flipa odzyskał na tyle siły, by opowiedzieć im o swojej niemiłej przygodzie. Przerażenie sprawiło, że roztaczał wokół siebie okropny fetor; tak musiał chyba śmierdzieć Jonasz po wyjściu z brzucha wieloryba. Jego rozmówców bardzo to krępowało. Ale czy on sam świadom był tego fetoru? Sam zresztą nawiązał do Jonasza:

– Trzewia wieloryba! Mówię wam, było tam wszystko. Mrok, brzydota, strach, klaustrofobia...

– Smród? – zaryzykował jeden z kolegów.

– Tego akurat nie było. Ale on! On! Ten typ przypomina trzewia. Gładki jak wątroba, obrzmiały pewnie tak, jak jego żołądek. Perfidny jak śledziona, gorzki jak woreczek żółciowy! Czułem, jakby mnie samym już spojrzeniem przetrawiał, rozpuszczał w sokach swojego totalnego metabolizmu!

– Ejże! Trochę przesadzasz.

– Odwrotnie, nigdy nie zdołałem znaleźć wystarczająco mocnego określenia. Gdybyście tylko mogli widzieć jego gniew na sam koniec! Jeszcze nigdy nie zetknąłem się z czymś tak przerażającym; gniewem nagłym, a przy tym w pełni kontrolowanym. Ze strony takiej góry sadła spodziewałbym się raczej, że poczerwienieje na twarzy, zaperzy się, zacznie z trudem chwytać oddech, pocić się ze złości. Nic z tych rzeczy; z gwałtownością tej furii mógł się równać jedynie jej chłód. I ten głos, jakim nakazał mi się wynosić! Zawsze sobie wyobrażałem, że tak właśnie przemawiali chińscy cesarze, kiedy rozkazywali natychmiast ściąć komuś głowę.

– Stworzył ci przynajmniej okazję do odstawienia bohatera.

– Tak myślicie? Bo ja nigdy nie czułem się równie żałośnie. Wychylił swojego port'flipa i znów zaczął lamentować.

– Ejże, przecież nie on pierwszy potraktował dziennikarza jak patałacha!

– Och, zdarzało mi się słyszeć już gorsze rzeczy. Ale tu – sposób jego mówienia, ta twarz, taka gładka i pełna lodowatej pogardy – to było niezwykle sugestywne!

– Pozwolisz, że przesłuchamy nagranie?

W nabożnej ciszy magnetofon zaczął głosić swoją prawdę, siłą rzeczy częściową, bo okrojona o tę spokojną twarz, o mrok, o tłuste, wyzbyte ekspresji dłonie, o ogólny bezruch; o wszystkie te elementy, które sprawiły, że biedny człowiek cuchnął ze strachu. Skończywszy słuchać, jego kumple, wredni jak to ludzie, nie omieszkali oddać sprawiedliwości pisarzowi i wyrazić swojego podziwu; każdy wystąpił z własnym komentarzem, strofując ofiarę:

– No, mój drogi, sam sobie napytałeś biedy. Mówiłeś z nim o literaturze językiem podręczników szkolnych. Rozumiem jego reakcję.

– I po coś próbował go identyfikować z którymś z jego bohaterów? To takie prymitywne.

– I te pytania o biografię – a kogo to dziś interesuje? Nie czytałeś *Przeciwko Saint-Beuve'owi* Prousta?

– Co za gafa, epatować go tym, że wywiady z pisarzami to dla ciebie nie nowina!

– Co za brak delikatności twierdzić, że nie jest taki brzydki! Trochę ogłady, staruszk!

– No i ta metafora! Tu cię miał. Nie chcę ci dokładać, ale sam sobie napytałeś biedy.

– Szczerze mówiąc, dyskutować o absurdzie z geniuszem takim jak Tach! Co za pretensjonalna i pusta formuła!

– W każdym razie z tego twojego wywiadu-niewypału jedno wynika niezbicie: facet jest niesłychany! Co za inteligencja!

– Co za elokwencja!

– Ile finezji u tego tłuściocha!

– I jaka zwięzłość w złościwości!

– To przyznajecie przynajmniej tyle, że jest złośliwy? – wykrzyknął pechowiec, chwytając się tego, niczym ostatniej deski ratunku.

– Nie dość złośliwy, jeśli chcesz znać moje zdanie.

– Uważam, że okazał ci wręcz pobłażliwość.

– I dowcipny. Kiedy okazałeś się, wybaczone, na tyle głupi, żeby stwierdzić, że go rozumiesz, miał święte prawo zmieszać cię z błotem. A on tylko zareplikował z humorem, że chyba nie potrafisz się połapać w czym rzecz.

– *Margañtas ante por cos.*

Zaczęła się nagonka. Ofiara zamówiła następnego port'flipa.

Prétextat Tach wołał alexandra. Pił niewiele, ale kiedy miał ochotę na jednego, był to zawsze alexander. Upierał się sam go przyrządzać, bo nie ufał umiejętnościom innych.

Ten bezlitosny grubas zwykł powtarzać, delektując się swoją złośliwością, sentencję własnego pomysłu: „Miarą uczciwości jednostki jest sposób, w jaki odmierza ona proporcje alexandra”.

Gdyby aksjomat ten zastosować do Tacha, należałoby stwierdzić, że on sam jest istnym wcieleniem uczciwości. Jeden łyk jego alexandra wystarczył, by powalić na kolana zwycięzcę zawodów w picciu surowego zółtka lub skondensowanego słodzonego mleka. Pisarz pochłaniał go całymi pucharami, bez najmniejszych objawów niestrawności. Gravelinowi, który nie mógł się temu nadziwić, mówił: „Jestem Mitrydatesem alexandra.

– Tylko czy tu można jeszcze mówić o alexandrze? – ripostował Gravelin.

– To jest kwintesencja alexandra, którą spóółstwo znać będzie zawsze jedynie w nędznym rozcieńczeniu.”

Nic dodać, nic ująć do tych błyskotliwych sentencji.

– Panie Tach, przede wszystkim w imieniu mojego zawodu pragnę przeprosić pana za to, co wydarzyło się wczoraj.

– A co takiego wydarzyło się wczoraj?

– No, ten dziennikarz, który okrył nas niesławą tak się panu naprzykrzając.

– A, tak, pamiętam. Bardzo miły chłopak. Kiedy go znów ujrzę?

– Zapewniam pana, że już nigdy. Jeśli może to panu sprawić przyjemność, to jest dziś jak zбитy pies.

– Biedaczysko! Co mu jest?

– Przesadził z port'flipem.

– Zawsze uważałem, że port'flip to świństwo. Gdybym wiedział, że tak go ciągnie do mocnych trunków, przygotowałbym mu porządnego alexandra; nie ma nic lepszego na metabolizm. Napije się pan alexandra, młodzieńcze?

– Dziękuję, nigdy w czasie pracy.

Dziennikarz nie zauważył intensywnie podejrzliwego spojrzenia, jakie wywołała jego odmowa.

– Nie powinien pan mieć pretensji do naszego wczorajszego kolegi, panie Tach. Dziennikarze mający przygotowanie do spotkań z ludźmi pańskiego formatu należą do rzadkości...

– Tego tylko brakowało. Przygotowywać ludzi do spotkania ze mną! Dyscyplina, zwana „sztuką obcowania z geniuszami”! Straszne!

– Prawda? Z czego wnioskuję, że nie ma pan żalu do naszego kolegi. Pragnę panu podziękować za tę wyrozumiałość.

– Przyszedł pan rozmawiać ze mną o koledze czy o mnie?

– Oczywiście o panu, tamto było tylko tytułem wstępu.

– A szkoda. Dalibóg, myśl o tym tak mnie przygnębia, że chyba się napiję alexandra. Zechce pan chwilę zaczekać – w końcu to przez pana, tyle mi pan naopowiadał o tym alexandrze, że z tego wszystkiego nasza mnie ochota, żeby się napić.

– Przecież ja nic nie mówiłem o alexandrze!

– Niechże pan nie kłamie, młodzieńcze! Kłamstwa wprost nie znoszę. Nadal nie chce pan spróbować mojego trunku?

Nie zorientował się, że Tach podsuwa mu ostatnią szansę, i pozwolił jej się wymknąć. Wzruszywszy opasłymi ramionami pisarz potoczył swój fotel na kółkach w stronę przedmiotu, wyglądem przypominającego trumnę, po czym uniósł jej wieko, ukazując znajdujące się w środku butelki, puszki konserw i puchary.

– To stara merowińska trumna, którą przerobiłem na barek – wyjaśnił.

Sięgnął po jeden z wielkich metalowych pucharów, nalał do niego solidną porcję likieru kakaowego, a następnie koniaku. Po czym posłał dziennikarzowi przebiegłe spojrzenie.

– A teraz pozna pan sekret mistrza. Ogół śmiertelników dopełnia pozostałą jedną trzecią słodką śmietanką. Mnie wydaje się to nazbyt ciężkostrawne, więc zamiast śmietanki dodaję odpowiednią porcję (tu sięgnął po puszkę słodzonego skondensowanego mleka i wprowadził swoje słowa w czyn).

– Ależ to musi być obrzydliwe! – wykrzyknął dziennikarz, jeszcze bardziej pogarszając swoje położenie.

– Tegoroczna zima jest bardzo łagodna. Kiedy jest surowa, dodaję do mojego alexandra porządną porcję stopionego masła.

– Co takiego?!

– A, tak. Skondensowane mleko nie jest tak tłuste jak śmietanka, więc trzeba to czymś zrekompensować. Właściwie, zważywszy fakt, że mamy dziś piętnasty stycznia, teoretycznie mógłbym sobie pozwolić na masło, ale wtedy musiałbym udać się do kuchni i zostawić pana samego, co byłoby nietaktem. Obejdę się zatem bez masła.

– Ależ mną proszę się nie krępować.

– Niech stracę. Dla uczczenia ultimatum, którego termin wygasa dziś wieczorem, odmówię sobie masła.

– Uważa pan, że konflikt w Zatoce Perskiej osobiście pana dotyczy?

– Na tyle, żeby nie dodawać masła do alexandra.

– Siedzi pan telewizyjne wiadomości?

– Bywa, że między jednym a drugim blokiem reklamowym zmuszony jestem wysłuchać jakichś informacji.

– Co pan myśli o wojnie w Zatoce Perskiej?

– Nic.

– A poza tym?

– Nic.

– Jest to panu obojętne?

– Ależ skąd. Ale to, co ja o tym myślę, jest bez znaczenia. Nie bezsilnego tłuściocha należy pytać o zdanie na temat tej wojny. Nie jestem ani generałem, ani pacyfistą, ani pracownikiem stacji benzynowej, ani też Irakijczykiem. Jeśli mnie pan natomiast zapyta o alexandra, o, wówczas zabłysnę.

I na zakończenie swego natchnionego wywodu pisarz uniósł puchar do ust i upił łakomie kilka łyków.

– Dlaczego pije pan w metalowym naczyniu?

– Bo nie lubię przejrzystości. To również jedna z przyczyn, dla których jestem taki gruby; nie chcę, żeby można mnie było przejrzeć.

– W tej właśnie kwestii, panie Tach, pragnąłbym zadać pytanie, które chcieliby zadać panu wszyscy dziennikarze, choć żaden nie ośmielił się o to zapytać.

– Ile ważę?

– Nie, jak pan się odżywia. Jak wiadomo, jedzenie zajmuje bardzo wiele miejsca w pańskim życiu. Gastronomia oraz jej naturalna konsekwencja, trawienie to wiodący temat niektórych pańskich ostatnich powieści jak chociażby *Pochwała niestrawności*, które to dzieło wydaje mi się zawierać istotę pańskich przemyśleń metafizycznych.

– W rzeczy samej. Metafizykę uważam za najpełniejszy przejaw metabolizmu. Podążając dalej tym tokiem myśli i zważywszy, że metabolizm zwykło się dzielić na anabolizm i katabolizm, tak i w metafizyce wprowadziłem podział na anafizykę i katafizykę. Nie należy w tym upatrywać jakiegoś dualistycznego konfliktu, a tylko dwie niezbędne oraz, co jest już bardziej niedogodne, jednoczesne fazy procesu myślowego, któremu pisana jest trywialność.

– Czy nie ma w tym jakiegoś nawiązania do Jarry'ego i patafizyki?

– Nie, proszę pana. Jeśli o mnie chodzi, jestem pisarzem poważnym – odparł starzec lodowatym tonem, po czym wlał w siebie kolejną porcję alexandra.

– Zatem jeśli pan pozwoli, panie Tach, czy zechciałby pan naszkicować kolejne etapy trawienne swojego przeciętnego dnia?

Zapadła uroczysta cisza, w czasie której pisarz sprawiał wrażenie, że się zastanawia, po czym przemówił poważnym głosem, zupełnie jakby odkrywał jakiś dogmat wiary:

– Budzę się o godzinie ósmej rano. Pierwsze swoje kroki kieruję do toalety, by opróżnić pęcherz oraz jelita. Czy życzy pan sobie szczegółów?

– Nie, nie, myślę, że to wystarczy.

– Tym lepiej, bo etap ten, choć bezsprzecznie nieunikniony w procesie trawienia, jest, może mi pan wierzyć, absolutnie obrzydliwy.

– Wierzę panu na słowo.

– Szczęśliwi ci, co wierzą, choć nie widzieli. Posypuję się talkiem i ubieram.

– Czy zawsze nosi pan ten szlafrok?

– Tak, chyba że wychodzę po zakupy.

– A czy pańskie kalectwo nie przeszkadza panu w tych czynnościach?

– Zdążyłem się już do niego przyzwyczaić. Następnie udaję się do kuchni, gdzie przygotowuję sobie śniadanie. Wcześniej, kiedy całymi dniami pisałem, nie kucharzyłem, tylko żywiłem się niewybrednym jadłem, typu flaki na zimno...

– Flaki na zimno na śniadanie?

– Rozumiem pańskie zdziwienie. Musi pan wiedzieć, że w tamtych czasach moim głównym zajęciem było pisanie. Ale dziś jedzenie flaków na zimno rano uważałbym za obrzydliwe. Od co najmniej dwudziestu lat nabrałem zwyczaju podsmażania ich przez jakieś pół godzinki na gęsim smalcu.

– Flaki na gęsim smalcu na śniadanie?

– Są wyborne.

– I do tego alexander?

– Nie, nigdy podczas jedzenia. W czasach, kiedy pisałem, wypijałem bardzo mocną kawę. Ale teraz wolę kogel-mogel. Następnie wychodzę po zakupy i ranek upływa mi na pitraszeniu różnych wyszukanych potraw na obiad; mózdzek w cieście, duszone cynaderki...

– Jakies skomplikowane desery?

– Rzadko. Słodzę, więc nie miewam wielkiej ochoty na deser. Poza tym między posiłkami jem czasami cukierki. W młodości najbardziej lubiłem bardzo twarde karmelki szkockie. Z wiekiem niestety musiałem z nich zrezygnować i obecnie zadowolam się krówkami, które zresztą są pyszne. Twierdzę, że nic nie dorówna uczuciu tego zmysłowego osuwania się w głąb połączonego z paralizem szczęk, spowodowanym żuciem angielskich toffi... Proszę to zapisać, mam wrażenie, że dobrze to zabrzmiało.

– Nie ma potrzeby, wszystko jest nagrywane.

– Co? Ależ to nieuczciwość! To nie wolno mi nawet wygadywać głupstw?

– Nigdy ich pan nie wygaduje, panie Tach.

– Pochlebia mi pan jak jakiś judasz.

– Kontynuujmy, proszę, pańską krzyżową drogę trawienną.

– Moją krzyżową drogę trawienną? Niezłe. Nie zwędził pan tego przypadkiem z którejś z moich powieści?

– Nie, to moje.

– Dziwne. Bo głowę bym dał, że Prétextata Tacha. Swego czasu znałem na pamięć własne książki... Niestety, wiek człowieka mierzy się wiekiem jego pamięci, czyż nie? A nie jego arterii, jak twierdzą durnie. Zaraz, zaraz, „krzyżowa droga trawienna” – gdzie ja to mogłem napisać?

– Panie Tach, nawet jeśli pan to wymyślił, nie umniejsza to mojej zasługi, że to powiedziałem, zważywszy...

Dziennikarz przerwał i przygryzł wargę.

– Zważywszy, że nic mojego pan nie czytał, prawda? Dziękuję, młodzieńcze, tyle tylko chciałem wiedzieć. Co z pana za człowiek, żeby przełknąć tak piramidalną bzdurę? Ja miałbym wymyślić równie pospolite, równie tandetne określenie jak „krzyżowa droga trawienna”? To jest akurat na poziomie takiego trzeciorzędnego teologa jak pan. No, cóż

z ulgą ramola stwierdzam, że świat literacki się nie zmienił; jak zawsze jest zwycięstwem ludzi udających, że czytali pana Tego czy Tamtego. T)de tylko, że w obecnych czasach żadna już w tym wasza zasługa; pełno jest dziś broszurek umożliwiających analfabetom rozprawianie o wielkich pisarzach z zachowaniem wszelkich pozorów przeciętnej kultury. Zresztą akurat w tej kwestii pomylił się pan; ja za zasługę poczytuję komuś fakt, że mnie nie czytał. Miałbym najgorętszy podziw dla dziennikarza, który przyszedłby do mnie na wywiad, nie wiedząc nawet, kim jestem, i nie kryjąc swojej niewiedzy. Ale nie wiedzieć o mnie nic z wyjątkiem tych sproszkowanych koktajli mlecznych – „Dodaj wody i masz gotowy milk-shake” – czy można sobie wyobrazić coś równie nędznego?

– Niechże mnie pan spróbuje zrozumieć. Dziś jest piętnasty, a wiadomość o pańskim nowotworze podano dziesiątego. Wydał pan do tej pory dwadzieścia dwie opasłe powieści, niemożliwością byłoby przeczytać je w tak krótkim czasie, zwłaszcza w tak niespokojnym okresie jak teraz, kiedy czyhamy wręcz na najdrobniejsze nawet informacje z Środkowego Wschodu.

– Zgodzę się z panem, że wojna w Zatoce Perskiej jest o wiele bardziej interesująca od mojego trupa. Ale czas, jaki zajęło panu przerzucanie broszur ze streszczeniami moich powieści, mógł pan lepiej wykorzystać, czytając bodaj dziesięć stronik którejs z moich dwudziestu dwóch książek.

– Do czegoś się panu przyznam...

– Nie ma potrzeby, sam zrozumiałem: próbował pan, i poddał się, nie dotarłszy nawet do dziesiątej strony, prawda? Odgadłem to od razu, gdy tylko pana zobaczyłem. Natychmiast rozpoznaję ludzi, którzy czytali moje książki, ponieważ mają to wypisane na twarzach. Pan nie wygląda ani na przygnębionego, ani na wesołego, ani na grubego, ani na chudego, ani na pełnego zachwyty; pan wygląda zdrowo. Zatem mnie pan nie czytał, podobnie jak pański wczorajszy kolega. Skądinąd z tej to właśnie przyczyny zachowałem dla pana mimo wszystko jakiś cień sympatii. O tyle większej, że odpuścił pan sobie jeszcze przed dziesiątą stroną, co świadczy o sile charakteru, na którą sam nigdy nie potrafiłem się zdobyć. Co więcej, pańska próba przyznania się – zbyteczna zresztą – przynosi panu zaszczyt. W gruncie rzeczy miałbym panu za złe, gdyby po lekturze mojego dzieła pozostał pan nadal takim, jak teraz. Ale dość już tych śmiesznych subjonetifów. O ile pamiętam, skończyliśmy na moim trawieniu.

– Dokładnie. A konkretnie na karmelkach.

– Tak. Po skończonym obiedzie udaję się do palarni. To jeden z kulminacyjnych momentów dnia. Godzę się na wywiady tylko rano, ponieważ po południu do godziny siedemnastej palę.

– Dlaczego aż do siedemnastej?

– Bo o siedemnastej przychodzi ta kretynka pielęgniarza, która uważa za niezbędne obmycie mnie od stóp do głów; kolejny pomysł Gravelina. Codzienna kąpiel, ma pan pojęcie? *Vanitas vanitatis sed omnia vanitas*. Więc mszczę się jak mogę, staram się jak najbardziej cuchnąć, żeby tej głupiej gęsi maksymalnie dokuczyć; faszeruję swój obiad całymi główkami czosnku, wymyślam różne komplikacje z krążeniem, a później aż do samego nadejścia mojej praczki kurzę jak komin.

Zarechotał obleśnie.

– Nie powie mi pan chyba, że pali pan aż tyle jedynie po to, by zacząć tę nieszczęśnicę?

– Byłby to powód wystarczający, ale prawda jest taka, że uwielbiam cygara. Gdybym nie postanowił palić akurat w tych godzinach, nie byłoby nic szkodliwego w tej działalności, podkreślam, działalności, gdyż dla mnie palenie jest pełnoetatowym zajęciem, podczas którego nie toleruję żadnych wizyt ani rozpraszania uwagi.

– To interesujące, panie Tach, ale nie traćmy wątku; cygara nie mają związku z pańskim trawieniem.

– Tak pan sądzi? Nie byłbym tego taki pewny. Zresztą, skoro to pana nie interesuje... A interesuje pana moja kąpiel?

– Nie, chyba że zjada pan mydło lub wypija wodę z wanny.

– Ta łajdaczka rozbiera mnie do rosołu, szoruje moje jądra, spłukuje mi prysznicem tyłek, ma pan pojęcie? Dam głowę, że rajcuje ją takie marynowanie bezbronnego, bezwłosego, gołego grubasa. Wszystkie te pielęgniarki to maniaczki. Dlatego wybierają ten zawód.

– Panie Tach, mam wrażenie że znów odchodzimy od tematu...

– Nie zgodzę się z panem. Ten codzienny epizod jest tak perwersyjny, że odbija się to na moim trawieniu. Ma pan pojęcie! Jestem sam i goły jak święty turecki, upokorzony,

monstrualnie opasły przed ubraną osobniczką, która dzień w dzień rozbiera mnie z tą swoją obłudnie profesjonalną miną, mającą ukryć to, że ma mokre majtki, jeśli ta suka w ogóle nosi majtki, i dam głowę, że po powrocie do szpitala opowiada o wszystkim szczegółowo swoim kumpelkom, takim samym jak ona łajdaczkom, oraz niewykluczone, że one...

– Ależ, panie Tach!

– To, mój drogi, oducz pan nagrywania mnie. Gdyby pan notował jak uczciwy dziennikarz, mógłby pan ocenzurować te starcze plugastwa, które wygaduję. Natomiast z tym swoim urządzeniem nie ma pan możliwości oddzielenia moich perełek od plugastw.

– A po wyjściu pielęgniarki?

– Już po? Szybko pan odwala robotę. Po jest już godzina osiemnasta. Ta łajdaczka wpakowała mnie w piżamę jak te bobasy, które się kąpie i przebiera w pajacyki przed podaniem im ostatniej butelki. O tej porze czuję się już tak infantylnie, że zaczynam się bawić.

– Bawi się pan? W co?

– Obojętnie w co. Urządzam sobie przejazdy fotelem na kółkach, slalomy, gram w rzutki – niech pan spojrzy na ścianę z tyłu za sobą, jaka jest zniszczona – lub też funduję sobie najwyższą rozkosz i wydzieram z klasyków strony, które mi się nie podobają.

– Jak to?

– A tak to; usuwam je. Na przykład *Księżna de Clèves*; świetna powieść, ale o wiele za długa. Pan, przypuszczam, nie czytał jej, więc polecam panu jej skróconą moim staraniem wersję; arcydzieło, sama kwintesencja.

– Panie Tach, a co by pan powiedział, gdyby za trzysta lat zaczęto wyrywać z pańskich powieści strony uznane za zbędne?

– Założę się, że w moich książkach nie znajdzie pan ani jednej zbędnej strony.

– Pani de La Fayette mogłaby to samo powiedzieć panu o swoich.

– Nie ma pan chyba zamiaru porównywać mnie z tą midinetką?

– Ależ, panie Tach...

– Chce pan poznać moje najskrytsze marzenie? Auto da fé. Piękne spalenie na stosie całości mojego dzieła! Zatkąło pana, co?

– No, dobrze. A po tych rozrywkach?

– Słowo daję, jest pan istnym maniakiem gastronomicznym! Gdy tylko zaczynam mówić o czymś innym, zaraz mnie pan z powrotem zapędza do żarcia!

– Nie jestem żadnym maniakiem, ale skoro podjęliśmy ten temat, trzeba go zgłębić do końca.

– Nie jest pan maniakiem jedzenia? Rozczarowuje mnie pan, młodzieńcze. Pomówmy więc o żarciu, skoro nie jest pan jego maniakiem. Więc kiedy się już nawyrywam tych stron, naslalomuję się, narzucam strzałek, nabawię do syta, kiedy te pouczające zajęcia pozwolą mi nareszcie zapomnieć o horrorze kąpieli, włączam telewizję, zupełnie jak te dzieci oglądające przed zjedzeniem kaszki z mlekiem czy klusek swoje debilne programy w telewizji. O tej porze jest bardzo interesująca. Idą niekończące się reklamy, zwłaszcza reklamy żywności. Przeskakuję z kanału na kanał w taki sposób, że uzyskuję najdłuższy na świecie blok reklamowy; przy szesnastu kanałach europejskich, jeśli skacze się w sposób inteligentny, można z powodzeniem zapewnić sobie nieprzerwane pół godziny reklam. To cudowna wielojęzyczna opera: holenderski szampon, włoskie biskwity, niemiecki biologiczny proszek do prania, francuskie masło, itd. Prawdziwa rozkosz. Kiedy programy stają się głupie, wyłączam telewizor. Narobiwszy sobie apetytu setką obejrzanych reklam, zabieram się za jedzenie. Zadowolony pan, co? Szkoda, że nie mógł pan zobaczyć swojej miny, kiedy udawałem, że znów straciłem wątek. Proszę się nie obawiać, będzie pan miał swój *scoop*. Ale wieczorem jem rzeczy raczej lekkostrawne. Zadowalam się zimnymi daniami typu smażona wieprzowina, smalec, surowy boczek, oliwa z sardynek – za samymi sardynkami nie przepadam, ale aromatyzują oliwę, tak więc wyrzucam sardynki i wypijam sam sos. Dobry Boże, co z panem?

– Nic. Proszę mówić dalej.

– Nie wygląda pan dobrze, to pewne. Popijam to wszystko przygotowanym uprzednio tłustym bulionem; przez wiele godzin gotuję świńskie skórki, nóżki wieprzowe, kurze kupry i kości szpikowe z dodatkiem jednej marchewki, po czym dodaję chochlę smalcu, wyjmuję marchewkę, i otrzymany wywar na dwadzieścia cztery godziny wstawiam do lodówki. Najbardziej lubię ten bulion na zimno, gdy tłuszcz zastygnie i utworzy się z niego skorupa, od której błyszczą potem usta. Ale bez obaw, niczego nie

marnuję; proszę nie myśleć, że wyrzucam te delikatne mięsiwa. Gotowane tak długo, zyskują tyleż na treściwości, ile straciły na soczystości; cóż to za przysmak, takie kurze kuperki, gdy ich żółty tłuszcz nabierze gąbczastej konsystencji... Co panu jest?

– Nic... Nie wiem. Może to klaustrofobia. Czy nie można by otworzyć okna?

– Otwierać okno piętnastego stycznia? Pan chyba żartuje. Tlen zabiłby pana. Nie, ja wiem, co panu pomoże.

– Pozwoli pan, że na chwilę wyjdę.

– Nie ma mowy, niech pan siedzi w cieple. Zaraz przygotuję panu alexandra według mojej receptury, ze stopionym masłem.

Na te słowa trupio bładzi dziennikarz pozieleniał na twarzy i zgięty w pół biegiem wypadł, zatykając dłonią usta.

Tach natychmiast potoczył fotel do wychodzącego na ulicę okna, skąd z zachłanną satysfakcją mógł obserwować pokonanego nieszczęśnika, wymiotującego na kolanach.

Uszczęśliwiony mruknął do swojego poczwórnego podbródka:

– Kiedy jest się człowiekiem tak małego kalibru, nie należy mierzyć się z Prétextatem Tachem.

Ukryty za tiulową firanką z satysfakcją przyglądał się, sam nie będąc widzianym. Ujrzał, jak z kafejki naprzeciwko wyskoczyło dwóch mężczyzn i podbiegło do kolegi; ten, opróżniwszy wnętrzności, leżał teraz na chodniku obok swojego magnetofonu, którego nie wyłączył i który zarejestrował odgłosy wymiotów.

Wyciągnięty na kanapie w kawiarni dziennikarz powoli wracał do siebie. Od czasu do czasu, rzucając spojrzenie spode łba, powtarzał:

– Koniec z żarciem... Nigdy więcej żarcia...

Dali mu do wypicia trochę letniej wody, której przyjrzał się podejrzliwie. Koledzy chcieli przesłuchać taśmę; zaprotestował:

– Błagam, nie przy mnie.

Zadzwoniono do żony ofiary, żeby przyjechała po niego samochodem. Po ich odejździe można było nareszcie włączyć magnetofon. Wypowiedzi pisarza wywołały niesmak, śmiechy i zachwyty:

- Ten facet to żyła złota. To właśnie nazywam czystą naturą.
- Jest cudownie odrażający.
- Przynajmniej jeden, który się nie dał ideologii *soft*.
- I ideologii *light*!
- Ma metodę na rozbrojenie przeciwnika.
- Jest bardzo silny. Czego nie można powiedzieć o naszym przyjacielu. Dał się schwytać we wszystkie możliwe pułapki.
- Nie chciałbym źle mówić o nieobecnym, ale co to za pomysł z zadawaniem mu tych pytań o jedzenie! Rozumiem, że grubas nie dał się podejść. Kiedy nadarzyła się człowiekowi szansa wywiadu z takim geniuszem, nie gada się z nim o żarciu!

W głębi duszy dziennikarze byli zachwyceni, że nie oni trafili na pierwszy czy drugi ogień. W głębi duszy zdawali sobie sprawę, że gdyby znaleźli się na miejscu obu nieszczęśników, poruszyliby dokładnie te same tematy, rzecz jasna, głupie, lecz obowiązkowe i cieszyli się, że nie im przyszło odwalić brudną robotę; im przypadła w udziale piękna rola i wykorzystają to, ale co im szkodzi pobawić się trochę kosztem ofiar.

Tak więc owego straszego dnia, kiedy cały świat drżał na myśl o bliskiej wojnie, otyłemu, sparaliżowanemu i bezbronnemu starcowi udało się odwrócić uwagę garstki kapłanów mediów od Zatoki Perskiej. Jeden z nich tej bezsennej dla wszystkich nocy położył się do łóżka na czczo i zapadł w ciężki, wyczerpujący sen ludzi chorych na wątrobę, nie poświęciwszy nawet jednej myśli tym, którzy umrą.

Tach czerpał pełnymi garściami z rzadko wykorzystywanych zasobów wzbudzenia odrazy. Tuszcz był jego napalmem, alexander bronią chemiczną. Tego wieczoru zacierał ręce niczym uszczęśliwiony strateg.

- I cóż, wojna się zaczęła?
- Jeszcze nie, panie Tach.
- No, ale się chyba zacznie?
- Można by pomyśleć, że pan na nią czeka.
- Nie cierpię niedotrzymywania obietnic. Banda kawalarzy obiecała nam wojnę piętnastego o północy. Jest już szesnasty, a tu nic. Żartują sobie czy co? Miliardy telewizorów na nią czekają.
- Jest pan za wybuchem tej wojny, panie Tach?
- Lubić wojnę? To straszne! Jak można lubić wojnę? Co za śmieszne i niestosowne pytanie! Zna pan kogoś, kto lubi wojnę? Skoro już o wojnie mowa, to czemu mnie pan nie zapyta, czy jadłem napalm na śniadanie?
- Sprawę pańskiego żywienia mamy już odfajkowaną.
- Ach, tak? To w dodatku wzajemnie się szpiegujecie? Pozwalacie nieszczęśnikom odwalić brudną robotę, a potem zacieracie ręce, co? Pięknie. A pan pewnie uważa się za mądrzejszego, bo stawia mi pan błyskotliwe pytania w stylu: „Czy jest pan za wybuchem wojny?” Byłem genialnym pisarzem, podziwianym przez cały świat, dostałem literacką Nagrodę Nobla, a tu jakiś żółtodziób przychodzi dręczyć mnie tautologicznymi pytaniami, na które nawet ostatni imbecyl udzieliłby identycznej jak ja odpowiedzi!
- W porządku. Zatem nie lubi pan wojny, ale chciałby pan, żeby wybuchła.
- W obecnym stanie rzeczy jest to konieczność. Wszystkie te kretyńskie żołnierzyki są na nią okropnie napaleni. Trzeba im stworzyć okazję do ejakulacji, inaczej dostaną pryszczycy i z płaczem wrócą do mamusi. To brzydko tak rozczarowywać młodych.
- Lubi pan młodych, panie Tach?
- Ależ pan ma talent do zadawania błyskotliwych i oryginalnych pytań! Tak, proszę sobie wyobrazić, że lubię ludzi młodych.
- Tego się nie spodziewałem. Znając pana, wyobrażałem sobie, że nie potrafi się pan w nich wczuć.
- „Znając pana”! Za kogo pan się uważa?
- Cóż, znając pana reputację...

- A jaką ja mam reputację?
- Dalibóg... trudno powiedzieć.
- Taak. Okażę wspaniałomyślność i nie będę naciskał.
- Zatem lubi pan młodych? Dlaczego?
- Lubię młodych, bo są tym wszystkim, czym ja nie jestem i z tego chociażby tytułu zasługują na czułość i podziw.
- To wstrząsająca odpowiedź, panie Tach.
- Dać panu chusteczkę?
- Dlaczego próbuje pan wyszydzić szlachetne porywy swojego serca?
- Szlachetne porywy mojego serca? Skąd u diabła przychodzą panu do głowy podobne niedorzeczności?
- Przykro mi, ale to z pańskiej inspiracji, bo to, co powiedział pan o młodych, było prawdziwie wzruszające.
- Proszę się dobrze zastanowić i dopiero wówczas przekona się pan, czy to rzeczywiście takie wzruszające.
- Wobec tego zastanówmy się.
- Powiedziałem, że lubię młodych, bo są tym wszystkim, czym ja nie jestem. I w rzeczy samej młodzi są piękni, zwinni, głupi i źli.
- ...?
- Prawda? Cóż za wstrząsająca odpowiedź, mówiąc pańskim językiem.
- Pan chyba żartuje?
- Czy wyglądam na żartownisia? Poza tym, na czym miałby polegać mój żart? Czy może pan zaprzeczyć któremukolwiek z tych przymiotników?
- Zakładając, że przymiotniki te są uzasadnione, czy rzeczywiście uważa pan, że sam jest ich zaprzeczeniem?
- Co takiego? Zatem uważa mnie pan za pięknego, zwinnego, głupiego i złego?
- Ani za pięknego, ani za zwinnego, ani za głupiego...
- Bogu dzięki.
- Ale za złego, tak!

– Ja zły?

– Jak najbardziej.

– Zły? Pan jest chory. Przez całe osiemdziesiąt trzy lata istnienia nie spotkałem nigdy człowieka równie dobrego, jak ja. Jestem kolosalnie uprzejmy, tak uprzejmy, że gdybym natknął się sam na siebie, to bym się chyba porzygał.

– Nie mówi pan tego poważnie.

– To już szczyt wszystkiego. Proszę wskazać mi choć jedną osobę, nie lepszą ode mnie, bo to niemożliwe, ale dorównującą mi uprzejmością.

– No cóż... pierwszy lepszy człowiek.

– Pierwszy lepszy? Zatem, jeśli dobrze zrozumiałem, ma pan na myśli siebie. Dowcipniś z pana.

– Siebie lub kogokolwiek innego.

– Niech pan nie mówi o kimkolwiek innym, skoro go pan nie zna. Proszę nie mówić za nieznanym, proszę mówić za siebie. W imię czego ośmiela się pan twierdzić, że dorównuje mi pan uprzejmością?

– W imię najoczywistszej prawdy.

– Taak? Tak właśnie sądziłem; nie ma pan żadnego argumentu.

– Ejże, panie Tach, niech pan przestanie kręcić. Wysłuchałem obu poprzednich wywiadów. Choć poznałem pana tylko z tych próbek, wiedziałem już, z kim mam do czynienia. Nie zaprzeczy pan chyba, że znęcał się nad tymi dwoma nieborakami?

– Co za niegodziwość! To oni się nade mną znęcali.

– Na wypadek, gdyby pan o tym nie wiedział, od chwili spotkania z panem czują się jak zbite psy.

– *Post hoc, ergo propter hoc*, czyż nie? Doszukuje się pan absolutnie zwariowanych związków przyczynowych, młody człowieku. Pierwszy rozchorował się, bo wypił za dużo port'flipa. Chyba nie wmówi mi pan, że ja go do tego zmusiłem? Drugi zanudzał mnie, chociaż się wzbraniałem, bym mu opowiedział o tym, co jadam. To chyba nie moja wina, że nie był w stanie wysłuchać do końca mojej opowieści. Dodam jeszcze, że obaj ci osobnicy zachowali się wobec mnie arogancko. O, znosiłem to ze słodyczą owieczki złożonej na ołtarzu ofiarnym. Ale w końcu musieli za to odpokutować. No i

widzi pan, wciąż wracamy do Ewangelii; sam Chrystus powiedział, że źli i zawistni szkodzą w pierwszym rzędzie sami sobie. Stąd nieprzyjemności, jakie spotkały pańskich kolegów.

– Panie Tach, czy zechciałby mi pan szczerze odpowiedzieć na następujące pytanie: czy uważa mnie pan za idiotę?

– Oczywiście.

– Dzięki za szczerść.

– Proszę nie dziękować, nie potrafię kłamać. Zresztą nie bardzo rozumiem, dlaczego zadaje mi pan pytanie, znając zawczasu odpowiedź: jest pan młody, a ja nie ukrywałem, co sędzę o młodych.

– Tak à propos, nie uważa pan, że osądza ich pan dość jednostronnie? Nie można wrzucać wszystkich młodych do jednego worka.

– Zgadzam się. Niektórzy młodzi nie są ani piękni, ani zwinni. Na przykład pan; nie wiem, czy jest pan zwinny, ale na pewno nie jest pan piękny.

– Dziękuję. I pańskim zdaniem żaden młody nie uniknie głupoty i podłości?

– Znałem tylko jeden taki wyjątek: siebie.

– Jaki był pan w wieku dwudziestu lat?

– Taki jak teraz. Wtedy jeszcze mogłem chodzić. Poza tym, nie bardzo widzę, w czym mogłem się zmienić. Już wtedy byłem bezwłosy, otyły, nieodgadniony, genialny, nazbyt uprzejmy, szkaradny, nieprzeciętnie inteligentny, samotny; już wówczas kochałem jeść i palić.

– Czyli w gruncie rzeczy nie miał pan młodości?

– Uwielbiam słuchać tych pańskich komunałów. Zgodzę się przyznać: „Tak, nie miałem młodości” pod następującym specjalnym warunkiem: że w swoim artykule wyraźnie pan zaznaczy, iż są to pana własne słowa. Bez tego ludzie gotowi pomyśleć, że Prétextat Tach używa języka brukowych romansów.

– Nie omieszkać. A teraz, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, proszę mi wyjaśnić, w czym przejawia się pańska dobroć, popierając to, jeśli możliwe, przykładami.

– Cudowne jest to „jeśli możliwe”. Pan chyba nie wierzy w moją dobroć, co?

– „Wierzy” nie jest odpowiednim słowem. Powiedzmy raczej „wyobraża sobie”.

– Niech będzie. Cóż, młodzieńcze, nie wyobraża więc pan sobie, czym było moje życie; jedną, trwającą osiemdziesiąt trzy lata ofiarą. Czymże w porównaniu z tym jest ofiara Chrystusa? Moja własna Męka Pańska trwała pięćdziesiąt lat dłużej. A już wkrótce czeka mnie apoteoza nieskończenie ważniejsza, dłuższa, bardziej elitarna, a nawet boleśnieszka: agonia, która odcisnie na moim ciele chlubne stygmaty syndromu Elzenveiverplatza. Pan Nasz wzbudza we mnie jak najlepsze uczucia, ale, mimo najlepszych chęci, nie mógł umrzeć na raka chrząstki.

– I co z tego?

– Jak to, co z tego? Umrzeć na krzyżu, co w owym czasie było równie powszednie jak deszcz, czy na skutek niezwykle rzadkiej choroby – to pańskim zdaniem to samo.

– Śmierć zawsze pozostaje śmiercią.

– Dobry Boże! Czy zdaje pan sobie sprawę, co za niedorzeczność nagrał pan właśnie na swoim magnetofonie? I pomyśleć, że pańscy koledzy to usłyszą! Mój biedny przyjacielu, nie chciałbym znaleźć się w pańskiej skórze. „Śmierć pozostaje śmiercią”! Będę na tyle uprzejmy, że pozwolę to panu skasować.

– Ani mi się śni to zrobić, panie Tach; tak właśnie uważam.

– Czy wie pan, że zaczyna mnie pan fascynować. Porażający jest aż taki brak rozeznania. Powinien się pan przenieść do działu „Rozjechane psy”, wyuczyć psiego języka i wypytywać nieszczęsne zdychające zwierzęta, czy przypadkiem nie wołałyby umrzeć na jakąś bardziej oryginalną chorobę.

– Nie potrafi pan zwracać się do bliźniego, inaczej niż obrażając go?

– Ja nigdy nie obrażam, ja tylko stawiam diagnozę, mój panie. Przypuszczam, że nie czytał pan żadnej z moich książek?

– Błąd.

– Czyżby? Niemożliwe. Doprawdy, nie wygląda mi pan ani nie ma wejrzenia człowieka, który czytał Tacha. To wierutne kłamstwo.

– To święta prawda. Przeczytałem wprawdzie tylko jedną pana powieść, lecz przeczytałem ją gruntownie, a potem raz jeszcze i zrobiła na mnie wielkie wrażenie.

– Pomyliło się panu z kim innym.

– Jak można pomylić *Bezinteresowne gwałty międzywojnia* z jakąkolwiek inną książką! Może mi pan wierzyć, że ta lektura głęboko mną wstrząsnęła.

– Wstrząsnęła! Wstrząsnęła! Tak jakbym pisał po to, żeby ludźmi wstrząsać! Gdyby nie przeczytał jej pan po łebkach, choć prawdopodobnie tak właśnie było, zatem gdyby przeczytał ją pan tak jak należy ją czytać, całą duszą, jeśli pan w ogóle takową posiada, to by się pan porzygał.

– W istocie, jest w pańskim dziele pewna estetyka wymiotów...

– Estetyka wymiotów! Ja się chyba przez pana popłaczę ze śmiechu!

– Wracając do tego, o czym mówiliśmy wcześniej – twierdzą, że nigdy nie czytałem książki równie zjadliwej.

– Otóż to. Chciał pan dowodów na moją dobroć: oto jest, namacalny. Céline to rozumiał, kiedy twierdził w posłowiach, że swoje najbardziej zjadliwe książki pisał powodowany bezinteresowną uprzejmością i nieodpartą czułością dla swoich prześladowców. Na tym polega prawdziwa miłość.

– Trochę to grubymi nićmi szyte, co?

– Céline, grubymi nićmi szyty? W pana własnym interesie leży jak najszybciej to skasować.

– Ależ proszę pana, choćby ta, tak niewymownie okrutna scena z głuchoniemą kobietą – czuje się, że pisząc ją, nie posiadał się pan z radości.

– Bez wątpienia. Nawet pan sobie nie wyobraża, jaką przyjemność sprawia dostarczanie wody na młyn swoim prześladowcom.

– O! W takim razie, panie Tach, nie o uprzejmość tu chodzi, a o jakieś mroczne poplątanie masochizmu z paranoją.

– Tra la la. Lepiej by pan nie używał słów, których znaczenia pan nie rozumie. Tu chodzi o czystą dobroć, młody człowieku. A niby jakie książki, pana zdaniem, napisane zostały z czystej dobroci? *Chata wuja Toma*? *Nędznicy*? Oczywiście że nie. Te książki napisano po to, by zdobyły uznanie salonów. Niech mi pan wierzy, książki napisane z czystej dobroci to wielka rzadkość. Pisano je we wzgardzie i samotności, wiedząc, że kiedy zostaną rzucone światu w twarz, będzie się jeszcze bardziej samotnym i odrażającym. To normalne; główną cechą bezinteresownej uprzejmości jest pozostać

zapoznanym, nierozpoznawalnym, niewidzialnym – gdyż dobry uczynek, o którym głośno, nigdy nie jest bezinteresowny. Tak więc sam pan widzi, że jestem dobry.

– W pańskich słowach tkwi paradoks. Tłumaczy mi pan, że prawdziwa dobroć pozostaje w ukryciu, a potem wrzeszczy pan na całe gardło, jaki to pan dobry.

– Och, mogę sobie na to pozwolić, bo i tak nikt mi nie uwierzy.

Dziennikarz roześmiał się.

– Fascynujące są pańskie argumenty, panie Tach. Zatem utrzymuje pan, że z czystej dobroci poświęcił pan życie pisaniu?

– Jest jeszcze wiele innych rzeczy, które robiłem z czystej dobroci.

– Na przykład...

– Lista jest długa: celibat, obżarstwo itp.

– Nie bardzo rozumiem.

– Oczywiście, dobroć nigdy nie była jedynym motorem moich poczynań. Weźmy celibat; jak powszechnie wiadomo, seks w ogóle mnie nie interesuje. Mimo to mogłem się jednak ożenić, już choćby dla samej przyjemności dokuczenia żonie. Tymczasem nie zrobiłem tego, i tu dochodzi do głosu moja dobroć: pomyślałem, że oszczędzę tę nieszczęśnicę i się nie ożenię.

– Niech będzie. A obżarstwo?

– Jasne jak słońce: jestem prorokiem otyłości. Umierając, uniosę na własnym grzbiecie całą nadwagę ludzkości.

– Chyba symbolicznie...

– Hola, mój panie. W pana interesie leży, by nie wymawiać przy mnie nigdy słowa „symbol”, chyba że chodzi o chemię.

– Przykro mi, że jestem taki tępy i głupi, ale naprawdę nie rozumiem.

– Nie szkodzi, nie pan jeden.

– Nie mógłby mnie pan oświecić?

– Nie cierpię tracić czasu.

– Panie Tach, przyjmijmy, że jestem głupi i tępy, ale czy potrafi pan wyobrazić sobie przyszłego czytelnika tego artykułu, czytelnika inteligentnego i otwartego, zasługującego na to, by zrozumieć, a którego pańska ostatnia odpowiedź rozczaruje?

– Zakładając, że czytelnik taki w ogóle istnieje, to jeśli jest rzeczywiście inteligentny i otwarty, moje objaśnienie jest mu niepotrzebne.

– Nie zgadzam się z panem. Nawet istota inteligentna, stanąwszy przed myślą nową i nieznaną, potrzebuje objaśnień.

– A co pan może o tym wiedzieć. Nigdy nie był pan inteligentny.

– Bez wątpienia, jednak z całą pokorą próbuję to sobie wyobrazić.

– Biedaczysko.

– Proszę, niech pan da dowód swojej przysłowiowej dobroci i mi to wyjaśni.

– Wie pan, co panu powiem? Ludzie prawdziwie inteligentni i otwarci nigdy nie domagaliby się ode mnie takich wyjaśnień. To typowe dla wulgarności chcieć wiedzieć wszystko, w tym również to, czego wyjaśnić się nie da. Po co więc miałbym panu dostarczać wyjaśnień, których idioci i tak nie pojmą, a ludzie bardziej wyrafinowani wcale nie potrzebują?

– Byłem już brzydki, tępy i głupi, a teraz, jeśli dobrze zrozumiałem, powinienem dodać do tego jeszcze wulgarny?

– Nic się przed panem ukryć nie da.

– Pozwolę sobie zauważyć, panie Tach, że nie stanie się pan w ten sposób bardziej sympatyczny.

– Ja, sympatyczny? Tego tylko brakowało. Poza tym, kim pan jest, żeby na niespełna dwa miesiące przed moją chwalebną śmiercią przychodzić i prawić mi morały. Zaczął pan zdanie od „Pozwolę sobie”, otóż nie może pan sobie pozwolić! Proszę natychmiast stąd wyjść, pan mi się naprzykrza.

– Ogłuchł pan?

Zawstydzony dziennikarz dołączył do kolegów w kafejce naprzeciwno. Sam nie wiedział, czy wyszedł z tego obronną ręką, czy też nie.

Przesłuchując taśmę, koledzy milczeli, lecz z pewnością nie dla Tacha przeznaczony był ich pełen pobłażania uśmiech.

– Ten typ, to prawdziwy okaz – relacjonowała ostatnia ofiara. – Kompletnie nie można z nim dojść do ładu!

Nigdy nie wiadomo, jak zareaguje. Niekiedy sprawia wrażenie, że wszystko rozumie, że nic go nie złości, a nawet że znajduje przyjemność w pewnej arogancji niektórych pytań. A potem nagle, bez ostrzeżenia, wybucha z powodu jakichś drobiazgów bez znaczenia albo wyrzuca człowieka za drzwi, bo miał pecha wygłosić jakąś błahą i całkiem uzasadnioną uwagę.

– Geniusze nie znoszą uwag – oznajmił jeden z kolegów z taką wyniosłością, jakby był Tachem we własnej osobie.

– Więc co? Miałem pozwolić, żeby mnie znieważał?

– Idealnym rozwiązaniem byłoby nie stwarzać mu sposobności do zniewag.

– Akurat! Ludzie wzbudzają w nim tylko i wyłącznie chęć znieważania.

– Biedny Tach! Biedny tytan-wygnaniec!

– Biedny Tach! To już szczyt wszystkiego. To my jesteśmy biedni!

– Nie rozumiesz, że my mu się naprzykrzamy?

– To prawda. Ale musimy chyba robić, co do nas należy, nie?

– A dlaczego? – zapytał ten sam przeniewierca, czując przypływ natchnienia.

– To po coś, głupku, wybierał zawód dziennikarza?

– Bo nie mogłem zostać Prétextatem Tachem.

– Wolałbyś być takim grubym eunuchem-grafomanem? Tak, wolałby, i nie on jeden. Rasa ludzka ma to do siebie, że zdrowe na umyśle jednostki gotowe są poświęcić na ołtarzu marzenia zwanego nieśmiertelnością własną młodość, ciało, miłość, przyjaciół, szczęście, a nawet o wiele, wiele więcej.

- A więc wojna się zaczęła?
- Hmm... tak, pierwsze pociski zostały...
- To dobrze.
- Czyżby?
- Nie lubię patrzeć, jak młodzież siedzi beczynn timer. A tak, od siedemnastego stycznia chłopaczki mogły wreszcie rozpocząć zabawę.
- Jeśli można to tak nazwać.
- Jak to, pana to nie bawi?
- Szczerze mówiąc, nie bardzo.
- Uważa pan może za bardziej zabawne prześladowanie opasłych staruchów swoim magnetofonem?
- Prześladowanie? Ależ my pana nie prześladowujemy, sam pan nas upoważnił do przyjścia.
- Nic podobnego! To kolejny numer tego psa, Gravelina.
- Ależ panie Tach, wystarczyło powiedzieć panu sekretarzowi „nie”; to człowiek oddany, posłuszny każdemu pańskiemu życzeniu.
- Bzdury! Maltretuje mnie i nigdy nie pyta o zgodę. Na przykład ta pielęgniarka – to też jego sprawka!
- Ależ panie Tach, proszę się uspokoić. Kontynuujmy naszą rozmowę. Jak pan wytłumaczy niebywały sukces...
- Napije się pan alexandra?
- Nie, dziękuję. Jak więc mówiłem... niebywały sukces.
- Proszę poczekać, ja mam ochotę się napić. Alchemiczna dygresja.
- Ta najnowsza wojna spowodowała, że nabrałem nieprawdopodobnej ochoty na alexandra. To taki odświętny trunek.
- Dobrze. Zatem, panie Tach, jak tłumaczy pan sobie niebywały, światowy sukces swojej twórczości?
- W ogóle go nie tłumaczę.

– Przecież musiał się pan nad tym zastanawiać i wyobrazać sobie różne odpowiedzi.

– Nie.

– Nie? Sprzedał pan miliony egzemplarzy swoich książek na całym świecie, włącznie z Chinami, i nie zastanawiał się pan nad tym?

– Fabryki broni na całym świecie sprzedają każdego dnia tysiące pocisków i też się nad tym nie zastanawiają.

– Jedno z drugim nie ma nic wspólnego.

– Tak pan sądzi? A jednak jest w tym uderzająca spoistość. Na przykład takie skojarzenie: mówi się o wyścigu zbrojeń, a powinno się też mówić o „wyścigu literatur”. To argument siły, podobnie jak pierwszy; każdy naród traktuje swojego pisarza lub pisarzy jako oręż. Wcześniej czy później moją Nagrodą Nobla i mną również posłużą się jak orężem.

– Jeśli tak pan to odbiera, zgoda. Na szczęście literatura wyrządza mniejsze szkody.

– Nie moja. Moja jest bardziej szkodliwa od wojny.

– Czy aby nie pochlebia pan sobie?

– Muszę to robić, ponieważ jestem jedynym czytelnikiem, który mnie rozumie. Tak, moje książki są szkodliwsze od wojny, ponieważ budzą chęć rozstania się z życiem, gdy tymczasem wojna budzi w człowieku chęć przeżycia. Po lekturze moich książek ludzie powinni popełniać samobójstwa.

– Wobec tego jak pan tłumaczy to, że tego nie robią?

– O, to bardzo proste: ponieważ nikt mnie nie czyta. W gruncie rzeczy jest to być może również kluczem do mojego niebywałego sukcesu: jestem tak sławny, drogi panie, bo nikt mnie nie czyta.

– To paradoks!

– Wręcz przeciwnie: gdyby ci biedni ludziska zadali sobie trud, żeby moje książki przeczytać, znieawidziliby mnie i aby jakoś pomścić ten wysiłek, skazałoby mnie na zapomnienie. Tymczasem nie czytając, uważają mnie za pisarza relaksującego, zatem sympatycznego i zasługującego na sukces.

– To niezwykle rozumowanie.

– Lecz niezbite. Proszę, weźmy Homera: oto ktoś, komu nikt nigdy nie dorówna sławą. A czy zna pan wiele osób, które naprawdę przeczytały prawdziwą *Iliadę* i prawdziwą *Odyseję*? Garstka łysych filologów, to wszystko – bo chyba nie nazwie pan prawdziwymi czytelnikami tych nielicznych gnuśnych licealistów, którzy w szkolnych ławach dukają nadal Homera, mając w głowach wyłącznie Dépêche Mode albo AIDS. Z tej to właśnie znakomitej przyczyny Homer jest TYM punktem odniesienia.

– Przyjmując nawet, że to prawda, uważa pan tę przyczynę za znakomitą? Może raczej przygnębiającą?

– Nadal twierdzę, że znakomitą. Bo czy to nie krzepiące dla takiego prawdziwego, rasowego, wielkiego i genialnego jak ja pisarza mieć świadomość, że mnie nikt nie czyta? że nikt nie kala swoim trywialnym spojrzeniem piękna, które powołałem do życia w skrytości mej duszy i w samotności?

– Czy nie prościej byłoby – skoro pragnie pan uniknąć tego trywialnego spojrzenia – w ogóle nie wydawać?

– To byłoby zbyt łatwe. Co to, to nie, mój panie. Widzi pan, szczytem wyrafinowania jest sprzedawać swoje książki w milionach egzemplarzy i nie być czytany.

– Nie mówiąc o tym, że zarabia pan na tym pieniądze.

– Oczywiście. Bardzo lubię pieniądze.

– Pan lubi pieniądze?

– Tak. Są urocze. Żaden z nich pożytek, ale lubię na nie patrzeć. Pięciofrankowa moneta jest śliczna jak stokrotka.

– Nigdy nie przyszłoby mi do głowy takie porównanie.

– To naturalne, w końcu to nie pan dostał literacką Nagrodę Nobla.

– Czy jednak w gruncie rzeczy ta Nagroda Nobla nie pozostaje w sprzeczności z pańską teorią? Czyż nie zakłada, że przynajmniej członkowie jury pana czytali?

– To wcale nie takie pewne. Ale jeśli nawet jurorzy czytali moje książki, nie podważa to w niczym mojej teorii. Jest tylu ludzi, którzy posuwają swoje wyrafinowanie

do tego stopnia, że czytają, nie czytając. Tak jak ludzie-żaby – przemierzają książki, i nie ochłapie ich nawet kropla wody.

– Tak, mówił pan o tym podczas poprzedniego wywiadu.

– Czytelnicy-żaby. Stanowią olbrzymią większość czytających istot ludzkich, mimo to bardzo późno odkryłem ich istnienie. Taki już jestem naiwny. Sądziłem, że wszyscy czytają tak samo jak ja, a ja czytam, tak jak jem: to znaczy, że nie tylko tego potrzebuję, ale że staje się to także jednym z moich elementów składowych, i powoduje modyfikację pozostałych. Nie jest się tą samą osobą, niezależnie od tego, czy się jadło pasztetową czy kawior; nie jest się też tą samą osobą, niezależnie od tego, czy czytało się Kanta (przed czym uchowaj mnie Boże) czy Queneau. Mówię „jest się”, ale powinienem powiedzieć „jestem ja i paru innych”, gdyż większość ludzi z lektury Prousta czy Simenona wychodzi w identycznym stanie: nie tracą ani odrobiny z tego, kim byli, nie zyskują ani odrobiny czegoś więcej. Po prostu przeczytali, to wszystko; w najlepszym razie wiedzą, „o co chodzi”. Niech pan nie myśli, że przejawiam. Ileż to razy pytałem różnych inteligentnych ludzi: „Czy ta książka pana odmieniła?” A oni wybałuszali na mnie oczy z miną, która mówiła: „Niby dlaczego miałyby mnie odmienić?”

– Pozwoli pan, panie Tach, że wyrażę zdziwienie: przemawia pan niczym obrońca książek z przesłaniem, co bardzo do pana niepodobne.

– Niezbyt bystry z pana chłopak, co? Więc wyobraża pan sobie, że to książki z przesłaniem mogą odmienić jednostkę? Kiedy to właśnie takie najmniej ją odmieniają. Nie, książki, które naznaczają i przeobrażają człowieka, są inne: to książki wyrosłe z pragnienia, z rozkoszy, z geniuszu, a zwłaszcza książki wyrosłe z piękna. Weźmy na przykład wybitną książkę o pięknie: *Podróż do kresu nocy*. Jak po jej przeczytaniu nie stać się innym człowiekiem? Tymczasem większość czytelników dokonuje tego literackiego wyczynu bez żadnego wysiłku. A potem mówią: „O, tak, Céline jest znakomity” i wracają do swoich spraw. Oczywiście Céline to przypadek skrajny, ale mógłbym przytoczyć też i innych. Człowiek nigdy nie pozostaje taki sam po lekturze książki, nawet tak skromnej jak Léo Maleta – Léo Malet odmienia człowieka. Kiedy się przeczytało Léo Malleta, nigdy już nie będzie się patrzeć na młode dziewczęta w prochowcach takim samym wzrokiem, jak kiedyś. To bardzo ważne! Odmienić spojrzenie – na tym polega nasze zadanie.

– Czy nie wydaje się panu jednak, że każdy człowiek, świadomie lub nie, przeczytawszy książkę, odmienia swoje spojrzenie?

– O, nie. Do tego zdolna jest jedynie śmietanka czytelnicza. Pozostali nadal patrzą na świat równie powierzchownie, jak przedtem. A pozostaje jeszcze problem czytelników, którzy sami w sobie stanowią niezwykle rzadką rasę. Większość ludzi w ogóle nie czyta. A skoro już przy tym jesteśmy – istnieje świetne powiedzenie jakiegoś intelektualisty, którego nazwiska już nie pamiętam: „Ludzie w gruncie rzeczy nie czytają; albo jeśli czytają, nie rozumieją; albo jeśli zrozumieli, zapominają”. Nie wydaje się panu, że to niezwykle trafnie podsumowuje całą sytuację?

– W takim razie czy to nie tragedia, być pisarzem?

– Nawet jeśli jest w tym coś tragicznego, na pewno nie z tego się bierze. To, że człowieka nie czytają, jest dobrodziejstwem. Można sobie pozwolić na wszystko.

– Ale przecież na początku musiano pana czytać, inaczej nie stałby się pan sławny.

– Może trochę na początku – tak.

– Wracam więc do mojego wyjściowego pytania. Pod jakim względem te początkowe utwory spełniały oczekiwania czytelnika?

– Nie wiem. Były to lata trzydzieste. Nie było telewizji, ludzie musieli jakoś zabijać czas.

– Zgoda, ale dlaczego akurat pan, a nie inny pisarz?

– Tak naprawdę wielki sukces odniosłem dopiero po wojnie. To zresztą zabawne, bo nie brałem żadnego udziału w całej tej hecy; już wtedy byłem prawie kaleką, zresztą dziesięć lat wcześniej z powodu otyłości zwolniono mnie ze służby wojskowej. W 1945 roku zaczął się czas wielkiej ekspiacji; ludzie mniej lub bardziej wyraźnie czuli, że mają na sumieniu pewne grzeszki. Wtedy wpadły im w ręce moje powieści, gromkie niczym klątwy i pełne nieczystości i uznali, że będą one dla nich karą, i to z nawiązką za ich własną nikczemność.

– I były?

– Mogły być. Mogły być także czymś innym, ale cóż, *vox populi, vox dei*. Poza tym bardzo szybko przestano mnie czytać. Podobnie zresztą jak i Céline'a; Céline jest

prawdopodobnie jednym z najrzadziej czytanych pisarzy. Różnica polega na tym, że mnie przestano czytać ze słusznych powodów, a jego – z niesłusznych.

- Dużo pan mówi o Céline'ie.
- Kocham literaturę, proszę pana. To pana dziwi?
- Czy wobec tego można przyjąć, że w jego książkach nie przeprowadza pan czystek?
- Nie, to on nieustannie oczyszcza moje.
- Czy pan go poznał?
- Nie, zrobiłem coś lepszego – ja go przeczytałem.
- A czy on pana czytał?
- Z pewnością. Nieraz to czułem, kiedy go czytałem.
- Czy wywarł pan wpływ na Céline'a?
- Mniejszy niż on na mnie, niemniej pewien wpływ – tak.
- Na kogo jeszcze wywarł pan wpływ?
- Na nikogo, bo nikt inny mnie nie czytał. Céline'owi zawdzięczam to, że mimo wszystko przynajmniej raz ktoś mnie przeczytał – prawdziwie przeczytał.
- Więc sam pan widzi, że chciałby pan, żeby go czytano.
- Żeby on mnie czytał, tylko on. Inni mnie nie obchodzą.
- Czy znał pan innych pisarzy?
- Nie, żadnego nie spotkałem, i żaden nie przyszedł do mnie. Znam niewielu ludzi: oczywiście, Gravelin, poza tym rzeźnik, sprzedawca ze sklepu z nabiałem, ze spożywczego i z trafiki z tytoniem. To chyba wszyscy. A, tak, jest jeszcze ta dziwka pielęgniarzka, no i dziennikarze. Nie lubię widywać się z ludźmi. Mieszkam sam nie dlatego, że kocham samotność, ale dlatego, że nienawidzę gatunku ludzkiego. Będzie pan mógł napisać w tej swojej gazecie, że jestem obrzydliwym mizantropem.
- Dlaczego jest pan mizantropem?
- Przypuszczam, że nie czytał pan *Bрудnych ludzi*.
- Nie.

– Jakże by inaczej. Gdyby pan przeczytał, to by pan wiedział. Istnieją tysiące powodów, żeby nienawidzić ludzi. Dla mnie najważniejszym jest ich absolutne zakłamanie. To zakłamanie, które w żadnej epoce nie cieszyło się taką estymą jak dzisiaj. Pewnie pan myśli, ileż to on mógł znać tych epok. Niemniej mogę pana zapewnić, że żadnej z tych, które znałem, nie nienawidziłem równie mocno, jak dzisiejszych czasów. To era zakłamania w pełnym rozkwicie. A zakłamanie to coś znacznie gorszego niż nielojalność, dwulicowość czy perfidia. Być człowiekiem zakłamanym to w pierwszym rzędzie okłamywać samego siebie, nie z racji ewentualnych problemów z własnym sumieniem, lecz dla własnej, lepkiej satysfakcji popartej tak pięknymi słówkami, jak „wstyd” czy „godność”. Następnie okłamywać innych, przy czym nie chodzi tu o uczciwe, podłe kłamstwa, nie o kłamstwa dla rozróby, nie; chodzi o kłamstwa obłudne, kłamstwa *light*, serwowane człowiekowi z uśmiechem, tak jakby chodziło o sprawienie mu przyjemności.

– Przykład?

– Na przykład obecna sytuacja kobiet.

– O?! Czyżby pan był feministą?

– Ja, feministą? Nienawidzę kobiet jeszcze bardziej niż mężczyzn.

– Czemu?

– Z tysiąca powodów. Przede wszystkim dlatego, że są brzydkie – czy widział pan kiedykolwiek stworzenie brzydsze od kobiety? Co to za pomysł, żeby mieć piersi, biodra, nie mówiąc już o całej reszcie. Poza tym nienawidzę kobiet tak samo, jak nienawidzę wszystkich ofiar. Ofiary to wstrętne rasa. Gdyby tak doprowadzić do jej zagłady, może na świecie zapanowałyby nareszcie spokój, a i same ofiary miałyby nareszcie to, na czym im tak zależy, czyli męczeństwo. Kobiety to ofiary szczególnie szkodliwe, gdyż przede wszystkim są ofiarami samych siebie, ofiarami innych kobiet. Chcąc poznać dno uczuć ludzkich, powinien pan zainteresować się uczuciami, jakie żywią wobec siebie kobiety: w obliczu takiej hipokryzji, zazdrości, złośliwości i podłości zadrży pan ze zgrozy. Nie spotka pan nigdy dwóch kobiet toczących z sobą zdrową walkę na pięści czy bodaj solidnie sobie urągających. Wśród nich triumfują podstępne ciosy, drobne świństwa, które ranią boleśniej niż prawy prosty w szczękę. Powie pan, że to nic nowego, że od Adama i Ewy świat kobiet już taki jest. Ale ja powiem, że los kobiety nigdy nie był gorszy

– zgódźmy się, że z jej własnej winy, tylko co to zmieni? Obecna sytuacja kobiet – to arena najobrzydliwszego z możliwych zakłamania.

– Jak dotąd niewiele mi pan wyjaśnił.

– Popatrzmy, jak sytuacja przedstawiała się kiedyś: kobieta jest istotą niższą od mężczyzny, co oczywiste – wystarczy spojrzeć na jej brzydotę. W przeszłości nie było zakłamania: nie ukrywano przed nią, że jest istotą niższą i tak też ją traktowano. Dziś natomiast wygląda to wręcz obrzydliwie: kobieta nadal jest istotą niższą od mężczyzny – i nadal równie szpetną – ale teraz wmawia się w nią, że jest mu równa. A ponieważ jest głupia, oczywiście w to wierzy. Tymczasem nadal traktowana jest jako istota niższa; płace to zaledwie jeden z mniej znaczących tego dowodów. Inne są już bardziej ważne: kobiety nadal wloką się na szarym końcu we wszystkich dziedzinach, poczynając od uwodzenia, choć nic w tym dziwnego, zważywszy ich brzydotę, niedostatek rozumu, a już zwłaszcza odrażającą klótlivość, ujawniającą się przy byle okazji. Niech pan patrzy i podziwia zakłamanie istniejącego systemu, który każe wierzyć brzydkiej, głupiej, złej i wyzbytej wdzięku niewolnicy, że ma równe szansę co jej pan w sytuacji, gdy ma ich zaledwie jedną czwartą. Ja uważam to za obrzydliwe. Gdybym był kobietą, czułbym się tym zniesmaczony.

– Niemniej dopuszcza pan chyba myśl, że można się z panem nie zgodzić?

– „Dopuszczać myśl” jest niewłaściwym sformułowaniem. Nie dość, że jej me dopuszczam, ale czuję się wręcz zaszokowany. W imię jakiego zakłamania pan mi się sprzeciwia?

– Przede wszystkim w imię moich własnych upodobań. Nie uważam kobiet za brzydkie.

– Mój biedny przyjacielu, ma pan kloaczne gusty.

– Pierś kobieca jest piękna.

– Sam pan nie wie, co mówi. Już na lakierowanym papierze magazynów ilustrowanych kobiece wypukłości oscylują na granicy niedopuszczalności. A co powiedzieć o tych prawdziwych samicach, których nikt nie odważyłby się pokazać, które jednakowoż stanowią przytłaczającą większość... Brrr.

– To są pańskie gusta. Można ich nie podzielać.

– No pewnie, nawet kiszkę sprzedawaną u rzeźnika można uznać za piękną; wszystko jest dopuszczalne.

– Jedno z drugim nie ma nic wspólnego.

– Kobieta to ochłap mięsa. Czasami o kobiecie wyjątkowo szpetnej mówi się, że to larwa. A prawda jest taka, że wszystkie kobiety to larwy.

– Pozwoli pan, że zapytam, kim w takim razie jest pan.

– Kupą sadła. Nie widać tego?

– Ale mężczyźni uważa pan za pięknych?

– Tego nie powiedziałem. Mężczyźni mają wygląd mniej odstręczający od kobiet. Co wcale nie znaczy, że są piękni.

– Więc nie ma ludzi pięknych?

– Są. Niektóre dzieci są bardzo piękne. Nie trwa to, niestety, długo.

– Uważa pan dzieciństwo za błogosławiony okres?

– Szkoda, że nie może pan siebie usłyszeć! „Dzieciństwo to błogosławiony okres”.

– Komunał, ale i prawda, no nie?

– Pewnie że prawda, bydlaku! Tylko czy trzeba o tym mówić? Wszyscy to wiedzą.

– W gruncie rzeczy, panie Tach, jest pan człowiekiem całkowicie zdesperowanym.

– Dopiero teraz pan to odkrył? Niech pan sobie odpocznie, młodzieńcze, taki przebłysk geniuszu musiał pana wyczerpać.

– Co jest powodem pańskiej desperacji?

– Wszystko. To nie świat jest źle urządzony, a życie. Dzisiejsze zakłamanie polega również na tym, że na cały głos krzyczy się coś przeciwnego. Jest inaczej, ale wszyscy jednogłośnie beczą: „Życie jest piękną! Kochamy życie!” Trzęsie mną, gdy słyszę takie idiotyzmy.

– Te idiotyzmy mogą być całkiem szczerze.

– Ja też tak uważam, ale dlatego wszystko staje się jeszcze groźniejsze, gdyż dowodzi, że zakłamanie jest skuteczną bronią, że ludzie łykają te niedorzeczności. Tymczasem mają gówniane życie, gównianą pracę, mieszkają w różnych okropnych

miejscach z różnymi okropnymi osobami i poniżając się do ostatecznych granic, nazywają to szczęściem.

- Ależ tym lepiej dla nich, jeśli żyjąc tak, czują się szczęśliwi!
- Słusznie, tym lepiej dla nich.
- A na czym polega pańskie szczęście, panie Tach?
- Na nicości. Mam spokój, a to już jest coś – to znaczy, miałem spokój.
- Czy nigdy nie był pan szczęśliwy? Cisza.
- Mam przez to rozumieć, że był pan szczęśliwy?... Czy też, że nigdy pan nie był?
- Zamilcz pan wreszcie, zastanawiam się. Nie, nigdy nie byłem szczęśliwy.
- To straszne.
- Dać panu chusteczkę?
- Nawet w dzieciństwie?
- Nigdy nie byłem dzieckiem.
- Co pan chce przez to powiedzieć?
- Dokładnie to, co powiedziałem.
- Był pan kiedyś mały!
- Mały tak, ale nie dzieckiem. Już wtedy byłem Prétextatem Tachem.
- Prawdą jest, że o pańskim dzieciństwie nic się nie wie. Pana biografie zaczynają się zawsze od momentu, gdy był pan już dorosły.
- To normalne, ponieważ nie miałem dzieciństwa.
- Musiał pan przecież mieć rodziców.
- Co krok, to przebłysk genialnej intuicji, młodzieńcze.
- Co robili pańscy rodzice?
- Nic.
- Jak to, nic?
- Rentierzy. Stara fortuna rodzinna.
- Czy oprócz pana żyją jacyś inni jej sukcesorzy?
- Nasłał pana urząd podatkowy?

– Nie, chciałem się tylko dowiedzieć...

– Niech pan pilnuje własnych spraw.

– Być dziennikarzem, panie Tach, to znaczy grzebać w sprawach innych ludzi.

– To niech pan zmieni zawód.

– Nie ma mowy. Lubię ten zawód.

– Biedny chłopak.

– Zadam panu to pytanie inaczej. Proszę mi opowiedzieć o tym okresie pańskiego życia, gdy czuł się pan najszcześniejszy.

Cisza.

– Mam zadać to pytanie jeszcze inaczej?

– Bierze mnie pan za idiotę, czy co? W jaką grę bawi się pan teraz? Piękna markizo, dla twoich cudnych oczu umieram z miłości itp., czy tak?

– Ależ proszę się uspokoić, próbuję tylko wykonywać swój zawód.

– A ja swój.

– Więc zdaniem pana pisarz to osoba, której zawód polega na nieudzielaniu odpowiedzi?

– Otóż to.

– A Sartre?

– Co, Sartre?

– Sartre odpowiadał na pytania.

– I co z tego?

– To podważa słuszność pańskiej definicji.

– Na odwrót, to ją potwierdza.

– Chce pan powiedzieć, że Sartre nie był pisarzem?

– A to pan o tym nie wiedział?

– Cóż znowu, pisał bardzo dobrze.

– Niektórzy dziennikarze też bardzo dobrze piszą. Nie wystarczy jednak mieć dobre pióro, żeby zostać pisarzem.

– Co pan powie? A co takiego jeszcze trzeba mieć?

– O, wiele rzeczy. Przede wszystkim trzeba mieć jaja. A jaja, o których mówię, są niezależne od płci; najlepszy dowód, że niektóre kobiety też je mają. Takich kobiet jest niewiele, ale są: mam na myśli Patricię Highsmith.

– Zdumiewające, że tak wielki pisarz jak pan lubi książki Patricii Highsmith.

– A to dlaczego? Co w tym zdumiewającego? Takie niby nic, a przecież ona musi ludzi, a jeszcze bardziej kobiet, nienawidzić tak samo jak ja. Wyczuwa się, że nie pisze po to, by zyskać uznanie salonów.

– A Sartre pisał po to, by zyskać uznanie salonów?

– No pewnie! Nigdy tego pana nie spotkałem, ale wystarczyło mi przeczytać jego książki, by zrozumieć, do jakiego stopnia kochał salony.

– Trudno to przełknąć w przypadku lewicowca.

– A co ma jedno do drugiego? Myśli pan, że lewicowcy nie kochają salonów? Wręcz przeciwnie, uważam, że oni kochają je bardziej niż ktokolwiek inny. To zresztą zupełnie normalne: gdybym przez całe życie był robotnikiem, mnie również marzyłyby się salony.

– Pan nieprawdopodobnie upraszcza sytuację; przecież nie wszyscy lewicowcy są robotnikami. Niektórzy wywodzą się ze znakomitych rodzin.

– Co pan powie? No to dla tych nie ma już żadnego usprawiedliwienia.

– Czyżby pan był zatwardziałym antykomunistą, panie Tach?

– Czyżby pan cierpiał na przedwczesny wytrysk, panie żurnalisto?

– Kiedy znów jedno z drugim nie ma nic wspólnego.

– Ja też tak uważam. Zatem wracajmy do jaj. To najważniejszy organ u pisarza. Pisarz bez jaj oddaje swoje pióro w służbę obłudzie. Zęby dać panu przykład weźmy pisarza, posiadającego świetne pióro i dostarczmy mu tematu. Jeśli ma jaja jak się patrzy, zaowocuje to *Śmiercią na kredyt*. Jeśli nie ma jaj, napisze *Mdłości*.

– Czy pan aby nie upraszcza?

– I to pan, dziennikarz, mi to mówi? I pomyśleć, że przez moją niezwykłą dobroć próbowałem zniżyć się do pańskiego poziomu!

– Aż tyle nie oczekuję. Chciałbym tylko, żeby mi pan dał metodyczną i dokładną definicję tego, co nazywa pan „jajami”.

– Po co? Nie zamierza pan chyba opracować jakiejś popularnonaukowej broszury na mój temat?

– Ależ skąd! Próbuję tylko nawiązać z panem jakąś w miarę klarowną ić porozumienia.

– Taak, tego się właśnie obawiałem.

– No, panie Tach, proszę mi choć raz uprościć zadanie.

– Musi pan wiedzieć, młodzieńcze, że nienawidzę uproszczeń; zatem *a fortiori*, żądając ode mnie uproszczeń, nie należy oczekiwać, że odniosę się do tego z entuzjazmem.

– Kiedy ja wcale nie żądam uproszczeń. Proszę pana tylko o jedną, krótką definicję tego, co nazywa pan „jajami”.

– No, już dobrze, dobrze, niech pan przestanie się mazać. Swoją drogą, co to się z wami, dziennikarzami, dzieje? Wszyscy jesteście tacy przewrażliwieni.

– Słucham pana.

– Cóż, jaja to zdolność jednostki do przeciwstawienia się obłudzie, której pełno wkoło. Naukowe, co?

– Proszę mówić dalej.

– Co oznacza, że prawie nikt takich jaj nie ma. Liczba ludzi posiadających jednocześnie i dobre pióro, i owe jaja jest nieskończenie mała. Stąd na świecie tak niewielu jest pisarzy. Tym bardziej, że wymagane są też i inne przymioty.

– Mianowicie?

– Trzeba mieć jeszcze kutasa.

– To logiczne: skoro jaja to i kutas. A definicja kutasa?

– Kutas to zdolność tworzenia. Ludzie zdolni coś prawdziwie tworzyć są rzadkością. Większość zadowala się powielaniem – z mniejszym lub większym talentem – poprzedników, którzy najczęściej również są naśladowcami innych. Może się też zdarzyć, że dobre pióro posiada kutasa, ale brak mu jaj, na przykład Wiktor Hugo.

– A pan?

– Ja być może wyglądam na eunucha, ale mam wielkiego kutasa.

– A Céline?

– O, Céline ma wszystko: genialne pióro, wielkie jaja, wielkiego kutasa i całą resztę.

– Resztę? To co jeszcze trzeba mieć? Odbyt?

– Co to, to nie! Odbyt potrzebny jest nie pisarzowi, a czytelnikowi, żeby go można tam trafić. Nie, do tego trzeba mieć jeszcze wargi.

– Nie ośmielę się zapytać, które to wargi ma pan na myśli.

– Jest pan odrażający, słowo daję. Mówię o wargach ust. Sprośny z pana osobnik!

– Niech będzie. No a definicja warg?

– Wargi odgrywają dwojaką rolę. Przede wszystkim zamieniają słowo w akt zmysłowy. Wyobraża pan sobie, czym byłoby słowo bez warg? Byłoby czymś beznadziejnie zimnym, oschłym i wyzbytym niuansów zupełnie jak wypowiedź komornika sądowego. O wiele bardziej doniosła jest jednak ich druga rola: wargi służą do zamknięcia ust w przypadku spraw, o których nie powinno się mówić.

Dłoń również ma swoje usta, nie pozwalające jej pisać rzeczy, których nie należy pisać. To absolutnie niezbędne. Byli pisarze posiadający z nawiązką talentu, jaj i kutasa, którzy zaprzepaścili jednak swoje dzieło, mówiąc rzeczy, które nie powinny zostać powiedziane.

– Dziwią mnie te słowa w pańskich ustach; autocenzura to nie w pańskim stylu.

– A kto tu mówi o autocenzurze? Rzeczy, których mówić nie należy, to niekoniecznie rzeczy brudne. Odwrotnie, brudy zawsze należy z siebie wyrzucać, bo to zdrowe, wesołe i ożywcze. Nie, rzeczy, o których nie należy mówić, są innego rodzaju – tylko niech pan nie oczekuje, że powiem panu, jakie to są rzeczy, gdyż właśnie tych rzeczy mówić się nie powinno.

– No, nareszcie wszystko jest jasne.

– Czy nie uprzedzałem pana przed chwilą, że mój zawód polega na nieodpowiadaniu na pytania? Niech pan zmieni pracę, staruszk.

– Nieodpowiadanie na pytania to także po części rola warg, prawda?

– Nie tylko warg, ale także jaj. Trzeba mieć jaja, żeby na pewne pytania nie odpowiadać.

– Pióro, jaja, kutas, wargi – czy to już wszystko?

– Nie, trzeba mieć także ucho i rękę.

– Ucho, żeby słyszeć?

– To zrozumiałe. Jest pan genialny, młodzieńcze. Właściwie ucho jest pudłem rezonansowym warg. To taki wewnętrzny odzew. Flaubert był okropnie kokieteryjny w tym swoim gadulstwie..., tylko czy naprawdę wyobrażał sobie, że ludzie mu uwierzą? Wiedział, że nie ma potrzeby wykrzykiwać słów; że słowa same za siebie krzyczą. Wystarczy się w nie wsłuchać wewnątrz samego siebie.

– A ręka?

– Ręka służy do uzyskania orgazmu. To ogromnie ważne. Jeśli pisarz nie doznaje rozkoszy, powinien natychmiast zarzucić pisanie. Pisać i nie czerpać z tego rozkoszy cielesnej – to amoralne. Pisarstwo samo w sobie zawiera już wszelkie możliwe załączki niemoralności. Jedynym usprawiedliwieniem pisarza jest rozkosz. Pisarz, który jej nie odczuwa jest równie odrażający, jak łajdak, który gwałci małą dziewczynkę bez żadnej przyjemności, gwałci, by gwałcić, by bezinteresownie zadać ból.

– To są rzeczy nieporównywalne. Pisarstwo nie jest aż tak szkodliwe.

– Sam pan nie wie, co mówi. Oczywiście, skoro mnie pan nie czytał, nie może pan wiedzieć. Pisarstwo przynosi szkody w każdej dziedzinie. Proszę pomyśleć tylko o drzewach, które trzeba wyciąć na papier, o miejscu, które trzeba znaleźć na składowanie książek, o pieniądzech potrzebnych na ich wydrukowanie, o nudzie tych nieszczęsnych istot, które będą je czytać, o kiepskim samopoczuciu nędzników, którzy je kupią, lecz zabraknie im odwagi, by je przeczytać, o smutku tych uprzejmych durniów, którzy przeczytają je, nic z nich nie rozumiejąc, i wreszcie przede wszystkim o jałowości rozmów, które toczyć się będą po ich przeczytaniu lub nieprzeczytaniu. Więc niech mnie pan nie usiłuje przekonać, że pisarstwo nie jest szkodliwe.

– Ale przecież nie może pan w stu procentach wykluczyć możliwości, że spotka pan jednego czy dwóch czytelników, którzy naprawdę pana rozumieją, choćby tylko

fragmentarycznie. Czyż takie przebłyski głębokiej jedności z tymi kilkoma jednostkami nie wystarczą, by uczynić z pisanania akt dobroczynny?

– Co za brednie! Nie wiem, czy takie jednostki istnieją, ale nawet jeśli istnieją, to właśnie im to, co piszę, wyrządzi najwięcej szkody. Jak się panu wydaje – o czym traktują moje książki? Może wyobraża pan sobie, że opowiadam w nich ó ludzkiej dobroci i radości życia? Skąd, u diabła, przyszło panu do głowy, że zrozumienie mnie uszczęśliwia człowieka? Jest odwrotnie!

– Jedność, choćby i w rozpaczy – czy to nie przyjemne?

– A czy panu sprawiłaby przyjemność świadomość, że jest pan równie zrozpaczony, jak pański sąsiad? Dla mnie to tym smutniejsze.

– W takim razie po co w ogóle pisać? Po co próbować coś przekazać?

– Ostrożnie, niech pan nie myli pojęć: pisarstwo nie jest próbą przekazania czegokolwiek. Pyta mnie pan, po co pisać, na co bardzo konkretnie i wyraźnie odpowiadam: dla fizycznej rozkoszy. Jeśli nie czuje się tej rozkoszy, należy zarzucić pisanie. Tak się składa, że jeżeli o mnie chodzi, pisanie daje – czy raczej dawało mi rozkosz, i to zawrotną. I niech pan nie pyta dlaczego, bo nie wiem. Zresztą wszelkie teorie próbujące objaśnić istotę rozkoszy były idiotyczne, jedna bardziej od drugiej. Kiedyś pewien niezmiernie poważny człowiek powiedział mi, że rozkosz w trakcie stosunku bierze się z tego, że człowiek stwarza nowe życie. Ma pan pojęcie? Tak jakby można czerpać jakąkolwiek przyjemność z tworzenia czegoś równie brzydkiego i smutnego, jak życie. Ponadto zakładałoby to, że biorąc pigułkę antykoncepcyjną kobieta nie przeżywa orgazmu, gdyż nie daje początku nowemu życiu. I co najlepsze, ten osobnik naprawdę wierzył w swoją teorię! Krótko mówiąc, niech mi pan nie każe wyjaśniać, skąd bierze się rozkosz pisanania: jest faktem, i to wszystko.

– A co ma do tego wszystkiego ręka?

– Ręka jest siedliskiem rozkoszy pisanania. Zresztą nie tylko ona: pisząc, zaznaje się rozkoszy również brzuchem, lędźwiami, czołem i szczękami. Ale szczególny typ rozkoszy umiejscawia się w dłoni, która trzyma pióro. Trudno to wytłumaczyć: tworząc to, co pragnie stworzyć, dłoń drży z rozkoszy, staje się narządem genialnym. Ileż to razy pisząc, doznawałem dziwnego wrażenia, że to moja ręka rządzi, że sunie po papierze, nie pytając mózgu o zdanie. Och, wiem, że żaden analityk nie zgodzi się z podobną rzeczą, co nie

zmienia faktu, że często takie ma się właśnie uczucie. Dłoń doświadcza wówczas rozkoszy zbliżonej do tej, której doświadcza koń, kiedy poniesie, więzień, który ucieka z więzienia. Skądinąd nasuwa się tu inne jeszcze porównanie: czyż to nie podniecające, że tak do pisania, jak do masturbacji używa się tego samego narzędzia – czyli dłoni?

– Dłoni używamy również przyszywając guzik lub dłubiąc w nosie.

– Ależ pan trywialny! A zresztą czego to dowodzi? Czynności pospolite nie wykluczają czynności wzniosłych.

– A masturbacja czyni z ręki użytek wzniosły?

– No pewnie! Czy to nie nadzwyczajne, że zwykła, skromna dłoń, sama jedna potrafi odtworzyć rzecz tak złożoną, tak kosztowną, tak trudną do wyreżyserowania i pełną rozterek jak seks? Czy to nie podziwu godne, że taka miła, zwyczajna dłoń dostarcza człowiekowi tyleż samo (o ile nie więcej) rozkoszy, co rozpaczliwie nudna i kosztowna w utrzymaniu kobieta?

– Można i tak na to spojrzeć...

– Kiedy takie one właśnie są, młodzieńcze! Nie zgodzi się pan ze mną?

– Panie Tach, to ja z panem przeprowadzam wywiad, nie pan ze mną.

– Innymi słowy, wybrał pan dla siebie dogodniejszą rolę...

– Jeśli to panu sprawi przyjemność, to jak dotąd moja rola wcale nie wydaje mi się taka dogodna. Dał mi pan już nieźle popalić.

– Nie powiem, sprawia mi to przyjemność.

– W porządku, wróćmy zatem do naszych organów. Tak więc: pióro, jaja, kutas, wargi, ucho i ręka. To wszystko?

– Jeszcze panu mało?

– Sam nie wiem. Wyobrażałem sobie coś jeszcze.

– Ach, tak? A co by pan jeszcze chciał? Srom? Gruczoł krokowy?

– Teraz pan jest trywialny. Nie. Pewnie mnie pan wyśmiej, ale sądziłem, że potrzebne jest jeszcze serce.

– Serce? Dobry Boże, niby po co?

– Dla uczuć, dla miłości.

– Te sprawy nie mają nic wspólnego z sercem. One są związane z jajami, kutasem, ustami i z dłonią. To w zupełności wystarczy.

– Jest pan cyniczny. W tej kwestii nigdy się z panem nie zgodzę.

– Tyle że pańska opinia nikogo nie interesuje, jak sam pan przed chwilą przyznał. Ale zupełnie me rozumiem, na czym polega cynizm moich słów. Uczucia i miłość to sprawa organów, co do tego jesteśmy zgodni; rozbieżność między nami dotyczy jedynie charakteru tego organu. Pan dopatruje się w nim zjawiska kardiologicznego. Nie oburzam się na to, nie urągam panu. Poprzestaję jedynie na stwierdzeniu, że pańskie teorie anatomiczne są osobliwe, a przez to również interesujące.

– Panie Tach, dlaczego pan udaje, że mnie nie rozumie?

– Co mi pan tu imputuje! Niczego nie udaję, impertynencie!

– Przecież dobrze pan wie, że mówiąc o sercu, nie miałem na myśli organu!

– Nie? W takim razie co pan miał na myśli, mówiąc o nim?

– Wrażliwość, uczuciowość, emocjonalność!

– Aż tyle tego w jednym głupim sercu pełnym cholesterolu!

– No wie pan, panie Tach, nie jest pan wcale zabawny.

– Ja nie, to pan jest zabawny. Po co opowiada mi pan rzeczy niemające nic wspólnego z tym, o czym mówimy?

– Ośmielił się pan twierdzić, że literatura nie ma nic wspólnego z uczuciami?

– Cóż, młodzieńcze, wydaje mi się, że pan i ja co innego rozumiemy pod pojęciem „uczucia”. Dla mnie uczucie to chęć, by przyłożyć komuś w pysk. Dla pana – wyplakać się w rubryce „Poczta serc” ilustrowanego pisma kobiecego.

– W takim razie co to jest, pana zdaniem?

– Dla mnie to pewien stan duszy, czyli miła kłamliwa historyjka, którą się opowiada, by nabrać wrażenia, że dostąpiło się godności bycia człowiekiem; by przekonać samego siebie, że nawet w momencie defekacji pozostaje się istotą uduchowioną. To kobiety często wymyślają ten stan, ponieważ praca, jaką wykonują, nie wymaga od nich żadnego wysiłku intelektualnego. A jedną z charakterystycznych cech naszego gatunku jest przeświadczenie, że umysł musi zawsze funkcjonować, nawet kiedy jest do niczego nieprzydatny; ta godna pożałowania niedogodność techniczna leży u

podłoża wszelkich ludzkich niedoli. Zamiast oddać się szlachetnej beczynności, eleganckiemu relaksowi na podobieństwo uśpionego w słońcu węża, mózg gospodyni domowej, poirytowany swoją bezprzydatnością, zaczyna tworzyć różne debilne i pretensjonalne scenariusze – o tyle bardziej pretensjonalne, że praca gospodyni domowej wydaje mu się poniżająca. Co jest o tyle głupie, że nie ma nic poniżającego w odkurzeniu czy szorowaniu wychodków; są to rzeczy, które trzeba zrobić, i już. Ale kobietom wydaje się zawsze, że znalazły się na ziemi celem wypełnienia jakiejś szlachetnej misji. Tak samo zresztą jak większości mężczyzn, z tym, że oni nie są w tym tak obsesyjni, ponieważ ich umysły absorbują rachunki, awanse, donoszenie na innych i deklaracje podatkowe, stąd też na różne idiotyczne pomysły pozostaje już niewiele miejsca.

– Obawiam się, że jest pan trochę anachroniczny. Dzisiejsze kobiety również pracują i borykają się z podobnymi problemami co mężczyźni.

– Ależ pan naiwny! One tylko udają. Szuflady ich biurków wypełniają po brzegi lakiery do paznokci i pisma kobiece. Dzisiejsze kobiety są jeszcze gorsze niż dawne kury domowe, bo tamte przynajmniej do czegoś się nadawały. Współczesne spędzają czas na omawianiu z koleżankami tematów tak doniosłych jak ich kłopoty sercowe lub kaloryczne, co dokładnie na jedno wychodzi. A kiedy robi im się już bardzo nudno, pozwalają się przelecieć swojemu zwierchnikowi, dzięki czemu mogą doświadczyć nieziemskiego upojenia, że udało im się namieszać w życiu bliźnich. Dla kobiety to najwspanialszy awans. Zniszczywszy życie drugiego człowieka, uważa swój wyczyn za najwyższy dowód uduchowienia. „Czynię zamęt, znaczy mam duszę” – tak rozumuje kobieta.

– Słuchając pana, można by przysiąc, że ma pan jakieś porachunki z kobietami.

– A jakże! Jedna z nich dała mi życie, choć wcale o to nie prosiłem.

– Mówi pan tak, jakby znajdował się pan w kwiecie wieku dojrzewania.

– Błąd: ja znajduję się w kwiecie wieku.

– Niezwykle zabawne. Ale mężczyzna też miał przecież swój udział w pańskim przyjsciu na świat.

– Jak pan wie, za mężczyznami również nie przepadam.

- Ale bardziej nienawidzi pan kobiet. Dlaczego?
- Z przyczyn, które już wymieniłem.
- Tak. Ale widzi pan, jakoś trudno mi uwierzyć, że nie ma tu jeszcze jakiejś innej przyczyny. Pańska mizoginia na odległość trąci żądzą zemsty.
- Zemsty? Niby za co? Zawsze byłem kawalerem.
- Nie tylko małżeństwo mogło być tego przyczyną. Zresztą nawet pan sam może być nieświadom, skąd ta żądza zemsty się bierze.
- Oho, już widzę, do czego pan zmierza. Nie, nie zgadzam się na żadną psychoanalizę.
- Niekoniecznie od razu na psychoanalizę, niemniej mógłby pan się nad tym zastanowić.
- Wielki Boże, zastanowić nad czym?
- Nad pańskimi związkami z kobietami.
- Jakimi związkami? Jakimi kobietami?
- Nie powie mi pan chyba, że... No, nie!
- Co, nie?
- Czyżby pan był...?
- Był czym?
- ... prawiczkiem?
- Oczywiście.
- To niemożliwe.
- To jak najbardziej możliwe.
- Ani z kobietą, ani z mężczyzną?
- Czy ja, pana zdaniem, wyglądam na ciotę?
- Proszę mnie źle nie zrozumieć, zdarzają się bardzo wybitni homoseksualiści.
- Pan mnie rozśmiesza. Mówi pan to tak, jakby chciał pan powiedzieć: „Zdarzają się nawet uczciwi sutenerzy” – zupełnie jakby określenia „homoseksualista” i „wybitny” wzajem sobie przeczyły. Oburza mnie natomiast, że nie chce pan przyjąć do wiadomości, iż mógłbym być prawiczkiem.

- Proszę się postawić na moim miejscu!
- Jak człowiek mojego formatu miałby postawić się na pana miejscu?
- To... to niesłychane! W swoich powieściach mówi pan o seksie jak wytrawny ekspert, jak entomolog!
- Mam doktorat z masturbacji.
- Czy masturbacja wystarczy do takiej znajomości ciała?
- Dlaczego pan udaje, że mnie pan czytał?
- Wcale me musiałem pana czytać, żeby wiedzieć, iż pańskie nazwisko kojarzone jest z wnikliwą, specjalistyczną w najwyższym stopniu rozprawą na temat seksu.
- To zabawne. Nic mi o tym nie wiadomo.
- Niedawno wpadła mi w ręce praca doktorska, której tytuł brzmiał następująco: „Priapizm Tacha poprzez pryzmat składni”.
- Komiczne. Zawsze bawiły mnie i rozczulały tematy prac doktorskich; rozkoszni są ci studenci, którzy w chęci naśladowania dorosłych wypisują różne bzdury o niebywale wyszukanych tytułach i treści będącej kwintesencją banału, zupełnie jak te pretensjonalne restauracje, gdzie jajkom w majonezie nadaje się różne ogromnie imponujące nazwy.
- Oczywiście, panie Tach, jeśli pan sobie nie życzy, nie będziemy o tym rozmawiali.
- Dlaczego? Uważa pan, że to mało ciekawe?
- Odwrotnie, aż za bardzo. Nie chciałbym jednak zdradzać podobnego sekretu.
- Kiedy to żaden sekret.
- To dlaczego nigdy pan o tym nie mówił?
- A komu miałbym mówić? Nie będę przecież opowiadał rzeźnikowi o moim dziewictwie.
- Naturalnie, ale w gazetach również nie powinno się o tym mówić.
- A to czemu? Czyżby prawo zabraniało dziewictwa?
- Przecież to stanowi część pańskiego życia prywatnego, pańskiej intymności.

– A to wszystko, o co mnie pan wypytywał do tej pory, hipokryto, nie jest częścią mojego prywatnego życia? Przed chwilą nie stroił pan takich ceregieli. Dlatego nie ma co zgrywać się teraz na spłoszoną dziewicę (gdyż tak należy to nazwać).

– Nie zgodzę się z panem. W niedyskrecji też istnieją pewne granice, których nie powinno się przekraczać. Dziennikarz jest siłą rzeczy niedyskretny – taki już jego zawód – lecz wie, jak daleko może się w tym posunąć.

– To teraz już pan mówi o sobie w trzeciej osobie?

– Mówię w imieniu wszystkich dziennikarzy.

– To odruch kastowy, typowy dla tchórzy. Ja odpowiem panu wyłącznie w swoim własnym imieniu, ze mną jako jedynym gwarantem tych słów. I powiem panu, że nie nagnę się do pańskich kryteriów; ja sam osądzę, co w moim życiu jest sekretem, a co nie. A jeśli chodzi o moje dziewictwo – kompletnie mi to zwisa, niech pan robi z nim, co się panu podoba.

– Panie Tach, obawiam się, że nie zdaje pan sobie sprawy z niebezpieczeństw, jakie niesie ze sobą podobna rewelacja; poczuje się pan zbrukany, sprofanowany...

– Teraz ja panu, młodzieńcze, zadam jedno pytanie: głupiec z pana czy masochista?

– Skąd to pytanie?

– Bo jeśli nie jest pan ani głupcem, ani masochistą, to zupełnie nie potrafię sobie wytłumaczyć pańskiego zachowania. Dostarczam panu fantastyczny *scoop*, ofiarowuję go panu w przepięknym odruchu bezinteresownej hojności – a pan, zamiast jak inteligentny sęp, rzucić się na to, zaczyna piętrzyć tysiące obiekcji, krygować się. Wie pan, czym się to skończy, jeśli będzie pan tak dalej robił? Ryzykuje pan, że doprowadzony do ostateczności skonfiskuję panu ten *scoop*, nie po to, by chronić moje święte życie prywatne, ale zwyczajnie po to, żeby panu dopieprzyć. I niech pan przyjmie do wiadomości, że moja szczodropliwość nigdy nie trwa długo, zwłaszcza kiedy się mnie zdenerwuje, więc radzę szybko się decydować i brać, co daję, zanim się rozmyślę. I mógłby mi pan przynajmniej podziękować; w końcu niecodziennie laureat Nagrody Nobla ofiarowuje panu w darze swoje dziewictwo.

– Ogromnie panu dziękuję, panie Tach.

– Otóż to. Uwielbiam takie liźdupy jak pan, mój drogi.

– Ależ to pan zażyczył sobie...

– I co z tego? Nie musi pan przecież robić wszystkiego, co panu każe.

– W porządku. Wróćmy zatem do naszego poprzedniego tematu. Wydaje mi się, że teraz, w świetle tego ostatniego odkrycia, rozumiem przyczyny pańskiej mizoginii.

– O?

– Tak, bo czy pańska żądza zemsty na kobietach nie bierze się z pańskiego dziewictwa?

– Nie widzę w tym żadnego związku.

– Ależ jest: nienawidzi pan kobiet, bo żadna pana nie chciała.

Pisarz ryknął śmiechem, aż mu się zatrzęśły ramiona.

– A to dobre! Wielki z pana komik, staruszk.

– Czy to znaczy, że odrzuca pan moją interpretację?

– Uważam, że pańska interpretacja odrzuca się sama. Wymyślił pan właśnie budujący przykład przyczynowości na opak – skądinąd dziennikarze celują w tym ćwiczeniu.

Ale pan do tego stopnia poprzekręcał dane, że można dostać od tego zawrotu głowy. Tak więc twierdzi pan, że nienawidzę kobiet, bo żadna mnie nie chciała; tymczasem to ja nie chciałem żadnej, i to z tej prostej przyczyny, że ich nie znosiłem. Podwójna inwersja: brawo, zdolny z pana człowiek.

– Chce pan, żebym uwierzył, że nienawidzi pan ich a priori, bez powodu? To niemożliwe.

– Niech pan wymieni coś z jedzenia, czego pan nie znosi.

– Flądra, ale...

– Skąd ta żądza zemsty na biednej flądrze?

– Żadna żądza zemsty, po prostu flądra nigdy mi nie smakowała, i już.

– No tośmy się wreszcie zrozumieli. Nie żywię żadnej żądzy zemsty wobec kobiet, ale nigdy ich nie znosiłem, i już.

– Ależ, panie Tach, to są rzeczy nieporównywalne. Co by pan powiedział, gdybym pana porównał do wołowego ozora?

– Pochlebiłoby mi to, ozór jest pyszny.

– Proszę, bądźmy poważni.

– Ja zawsze jestem poważny. Ze szkodą dla pana, młodzieńcze, gdyż gdybym nie był taki poważny, mogłoby ująć mojej uwadze, że nasza rozmowa trwa już nazbyt długo, pan zaś nie zasługuje na taką hojność z mojej strony.

– Co takiego uczyniłem, żeby sobie na nią nie zasłużyć?

– Jest pan człowiekiem niewdzięcznym i zakłamanym.

– Ja, zakłamanym? To co wobec tego powiedziec o panu?

– Bezczelny! Zawsze wiedziałem, że moja szczerłość nie popłaca. Bo nie dość, że inni w ogóle jej nie dostrzegają, to w dodatku przekręcają fakty – a już pan jest wyjątkowym specem wykręcania kota ogonem – i nazywają ją zakłamaniem. Moja ofiara nie zdała się na nic. Czasami sobie myślę, że gdyby można wszystko zacząć od początku, zostałbym hipokrytą, żeby zaznać wreszcie waszego komfortu i szacunku. Ale gdy patrzę na was, budzicie we mnie takie obrzydzenie, że gratuluję sobie, iż nie poszedłem w wasze ślady, nawet jeśli skazało mnie to na samotność. Samotność jest dobrodziejstwem, bo pozwala mi trzymać się z dala od tego waszego bagna. Moje życie jest parszywe, ale i tak wolę je od waszego. Proszę wyjść; skończyłem już moją przemowę, więc niech się pan wykaże wyczuciem dramatycznym – i wyjdzie.

W kawiarni naprzeciwno opowieść dziennikarza rozpętała dyskusję:

– Czy w istniejącej sytuacji obowiązek moralny nie nakazywałby nam przerwania wywiadów?

– Tach z pewnością odrzekłby na to, że trzeba być hipokrytą, żeby w naszym zawodzie mówić o moralności.

– Bez wątplenia tak właśnie by powiedział, tylko że mimo wszystko nie jest on wyrocznią. Nic nas nie zmusza do przelykania tych jego okropności.

– Rzecz w tym, że te okropności na milę pachną prawdą.

– No proszę, już was przeciągnął na swoją stronę. Żałuję, ale jeśli o mnie chodzi, straciłem cały szacunek dla gościa. Jest po prostu bezwstydnym.

– I to ci właśnie powiedział: jesteś niewdzięcznikiem. Podsuwa ci *scoop* jak marzenie, a ty, zamiast podziękować, zaczynasz nim gardzić.

– Nie słyszałeś tych wszystkich zniewag pod moim adresem?

– Oczywiście, że słyszałem. Dzięki temu rozumiem twoje wkurzenie.

– Chciałbym bardzo, żeby teraz była twoja kolej. Dopiero będziemy mieli zabawę.

– Ja też bardzo bym chciał, żeby to była moja kolej.

– A słyszeliście to, co mówił o kobietach?

– Och, nie można mu tak całkiem odmówić racji.

– Wstydzilibyś się. Na szczęście nie ma z nami żadnej kobiety. Czyja kolej jutro?

– Ktoś nieznajomy. Nie przyszedł się przedstawić.

– Dla kogo pracuje?

– Nie wiadomo.

– Nie zapominaj, że Gravelin żąda od każdego kopii nagrania. Jesteśmy mu to winni.

– To święty człowiek. Od jak dawna pracuje dla Tacha? Codzienne kontakty z nim to dopiero musi być udręka.

– To prawda, ale jakie to musi być fascynujące pracować dla geniusza.

– W tym układzie geniusz – to dobra wymówka.

– Właściwie dlaczego Gravelinowi tak zależy na przesłuchaniu tych kaset?

– Potrzeba lepszego poznania własnego oprawcy. Ja to rozumiem.

– Zastanawiam się, jak on to robi, że wytrzymuje z tym tłusciochem.

– Przestań tak nazywać Tacha. Nie zapominaj, kim jest.

– Jeśli o mnie chodzi, to od dzisiaj Tach dla mnie nie istnieje. Na zawsze pozostanie tylko tłusciochem. Nie należy nigdy poznawać pisarzy osobiście.

- Kim pani jest! Co u diabła robi tu pani?
- Jest dziś osiemnasty stycznia, panie Tach, i na ten dzień wyznaczono mi spotkanie z panem.
- Czy koledzy nie mówili pani, że...
- Nie widziałam się z tymi ludźmi. Nic mnie z nimi nie łączy.
- Punkt dla pani. Niemniej ktoś powinien był panią uprzedzić.
- Pański sekretarz, pan Gravelin, pozwolił mi wczoraj przesłuchać taśmy. Wiem, na czym stoję.
- Wie pani, co myślę o kobietach i mimo to pani przychodzi?
- Tak.
- Dobrze. Brawo! Było to lekkomyślne z pani strony. A teraz może pani wyjść.
- Nie wyjdę.
- Udał się pani ten wyczyn. Czego pani jeszcze chce? Żebym to poświadczył na piśmie?
- Nie, panie Tach, mam wielką ochotę z panem porozmawiać.
- Proszę posłuchać, to bardzo zabawne, ale moja cierpliwość ma swoje granice. Dość żartów; teraz niech się pani wynosi.
- Nie ma mowy. Zgodę otrzymałam od pana Gravelina na tej samej podstawie, co inni dziennikarze. Więc zostaję.
- Gravelin jest zdrajcą. Wyraźnie mu powiedziałem, że przedstawiciele pism kobiecych ma odsyłać z kwitkiem.
- Nie pracuję dla pisma kobiecego.
- Co? To męska prasa zatrudnia teraz baby?
- To żadna nowość, panie Tach.
- Cholera! Ładne perspektywy: zaczyna się od zatrudniania bab, a kończy na Murzynach, Arabach i Irakijczykach.
- I to noblista mówi te budujące rzeczy?
- Laureat literackiej Nagrody Nobla, chwała Bogu, nie pokojowej.

– Rzeczywiście, chwała Bogu.

– Sili się pani na dowcipy?

– Panna.

– Panna? Zresztą nic dziwnego, przy pani braku urody. I w dodatku natręctwie. Mężczyźni mieli rację, że żaden się z panią nie ożenił.

– Jest pan opóźniony o kilka wojen, panie Tach. W dzisiejszych czasach to kobieta może nie mieć ochoty wyjść za mąż.

– Patrzcie państwo! Niech pani raczej powie, że nie znalazła pani kogoś, kto by chciał panią przelecieć.

– A to już, drogi panie, moja sprawa.

– Ach tak, pani życie prywatne, nieprawdaż?

– Właśnie tak. Skoro to pana bawi, ma pan święte prawo opowiadać wszystkim, że jest pan prawiczkim. Ale inni nie muszą iść w pańskie ślady.

– A kimże ty jesteś, bezczelna, szkaradna, niedopieszczona smarkulo, żeby mnie osądzać?

– Panie Tach, daję panu dwie minuty, z zegarkiem w rękę, na przeproszenie mnie za te słowa. Jeśli po upływie dwóch minut nie uczyni pan tego, wychodzę i zostawiam pana. Niech pan dalej gnije z nudów w tej swojej obrzydliwej norze.

Przez chwilę wydawało się, że grubas udławi się ze złości.

– Bezczelne stworzenie! Możesz się gapić do woli na zegarek; choćbyś została tu i dwa lata, i tak nie usłyszysz ode mnie żadnych przeprosin. To pani powinna mnie prosić o wybaczenie. Poza tym skąd ta pewność, że zależy mi na pani obecności? Od momentu pani przyścia już co najmniej dwukrotnie kazałem się pani wynosić. Więc proszę nie czekać aż upłyną te dwie minuty, bo to strata czasu. Drzwi są tam! Słyszysz pani, drzwi są tam!

Zdawała się nie słuchać, z niewzruszoną miną nadal patrząc na zegarek. Czy istnieje coś krótszego niż dwie minuty? A jednak dwie minuty mogą wydać się nieskończonością, kiedy odmierza się je precyzyjnie wśród śmiertelnej ciszy. Oburzenie starca zdążyło w tym czasie zamienić się w zdumienie.

– W porządku, upłynęły dwie minuty. Zegnam, panie Tach, miło mi było pana poznać.

Wstała i ruszyła w stronę drzwi.

– Proszę nie wychodzić. Nakazuję pani zostać.

– Chce mi pan coś powiedzieć?

– Proszę usiąść.

– Już za późno na przeprosiny, panie Tach. Termin upłynął.

– Do cholery ciężkiej, niech pani zostanie!

– Zegnam. Otworzyła drzwi.

– Przepraszam! Słyszysz pani? Przepraszam!

– Powiedziałam już, że za późno.

– Cholera, pierwszy raz w życiu kogoś przepraszam.

– Zapewne dlatego robi pan to w tak niewłaściwy sposób.

– Czy ma pani coś do zarzucenia moim przeprosinom?

– Nawet wiele. Po pierwsze, są spóźnione; niech pan przyjmie do wiadomości, że przeprosiny spóźnione tracą połowę swej wartości. Po drugie, gdyby potrafił pan wyrażać się poprawnie w naszym języku, wiedziałby pan, że nie mówi się: „Przepraszam”; tylko: „Proszę mi wybaczyć” lub jeszcze lepiej: „Zechce mi pani wybaczyć”, ale najwłaściwszą formą jest: „Zechce pani łaskawie przyjąć moje przeprosiny”

– Co za obłudny bełkot!

– Obłudny, czy nieobłudny, wychodzę natychmiast, jeśli mnie pan należycie nie przeprosi.

– Zechce pani łaskawie przyjąć moje przeprosiny.

– Mademoiselle.

– Zechce pani łaskawie przyjąć moje przeprosiny, mademoiselle. Zadowolona?

– Ani trochę. Czy słyszał pan ton swojego głosu? Takim tonem mógłby mnie pan spytać, jakiej marki bieliznę noszę.

– Jakiej marki bieliznę pani nosi?

– Zegnam, panie Tach.

Ponownie otworzyła drzwi. Grubas pospiesznie zawołał:

– Zechce pani łaskawie przyjąć moje przeprosiny, mademoiselle.

– Tak już lepiej. A następnym razem radzę się pospieszyć. Zęby ukarać pańską opieszałość, rozkazuję panu wyjaśnić, dlaczego nie chce pan, żebym sobie poszła.

– Co, więc to jeszcze nie koniec?

– Nie. Uważam, że zasługuję na przeprosiny bezbłędne. Ograniczając się do ich formuły podstawowej, nie był pan wiarygodny. Więc żeby mnie przekonać, oczekuję, że się pan usprawiedliwi w taki sposób, bym nabrała ochoty do wybaczenia panu – gdyż jeszcze panu nie wybaczyłam, to byłoby zbyt łatwe.

– Przesadza pani!

– I to pan mówi?

– Niech pani wypieprza.

– Dobrze.

Znów otworzyła drzwi.

– Nie, nie chcę, żeby pani wyszła, bo się nudzę! Już osiemdziesiąt lat zdycham z nudów!

– No proszę.

– Teraz jest pani szczęśliwa, bo będzie mogła napisać w swoim szmatławcu, że Prétextat Tach to biedny staruch, zdychający od osiemdziesięciu lat z nudów. Będzie mnie pani mogła wydać na pastwę odrażającej litości motłochu.

– Ależ drogi panie, wiedziałam przecież, że umiera pan z nudów. To dla mnie żadna nowość.

– Pani blefuje. Skąd mogła pani o tym wiedzieć?

– Istnieją pewne rozbieżności, które nikogo nie zmylą. Przesłuchałam w towarzystwie pana Gravelina nagrania innych dziennikarzy. Mówił pan, że sekretarz zorganizował spotkania z prasą wbrew pańskiej woli. Tymczasem pan Gravelin zapewnił, że było wręcz odwrotnie, opowiedział, jak bardzo się pan cieszy na myśl o tych wywiadach.

– Zdrajca!

– Nie ma potrzeby rumienić się ze wstydu, panie Tach. Kiedy się o tym dowiedziałam, poczułam do pana sympatię.

– Mam gdzieś pani sympatię.

– A jednak nie chce pan, żebym sobie poszła. Na jakąż to rozrywkę liczy pan w związku z moją osobą?

– Mam wielką ochotę panią wkurzyć. Nic nie sprawiłoby mi większej frajdy.

– Cudownie. I wyobraża pan sobie, że to właśnie skłoni mnie do pozostania?

– Jeden z największych pisarzy stulecia czyni pani niebywały zaszczyt mówiąc, że potrzebuje pani obecności – i to jeszcze nie wystarcza?

– A co, chciałby pan może, żebym się popłakała z radości i obmyła pańskie stopy własnymi łzami?

– Tak, to by mi się nawet spodobało. Uwielbiam, kiedy ludzie się przede mną płaszczą.

– W takim razie proszę mnie dłużej nie zatrzymywać, bo to nie w moim stylu.

– Proszę zostać: jest pani twarda, a to mnie bawi. Ponieważ nie wygląda na to, żeby mi pani szybko wybaczyła, zrobmy zakład, dobrze? Założę się, iż przy końcu tego wywiadu sprawię, że odszczeka pani wszystko, tak jak pani poprzednicy. Przecież lubi pani zakłady, prawda?

– Nie lubię nakładać się o nic. Potrzebna mi jest jakaś stawka.

– Jesteśmy interesowni, co? Pewnie chodzi o pieniądze?

– Nie.

– Och, panienka jest ponadto, prawda?

– Bynajmniej. Ale gdyby mi chodziło o pieniądze, zwróciłabym się do kogoś bogatszego niż pan. Od pana żądam czegoś innego.

– Chyba nie mojego dziewictwa?

– Ma pan obsesję na punkcie tego dziewictwa. Musiałabym być doprawdy bardzo, wygłodzona, żeby zapragnąć czegoś równie potwornego.

– Dziękuję. Zatem czego pani chce?

– Mówił pan o płaszczeniu się. Proponuję, żeby stawka była taka sama dla nas obojga: jeśli przegram, będę się czołgać u pańskich stóp, lecz jeśli to pan przegra, pan się będzie przede mną czołgał. Ja też lubię, gdy inni się przede mną płaszczą.

– Wzruszająca jest ta wiara, że potrafi się pani ze mną zmierzyć.

– Odniosłam wrażenie, że pierwsza runda zakończyła się moim zwycięstwem.

– Biedne dziecko, to nazywa pani pierwszą rundą? To była zaledwie rozgrzewka.

– W wyniku której pana pokonałam.

– Może. Lecz o tym zwycięstwie zdecydował jeden tylko argument, którego teraz już pani nie ma.

– O?

– Tak. Tym argumentem była groźba, że pani wyjdzie. Teraz już pani jej nie użyje; nazbyt zależy pani na wygranej. Widziałem, jak zabłyśły pani oczy na myśl, że będę się czołgał u jej stóp. Znadto spodobała się pani ta perspektywa. Nie wyjdzie pani przed rozstrzygnięciem zakładu.

– Oby pan tego nie żałował.

– Obym. Jednak póki co czuję, że będę miał niezłą zabawę. Uwielbiam niszczyć ludzi, rozprawiać się z zakłamaniami, którego wy wszyscy jesteście orędownikami. Jest jeszcze jedna rzecz dostarczająca mi szczególnej rozkoszy: upokarzanie pretensjonalnych samic, gówniar takich jak pani.

– Natomiast moją ulubioną rozrywką jest spuszczenie powietrza z zadowolonych z siebie grubasów.

– To, co pani teraz powiedziała, jest tak bardzo typowe dla waszej epoki. Czyżbym miał do czynienia z kołowrotkiem do klepania komunałów?

– Bez obaw, panie Tach; pan również, z tą swoją zapiekłą kłótnością i swoim ordynarnym rasizmem, jest bardzo typowy dla tej epoki. Nie posiadał się pan z dumy, uchodząc we własnych oczach za anachronicznego, prawda? Otóż nie jest pan anachroniczny, ani trochę. Z punktu widzenia historycznego nie jest pan nawet oryginalny; każde pokolenie ma takiego swojego frustrata ciskającego gromy, swojego świętego potwora, którego sława bierze się tylko i wyłącznie z lęku, jaki wzbudza w naiwnych duszach. Czy muszę mówić, jak krucha jest taka sława, i że czeka pana

zapomnienie? Miał pan rację utrzymując, że nikt pana nie czyta. Teraz przypominają światu o pańskim istnieniu grubiaństwo i obelgi, jakie pan rzuca; kiedy ucichną te krzyki, wszyscy o panu zapomną, ponieważ nikt już nie będzie czytał pana książek. I tym lepiej.

– Cóż za uroczy popis elokwencji! Gdzie, u diabła, się pani czegoś takiego nauczyła? To połączenie żalostnej agresji i cycerońskich wzlotów, a całość zabarwiona drobnymi odniesieniami heglowsko-socjologicznymi; majstersztyk.

– Drogi panie, przypominam, że zakład zakładem, ale nadal jestem dziennikarką. Wszystko, co pan mówi, jest nagrywane.

– Nadzwyczajne. Wzbogacamy właśnie zachodnią myśl o jej najbardziej błyskotliwą dialektykę.

– Dialektyka to słowo, którego używa się, gdy brak już innych w zanadrzu, czy nie tak?

– Jest dobrze widziane. To salonowy joker.

– Czy mam przez to rozumieć, że nie ma mi pan już nic więcej do powiedzenia?

– Nigdy nie miałem pani nic do powiedzenia. Kiedy się, tak jak ja, od osiemdziesięciu lat umiera z nudów, nie ma się ludziom nic do powiedzenia. Jeśli jednak mimo wszystko pragnie się ich towarzystwa, to w nadziei, że dostarczą rozrywki, jeśli nie swoim rozumem, to przynajmniej głupotą. Niechże więc pani coś zrobi, niech mnie pani rozerwie.

– Nie wiem, czy uda mi się pana rozerwać, natomiast jestem pewna, że uda mi się zakłócić panu spokój.

– Zakłócić mi spokój! Biedne dziecko, mój szacunek dla pani spadł poniżej zera. Zakłócić mi spokój! Cóż, mogła pani powiedzieć coś jeszcze gorszego; mogła pani powiedzieć po prostu „przeszkodzić”. W jakiej to epoce używano czasownika „przeszkodzić” w aspekcie nieprzechodnim? Maj 68? Wcale by mnie to nie zdziwiło, na miłą mi to pachnie koktajlikami Mołotowa z tamtych czasów, barykadkami, rewolucyjką dla dobrze odżywionych studentów, świetlanym jutrem dla synalków z dobrych rodzin. Chcieć „zakłócić spokój” znaczy chcieć „podać w wątpliwość”, „uświadomić” – bez żadnego dopełnienia bliższego, to brzmi niezwykle inteligentnie, no i jest bardzo praktyczne, gdyż

w gruncie rzeczy zwalnia od sprecyzowania tego, czego i tak nie byłoby się w stanie sprecyzować.

– Mówiąc mi to, niepotrzebnie traci pan czas. Sprecyzowałam przecież, jakie jest dopełnienie bliższe: powiedziałam wyraźnie „zakłócić panu spokój”.

– Taak. Biedne dziecko, byłyby pani znakomitą opiekunką społeczną. Najśmieszniejsza jest w tym wszystkim duma ludzi oznajmiających, że zamierzają „zakłócić spokój”; w ich słowach pobrzmiewa samozadowolenie trzeciorzędnych proroków. Ho, ho, mają przecież misję do wypełnienia. No dalej, niech mnie pani uświadomi, niech mi pani zakłóci spokój, żebyśmy się mogli trochę pośmiać.

– Nie do wiary, już udało mi się pana rozbawić.

– Jestem wdzięczną publiką. Proszę dalej.

– Dobrze. Przed chwilą stwierdził pan, że nie ma mi nic do powiedzenia, czego, niestety, nie mogę powiedzieć o sobie.

– Pozwoli pani, że będę zgadywał. Co taka samiczka jak pani może mieć mi do powiedzenia? Ze kobieta nie zajmuje należytego miejsca w mojej twórczości? Ze mężczyzna bez kobiety nigdy nie osiągnie całkowitego spełnienia?

– Pudło.

– To może chciałaby się pani dowiedzieć, kto tutaj sprząta?

– Czemu nie? To dałoby panu okazję, by powiedzieć nareszcie coś ciekawego.

– Proszę bardzo, może się pani bawić w prowokację, to oręż miernoty. Zdradzę więc pani, że w każdy czwartek po południu przychodzi pewna Portugalka, żeby posprzątać mi mieszkanie i zrobić pranie. Przynajmniej jedna kobieta wykonująca szacowne zajęcie.

– W świetle pańskiej ideologii kobieta powinna siedzieć w domu ze szczotką i szmatą, prawda?

– W mojej ideologii nie ma kobiet.

– Coraz lepiej. Jurorzy Nagrody Nobla musieli chyba doznać porażenia słonecznego w dniu, kiedy ją panu przyznali.

– Przynajmniej co do jednego jesteśmy zgodni. Ta Nagroda Nobla to szczyt nieporozumienia. Przyznać literacką Nagrodę Nobla akurat mnie, to tak jakby przyznać pokojową Nagrodę Nobla Saddamowi Husseinowi.

– Niech pan nie będzie taki próżny. Saddam jest sławniejszy od pana.

– To zrozumiale, ponieważ nikt mnie nie czyta. Gdyby czytano moje książki stałbym się bardziej niebezpieczny od niego, a tym samym – bardziej sławny.

– Tyle tylko, że pana nie czytają. Jak pan sobie tłumaczy tę powszechną awersję do czytania pańskich książek?

– Instynktem samozachowawczym. Odruchem odpornościowym.

– Pan zawsze wynajduje pochlebne dla siebie interpretacje. A jeśli ludzie nie czytają pańskich książek po prostu dlatego, że są nudne?

– Nudne? Cóż za rozkoszny eufemizm. Czemu pani nie powie upierdliwe?

– Nie widzę potrzeby używania tak ordynarnych określeń. Ale niech się pan nie wymiguje od odpowiedzi na moje pytanie, drogi panie.

– Czy ja jestem nudny? Udzielę pani porażającej w swej szczerości odpowiedzi: sam nie wiem. Ze wszystkich mieszkańców naszej planety jestem ostatnią osobą, która może na to pytanie odpowiedzieć. Kant z pewnością uważał *Krytykę czystego rozumu* za książkę pasjonującą i trudno mu się dziwić: on w tym siedział po uszy. Tak więc czuję się w obowiązku odesłać to pytanie z powrotem do pani: Czy ja jestem nudny? Choćby pani była nie wiem jak głupia, i tak pani odpowiedź będzie ciekawsza od mojej, nawet jeśli mnie pani nie czytała, czego jestem absolutnie pewny.

– Błąd. Ma pan przed sobą jedną z nielicznych istot ludzkich, które przeczytały wszystkie dwadzieścia dwie pańskie powieści, nie opuściwszy nawet linijki.

Grubasowi chyba na czterdzieści sekund odjęło mowę.

– Brawo. Kocham ludzi zdolnych do tak gigantycznych kłamstw.

– Niestety, to prawda. Przeczytałam wszystkie pana książki.

– Na muszce rewolweru?

– Z własnej nieprzymuszonej woli – nie, raczej z własnej ochoty.

– Niemożliwe. Gdyby pani przeczytała wszystkie moje książki, nie wyglądałaby pani tak jak osoba, którą widzę przed sobą.

– No właśnie, a jak mnie pan widzi?

– Jako małą, niepozorną samiczkę.

– I utrzymuje pan, że jest w stanie odgadnąć, co dzieje się w głowie tej małej, niepozornej samiczki?

– Jak to? To w pani głowie coś się w ogóle dzieje? *Tota mulier in utero*.

– Niestety, to nie macicą pana czytałam. Musi pan cierpliwie wysłuchać moich opinii.

– No dalej, posłuchajmy, jakie są te, jak je pani nazywa, „opinie”.

– Przede wszystkim, odpowiadając na pana pierwsze pytanie, w czasie lektury tych dwudziestu dwóch powieści nie nudziłam się ani przez chwilę.

– To dziwne. Wydawało mi się, że czytanie, gdy nie rozumie się tego, co się czyta, musi być śmiertelnie nudne.

– A pisanie, jeśli nie rozumie się tego, co się pisze, też jest nudne?

– Sugeruje pani, że nie rozumiem własnych książek?

– Powiedziałabym raczej, że pańskie książki ociekają samochwalstwem. To część ich uroku; w czasie lektury wyczuwałam ciągłą alternację między fragmentami pełnymi znaczenia a dygresjami będącymi skończonym blefem – skończonym, gdyż wprowadzającym w błąd tak autora, jak czytelnika. Wyobrażam sobie, jaką rozkosz musiał pan odczuwać, oblekając te, tak błyskotliwie czcze dygresje, te podniosłe brednie, w pozory głębi i niezbędności. Dla takiego wirtuoza, jak pan, musiała to być nie lada frajda.

– Co też pani plecie?

– Dla mnie również. Rozkoszne było odkrywanie takiego bezmiaru hipokryzji u pisarza utrzymującego, że ją zwalcza. Gdyby pańska hipokryzja była spójna, byłoby to irytujące. Ale takie ciągłe przeskakiwanie od szczerości do hipokryzji to nieuczciwość po prostu genialna.

– I pani, pretensjonalna samiczko, wydaje się, że odróżnia jedną od drugiej?

– To zupełnie proste. Za każdym razem, kiedy jakiś fragment mnie szczerze rozśmieszył, wiedziałam, że kryje się w nim blef. Uznałam, że to bardzo zręczne: to znakomita taktyka zwalczać hipokryzję za pomocą hipokryzji, stosując intelektualny terrorizm; być jeszcze podstępniejszym niż przeciwnik. Skądinąd nawet trochę nazbyt znakomita, bo za bardzo wyrafinowana jak na tak gruboskórnego wroga. Nie mnie przypominać panu, że makiawelizm rzadko kiedy trafia w cel: maczugi dokonują dzieła zniszczenia skuteczniej niż delikatne tryby przekładni zębatej.

– Mówi pani, że blefuję, ale jakże kiepskim blagierem jestem w porównaniu z panią, utrzymującą, że przeczytała wszystkie moje książki.

– Wszystkie osiągalne. Może mnie pan przepytąć, skoro tak panu zależy na sprawdzeniu.

– Chciałaby pani czegoś w rodzaju: „Jaką rejestrację miało czerwone volvo w *Sprawie Słonecznika?*”. Groteskowe. Proszę nie liczyć, że pohańbię swoje dzieła podobnym postępowaniem.

– Jak więc pana o tym przekonać?

– Nijak. Nie przekona mnie pani.

– W takim razie nie mam nic do stracenia.

– Przy mnie nigdy nie miała pani nic do stracenia. Od samego początku o pani losie przesądziła płeć.

– A tak przy okazji, dokonałam małego przeglądu postaci kobiecych w pańskich książkach.

– W to nie wątpię.

– Przed chwilą powiedział pan, że w pańskiej ideologii kobiety nie istnieją. Zdumiewające, że mężczyzna wygłaszający tego typu sentencje stworzył ich aż tyle na papierze. Wszystkich nie wymienię, ale naliczyłam w pańskich utworach aż czterdzieści sześć postaci kobiecych.

– Zastanawiam się, o czym to może świadczyć.

– Świadczy to o tym, że w pańskiej ideologii kobieta jednak istnieje: to pierwsza sprzeczność. Udowodnię panu, że są jeszcze inne.

– O, łaskawa pani urządza polowanie na sprzeczności! Proszę więc przyjąć do wiadomości, belferko, że Prétextat Tach wyniósł sprzeczność do rangi sztuki. Czy można sobie wyobrazić coś bardziej eleganckiego, bardziej subtelnego, bardziej mylącego i bardziej wnikliwego, aniżeli mój system autosprzeczności? A tu jakaś gąska, której brak tylko okularów, oznajmia mi z triumfującą miną, że wyłapała w moich utworach kilka denerwujących rozbieżności. Czy to nie cudowne, że człowieka czyta tak wyrafinowana publika?

– Nie powiedziałam, że te rozbieżności były denerwujące.

– Nie, lecz to oczywiste, że tak właśnie pani pomyślała.

– Wiem chyba lepiej od pana, o czym pomyślałam.

– Trzeba to jeszcze udowodnić.

– Co więcej, uznałam te sprzeczności za interesujące.

– Wielkie nieba!

– Więc jak już powiedziałam; czterdzieści sześć postaci kobiecych.

– Zęby pani wyliczanka miała jakikolwiek sens, moje dziecko, należało policzyć również postaci męskie.

– Zrobiłam to.

– Co za przytomność umysłu.

– Sto sześćdziesiąt trzy postaci męskie.

– Biedactwo, gdybym się tak nad panią nie litował, nie omieszkałbym wybuchnąć śmiechem w obliczu takiej dysproporcji.

– Litość to uczucie, którego powinno się zakazać.

– Oho! Czytała Zweiga! Jaka wykształcona! Moja droga, widzi pani, brutalom takim jak ja, bliżej raczej do Montherlanta, którego znajomości, jak się wydaje, dotkliwie pani brakuje. Czuję wobec kobiet litość, więc ich nienawidzę i na odwrót.

– Zważywszy pańskie, jakże zdrowe, uczucia wobec mojej płci, proszę mi wytłumaczyć, po co pan stworzył aż czterdzieści sześć bohaterek kobiecych.

– Ani mi się śni: pani sama mi to wytłumaczy. Za skarby świata nie zrezygnuję z podobnej rozrywki.

– Nie mnie interpretować pańskie dzieło. Mogę się natomiast podzielić z panem kilkoma uwagami.

– Proszę, niech się pani dzieli.

– Powiem, jak leci. Pisał pan książki bez bohaterek kobiecych: *Pochwała niestrawności*, oczywiście...

– Dlaczego oczywiście?

– Bo ta książka w ogóle nie ma bohatera.

– Więc jednak to prawda, że mnie pani czytała, przynajmniej częściowo.

– Kobiet nie ma również w *Zmywaczu do paznokci*, *Perłach za masakrę*, *Buddzie w szklance wody*, *Zamachu na brzydotę*. *Totalnej klęsce*, *Śmierci i mniejsza z tym*, kobiety nie ma też – co już dziwniejsze – w *Pokerze*, *kobiecie i innych*.

– Co za niebywałe wyrafinowanie z mojej strony.

– Tak więc w ośmiu powieściach kobiety nie występują. Dwadzieścia dwa minus osiem równa się czternaście. Zostaje nam czternaście powieści z czterdziestoma sześcioma kobietami.

– Nie ma to jak wiedza.

– Ich liczba nie jest, oczywiście, równo rozdzielona między pozostałe czternaście książek.

– Dlaczego „oczywiście”? Nie znoszę wszystkich tych „oczywiście”, których uważa pani za konieczne używać, mówiąc o moich książkach, tak jakby moja twórczość była sprawą wybitnie łatwą do przewidzenia, a jej główne wątki zupełnie czytelne.

– Właśnie dlatego, że pańska twórczość jest nieodgadniona, użyłam tego „oczywiście”.

– Tylko proszę, żadnych sofizmatów.

– Absolutny rekord pod względem liczby bohaterek żeńskich biją *Bezinteresowne gwałty międzywojnia*, gdzie występują aż dwadzieścia trzy kobiety.

– To zrozumiałe.

– Czterdzieści sześć minus dwadzieścia trzy równa się dwadzieścia trzy. Zostaje nam trzynaście powieści i dwadzieścia trzy kobiety.

- Godna podziwu statystyka.
- Napisał pan cztery powieści monoginiczne, jeśli mogę pozwolić sobie na tak niestosowny neologizm.
- Pytanie tylko, czy może pani sobie pozwolić?
- Są to *Modlitwa z wytrychem*, *Sauna i inne zbytki*, *Proza depilacji* i *Zdechnąć bez przysłówka*.
- To ile nam jeszcze zostało?
- Dziewięć powieści i dziewiętnaście kobiet.
- Jak je pani rozparceluje?
- *Brudni ludzie*: trzy kobiety. Reszta książek jest dwójginiczna: *Bezbolesne ukrzyżowanie*, *Rozwiązłość podwiązki*, *Urbi et Orbi*, *Niewolnicy oazy*, *Błony*, *Trzy buduary*, *Łaska współlistnienia* – i jednej brakuje.
- Nie, wymieniła pani wszystkie.
- Tak pan uważa?
- Tak, dobrze odrobiła pani lekcję.
- Jestem pewna, że jednej brakuje. Muszę policzyć jeszcze raz.
- O, nie, nie zacznie pani chyba od początku!
- Muszę, inaczej cała moja statystyka na nic.
- Udzielam pani rozgrzeszenia.
- Tym gorzej, i tak zaczynam jeszcze raz. Ma pan papier i ołówek?
- Nie.
- Proszę mi pomóc, panie Tach; zaoszczędzimy czasu.
- Już mówiłem, żeby pani nie zaczynała od nowa. Robi się pani nudna z tym wyliczaniem.
- Może pan temu zapobiec, mówiąc mi, którego tytułu brakuje.
- Kiedy nie mam pojęcia. I tak już co najmniej połowy wymienionych przez panią tytułów nie pamiętam.
- Nie pamięta pan swoich książek?

- No pewnie. Sama się pani przekona, kiedy dożyje osiemdziesięciu trzech lat.
- Niemniej niektórych swoich powieści z pewnością nie mógł pan zapomnieć.
- Z pewnością, tylko właściwie których?
- To nie ja powinnam je panu przypominać.
- A szkoda, bo pani opinie niezwykle mnie bawią.
- Miło mi. A teraz poproszę o chwilę ciszy. Zaczynam: *Pochwała niestrawności*, raz, *Zmywacz do paznokci*, dwa...
- Kpi pani ze mnie czy co?
- ... to dwa. *Perły za masakrę*, trzy.
- Czy pani ma woskowe kulki w uszach?
- Przypomniał pan sobie ten brakujący tytuł?
- Nie.
- To jedziemy dalej. *Budda w szklance wody*, cztery. *Zamach na brzydotę*, pięć.
- Sto sześćdziesiąt pięć. Dwadzieścia osiem. Trzy tysiące dziewięćset dwadzieścia pięć. Czteryście dwadzieścia cztery.
- Nie zdoła mi pan przeszkodzić. *Totalna klęska*, sześć. *Śmierć i mniejsza z tym*, siedem.
- Chce pani karmelka?
- Nie. *Poker, kobieta i inni*, osiem. *Bezinteresowne gwałty międzywojnia*, dziewięć.
- Napije się pani alexandra?
- Cicho. *Modlitwa z wytrychem*, dziesięć.
- Dbą pani o linię, co? Wiedziałem. Nie uważa pani, że jest już i tak wystarczająco chuda?
- *Sauna i inne zbytki*, jedenaście.
- Spodziewałem się takiej odpowiedzi.
- *Proza depilacji*, dwanaście.

– To obłąd, wymienia je pani dokładnie w tej samej kolejności, co za pierwszym razem.

– No proszę, okazuje się, że ma pan świetną pamięć. *Zdechnąć bez przysłówka, trzynaście.*

– Bez przesady. Czy nie lepiej wymienić je w porządku chronologicznym?

– To pamięta pan nawet ich porządek chronologiczny? *Brudni ludzie, czternaście. Bezbolesne ukrzyżowanie, piętnaście.*

– Niech pani będzie tak miła i przestanie.

– Pod jednym warunkiem: że wymieni pan brakujący tytuł. Ma pan zbyt dobrą pamięć, żeby go zapomnieć.

– Kiedy to prawda. Przy amnezji występują tego typu zaburzenia.

– *Rozwiązłość podwiązki, szesnaście.*

– Długo jeszcze?

– Tyle, ile będzie trzeba, by ożywić pańską pamięć.

– Moją pamięć? Powiedziała pani: „moją” pamięć?

– Tak właśnie powiedziałam.

– Czy mam przez to rozumieć, że pani pamięta ten tytuł?

– Jakże bym mogła zapomnieć?

– To dlaczego sama go pani nie wymieni?

– Bo chcę go usłyszeć z pańskich ust.

– Powtarzam, że nie pamiętam.

– Nie wierzę. Mógł pan zapomnieć wszystkie pozostałe, ale nie ten.

– A co w nim takiego niezwykłego?

– Dobrze pan wie.

– Nie wiem. Jestem geniuszem, który nie zna siebie samego.

– Proszę mnie nie rozśmieszać.

– Cóż, gdyby ta książka była aż tak cudowna, już by mi o tym powiedziano. Tymczasem nigdy o niej nie słyszałem. Omawiając moją twórczość, ciągle wymienia się te same cztery tytuły.

– Dobrze pan wie, że to o niczym nie świadczy.

– Och, rozumiem. Mademoiselle jest salonową snobką. W rodzaju tych, co to wykrzykują: „Drogi przyjacielu, czy zna pan Prousta? Ach nie, nie *W poszukiwaniu...*, niech pan nie będzie taki prozaiczny. Mam na myśli jego artykuł, który ukazał się w «Le Figaro» w 1904 roku...”

– Powiedzmy, że jestem snobką. W braku innego określenia.

– Niestety, nie podoba mi się to.

– Co tylko potwierdza moje przypuszczenia.

– Pani przypuszczenia? Patrzcie państwo.

– W porządku. Ponieważ odmawia pan współpracy, zmuszona jestem zacząć od początku wyliczanie, bo już nie pamiętam, na czym stanęłam.

– Nie musi pani klepać swojej litanii, zna pani przecież brakujący tytuł.

– Przykro mi, ale obawiam się, że znów zapomniałam. *Pochwała niestrawności*, raz.

– Jeszcze słowo, a mimo mojego kalectwa, uduszę panią.

– Udusi mnie pan? Wybór tego słowa wydaje mi się znamienny.

– Woli pani, żebym skręcił pani kark?

– Tym razem, drogi panie, nie wymiga już mi się pan. Proszę mi opowiedzieć o duszeniu.

– Czyżbym napisał książkę pod takim właśnie tytułem?

– Niezupełnie takim.

– Proszę posłuchać. Zaczynają mnie już denerwować te pani łamigłówki. Proszę wymienić tytuł, i skończmy z tym.

– Kiedy wcale mi niespieszno z tym skończyć. Dla mnie to świetna zabawa.

– Ale tylko dla pani.

– Co czyni całą sytuację jeszcze przyjemniejszą. Nie zbaczajmy jednak z tematu. Proszę mi opowiedzieć o duszeniu, drogi panie.

– Nie mam na ten temat nic do powiedzenia.

– Doprawdy? To po co mnie pan straszył?

– Powiedziałem to tak sobie, równie dobrze mógłbym powiedzieć: „Spadaj, kobieto”.

– Oczywiście. Tylko dziwnym trafem, wolał mnie pan postraszyć uduszeniem. Dziwne.

– Do czego pani zmierza? Tego tylko brakowało, by okazała się pani maniaczką freudowskich przejęzyczeń.

– Nigdy nie wierzyłam we freudowskie przejęzyczenia. Ale od jakiejś minuty zaczynam w nie wierzyć.

– Nigdy nie wierzyłem w skuteczność tortury słownej. Ale od jakiejś minuty zaczynam w nią wierzyć.

– Pan mi schlebia. Wyłóżmy więc karty na stół, zgoda? Mam mnóstwo czasu i tak długo, dopóki nie odgrzebie pan w pamięci brakującego tytułu, i dopóki nie opowie mi pan o duszeniu, nie dam panu spokoju.

– Nie wstyd pani traktować w ten sposób bezsilnego, otyłego i chorego starca?

– Nie wiem, co to wstyd.

– Kolejna cnota, której zapominają wam zaszcześcić wasi profesorowie.

– Pan również, panie Tach, nie wie, co to wstyd.

– To zrozumiałe. Nie mam się czego wstydzić.

– Czy nie mówił pan, że pana książki są szkodliwe?

– Tak właśnie powiedziałem: wstydzilibym się, gdybym nie zadziałał na szkodę ludzkości.

– Z tym, że nie ludzkość mnie tu interesuje.

– Ma pani rację, ludzkość jest nieciekawa.

– Interesujące są jednostki, prawda?

– Istotnie – tak rzadko się je spotyka.

– Niech mi pan opowie o jakiejś znanej panu jednostce.

– Na przykład Céline.

– Ach, nie, nie Céline.

– Jak to? To dla pani Celine jest nie dość ciekawy?

– Proszę mi opowiedzieć o jednostce z krwi i kości, którą pan znał, z którą pan mieszkał, rozmawiał itp.

– Pielęgniarka?

– Nie, nie pielęgniarka. Ejże, przecież pan wie do czego zmierzam. Dobrze pan wie.

– Nie mam zielonego pojęcia, męczyduszo.

– Opowiem panu pewną historyjkę, która być może ułatwi pańskiemu sklerotycznemu umysłowi przywołanie na pamięć wspomnień.

– Znakomicie. Ponieważ jednak na pewien czas zwalnia mnie pani z mówienia, proszę o pozwolenie jedzenia karmelków. Są mi niezbędne zważywszy tortury, jakim mnie pani poddaje.

– Udzielam przyzwolenia.

Pisarz wsunął do ust wielki kwadratowy cukierek.

– Moja historia zaczyna się od pewnego zadziwiającego odkrycia. Jak panu wiadomo, dziennikarze to ludzie bez skrupułów. Poszperałam więc w pańskiej przeszłości – oczywiście bez porozumienia z panem, bo by mi pan zabronił. Już widzę, jak pan się uśmiecha, wiem też, co pan teraz myśli: nie zostawił pan po sobie żadnego śladu, jest pan ostatnim żyjącym przedstawicielem rodziny, nigdy nie miał pan przyjaciela, jednym słowem nie ma nic, z czego mogłabym się dowiedzieć czegokolwiek o pańskiej przeszłości. Błąd, drogi panie. Należy strzec się podstępnych świadków, strzec się miejsc, gdzie się żyło. One mówią. Widzę, że znów się pan uśmiecha. Tak, zamek pańskiego dzieciństwa spłonął sześćdziesiąt pięć lat temu. Skądinąd dziwny pożar, nigdy nie wyjaśniono, jak do niego doszło.

– W jaki sposób dowiedziała się pani o zamku? – spytał grubas łagodnym, lepkiem od karmelka głosem.

– Och, to akurat było zupełnie proste. Rutynowe poszukiwania w księgach, w archiwach – my, dziennikarze, jesteśmy w tym dobrzy. Sam pan widzi, panie Tach, że nie czekałam do dziesiątego stycznia, by się panem zainteresować. Od lat już śledzę pański przypadek.

– Sprytne z pani stworzenie! Pomyślała pani: „Stary już długo nie pociągnie, przygotujmy się więc na dzień jego śmierci”, tak było?

– Niech pan przestanie mówić, żując ten cukierek, bo to obrzydliwe. Opowiadam dalej. Moje poszukiwania choć żmudne i ryzykowne, nie były trudne. W końcu wpadłam na trop ostatnich z Tachów: w 1909 odnotowano śmierć młodego małżeństwa Casimira i Célestine Tachów, którzy utonęli podczas przyływu na Mont-Saint-Michel, dokąd wybrali się w podróż. Byli dwa lata po ślubie i pozostawili roczne dziecko, niech pan zgadnie kogo. Dowiedziawszy się o tragicznej śmierci jedynego syna, rodzice Casimira Tacha umarli ze zgryzoty. Pozostał więc tylko jeden Tach, mały Prétexat. Odtąd było mi już trudniej śledzić pana losy. Ale wpadłam na doskonały pomysł, by dowiedzieć się, jak brzmiało nazwisko panięskie matki pana i tym sposobem odkryłam, że o ile pański ojciec pochodził z prostej rodziny, Célestine urodziła się jako markiza de Planèze de Saint-Sulpice, z dziś już wygasłej linii, nie mylić z hrabiami i hrabinami de Planèze...

– Czy zamierza pani opowiedzieć historię jakiejś obcej mi rodziny?

– Słusznie, odeszłam od tematu. Wróćmy do Planèze'ów de Saint-Sulpice: linii w 1909 roku bliskiej już wygaśnięcia, lecz o znakomitym rodowodzie. Dowiedziawszy się o śmierci córki, markiz i markiza postanawiają wziąć na wychowanie osieroconego wnuka i tym sposobem, mając rok, znalazł się pan na zamku Saint-Sulpice. Opiekowali się tam panem czule nie tylko piastunka i dziadkowie, ale także pańscy wujostwo, Cyprien i Cosima de Planèze, czyli brat i bratowa pańskiej matki.

– Genealogiczne detale zapierające dech w piersiach.

– Prawda? A co dopiero ciąg dalszy.

– Co, to jeszcze nie koniec?

– Oczywiście że nie. Ma pan dopiero dwa lata, a ja zamierzam opowiedzieć o pańskim życiu do wieku lat osiemnastu.

– No, no.

– Gdyby sam pan to zrobił, wówczas ja bym nie musiała.

– A jeśli nie mam ochoty mówić?

– To znaczy, że ma pan coś do ukrycia.

– Niekoniecznie.

– O tym mówić jeszcze za wcześnie. Póki co jest pan bobasem uwielbianym przez rodzinę, mimo mezaliansu matki. Widziałam ryciny zamku, dziś już nieistniejącego; coś wspaniałego. Musiał pan mieć bajeczne dzieciństwo!

– Czy ten pani szmatławiec to przypadkiem nie „Point de vue Images”?

– Ma pan dwa lata, kiedy na świat przychodzi jedyne dziecko pańskiego wuja i ciotki, Léopoldine de Planèze de Saint-Sulpice.

– Drażni panią takie imię, co? Pani nigdy nie mogłaby się tak nazywać.

– To prawda, ale ja za to żyję.

– I co pani z tego ma?

– Mam mówić dalej czy oddać głos panu? Chyba wróciła już panu pamięć.

– Proszę mówić dalej, świetnie się bawię.

– Tym lepiej, bo do końca jeszcze daleko. Dzięki temu otrzymuje pan tę jedną, jedyną rzecz, której panu do szczęścia brakowało: towarzystwo rówieśnika. Nie pozna pan ponurych dni jedynaka pozbawionego przyjaciół; nie pójdzie pan wprawdzie nigdy do szkoły, nie będzie miał kolegów z klasy, ale ma pan coś znacznie lepszego: śliczną kuzyneczkę. Stajecie się nierozłączni. Czy mam powiedzieć, skąd zaczerpnęłam te wszystkie szczegóły?

– Przypuszczam, że z własnej wyobraźni.

– Częściowo. Wyobraźni potrzebna jest jednak pożywka, panie Tach, a pożywkę tę zawdzięczam panu.

– Niech pani przestanie co chwila przerywać i opowie mi o moim dzieciństwie, bo z tego wszystkiego wzruszyłem się do łez.

– Może pan sobie żartować, choć szczerze mówiąc, byłoby nad czym zapłakać. Miał pan zbyt piękne dzieciństwo. Miał pan wszystko, o czym tylko można zamarzyć, a nawet więcej: zamek, rozległą posiadłość z jeziorami i lasami, konie, absolutny komfort

finansowy, przybraną rodzinę, która pana uwielbiała, guwernera, który mało wymagał i często chorował, oddaną służbę, ale przede wszystkim miał pan Léopoldine.

– Proszę się przyznać, nie jest pani żadną dziennikarką. Zbiera pani materiały, żeby napisać jakieś ckliwe romansidło.

– Ckliwe? To się dopiero okaże. Opowiadam dalej. Wprawdzie w 1914 wybucha wojna, lecz dzieci przystosowują się do wojen, zwłaszcza dzieci ludzi bogatych. Z perspektywy waszego rajy ten konflikt wydaje się abstrakcją i w niczym nie zakłóca waszego długiego, leniwego szczęścia.

– Moja droga, jest pani niepospolitą blagierką.

– Gdzie mi tam do pana.

– Proszę mówić dalej.

– Powoli płyną lata. Dzieciństwo to taka niespieszna przygoda. Czymże jest rok dla dorosłego? Dla dziecka jeden rok to wiek, a dla pana to były złote i srebrne stulecia. Adwokaci często powołują się na nieszczęśliwe dzieciństwo jako okoliczność łagodzącą. Szperając w pańskiej przeszłości, uzmysłowiłam sobie, że okolicznością łagodzącą może być również dzieciństwo nazbyt szczęśliwe.

– Po co szuka pani dla mnie okoliczności łagodzących? Ja ich wcale nie potrzebuję.

– Zobaczymy. Léopoldine i pan byliście nierozłączni. Nie mogliście bez siebie żyć.

– Kuzyn-kuzynka: układ stary jak świat.

– Czy przy takim stopniu zażyłości można mówić o układzie kuzyn-kuzynka?

– No więc, jeśli pani woli, brat i siostra.

– W takim razie rodzeństwo kazirodcze.

– To panią szokuje? Zdarza się w najlepszych rodzinach. Weźmy chociażby...

– Uważam, że to pan powinien opowiedzieć, co było dalej.

– Ani mi się śni.

– Naprawdę chce pan, żebym ja opowiadała?

– Pani mnie do tego zmusza.

– Do niczego nie chcę pana zmuszać, ale opowiadając tę historię do tego momentu, cały czas mam świadomość, że jest to zaledwie kiepska parafraza najpiękniejszej, najbardziej niezwykłej i najmniej znanej z pańskich powieści.

– Przepadam za kiepskimi parafrazami.

– Tym gorzej dla pana, sam pan tego chciał. Czy przyznaje mi pan rację?

– W czym?

– Ze książkę tę zaliczyłam do powieści z dwoma, a nie trzema postaciami kobiecymi?

– Ma pani absolutnie rację, moja droga.

– W takim razie niczego się już nie obawiam. Reszta to literatura, prawda?

– Reszta jest wyłącznie moim dziełem. W tym okresie jedynym papierem, jaki miałem, było moje życie; jedynym atramentem własna krew.

– Albo krew innych.

– Ona nie była kimś innym.

– Kim więc była?

– Tego się nigdy nie dowiedziałem, ale jedno jest pewne – nie była kimś innym. Wciąż czekam na tę pani parafrazę, najdroższa.

– Istotnie. Mijają lata, i to mijają pięknie, zbyt pięknie. Léopoldine i pan nigdy nie zaznaliście innego życia, mimo to świadomi jesteście jego nietypowości jak również nadmiaru szczęścia, jaki stał się waszym udziałem. Żyjąc w tym Edenie, zaczynacie odczuwać coś, co określacie mianem „niepokoju wybrańców”, a czego istota sprowadza się do pytania: „Jak długo może potrwać podobna doskonałość?” Ten niepokój, jak wszystkie niepokoje, rozpala waszą euforię do zenitu, jednocześnie niebezpiecznie, coraz bardziej niebezpiecznie nadwerężając ją. Czas płynie. Pan ma czternaście lat, kuzynka dwanaście. Osiągnęliście kulminacyjny moment dzieciństwa, to, co Tournier nazywa „pełną dojrzałością wieku dziecięcego”. Ukształtowani bajecznym dzieciństwem, jesteście dziećmi jak z bajki. Choć nigdy wam tego nie mówiono, niejasno przeczuwacie, że czeka was okrutna degradacja, która zaatakuje doskonałość waszych ciał i wasze równie idealne charaktery, czyniąc z was znerwicowanych, pryszczatych nastolatków.

Przypuszczam, że to pan był pomysłodawcą szalonego planu, zrodzonego z tych przecuć i obaw.

– Wiedziałem, że tak będzie, już teraz próbuje pani rozgrzeszyć moją współniczkę.

– Nie bardzo rozumiem, z czego miałabym ją rozgrzeszać. To był pana pomysł, prawda?

– Tak, lecz nie był to pomysł zbrodniczy.

– Z założenia – nie był, lecz stał się takim z uwagi na konsekwencje, a jeszcze bardziej – swą nieżyciowość, która musiała się ujawnić wcześniej czy później.

– W tym wypadku, później.

– Nie uprzedzajmy faktów. Pan ma lat czternaście, Léopoldine dwanaście. Jest panu bezgranicznie oddana i zgodzi się na wszystko, o cokolwiek ją pan poprosi lub każe zrobić.

– Tu nie chodziło o cokolwiek.

– Nie, było jeszcze gorzej. Wmówił jej pan, że dojrzałość płciowa to najgorsza z chorób, lecz można jej uniknąć.

– Bo tak jest.

– Nadal pan w to wierzy?

– Nigdy nie przestałem.

– Zatem zawsze był pan obłąkany.

– Z mojego punktu widzenia zawsze byłem jedyną osobą zdrową na umyśle.

– Jasne. Mając czternaście lat, jest pan tak zdrowy na umyśle, że uroczyście postanawia nigdy nie dorosnąć. Pański wpływ na kuzynkę jest tak ogromny, że zmusza ją pan do złożenia podobnych ślubowań.

– Czy to nie urocze?

– To zależy. Gdyż już wtedy jest pan Prétexatem Tachem i opatruje swoją podniosłą przysięgę nie mniej podniosłymi reperkusjami w przypadku jej niedotrzymania. A konkretnie przysięga pan oraz każe przysiąc Léopoldine, że jeśli któreś z was nie dotrzyma przyrzeczenia i osiągnie dojrzałość, to drugie je po prostu zabije.

– Już w wieku lat czternastu dusza tytana!

– Przypuszczam, że wiele innych dzieci planowało sobie, że nigdy nie dorosną – z sukcesem różnym, choć zawsze prowizorycznym. Wygląda jednak na to, że wam się udało. Prawdą jest, że staraliście się o to z rzadko spotykaną determinacją. Pan zaś, będący motorem całego przedsięwzięcia, wymyślał najrozmaitsze pseudonaukowe metody, mające uodpornić wasze ciała na dojrzałość.

– Nie tak bardzo pseudonaukowe, skoro okazały się skuteczne.

– To się jeszcze zobaczy. Zastanawiam się tylko, jakim cudem zdołaliście przeżyć podobne kuracje.

– Byliśmy szczęśliwi.

– Za jaką cenę! I skąd, u diabła, brał pan te obłąkańcze receptury? Zresztą, usprawiedliwiał pana wiek.

– Gdyby to było możliwe, postąpiłbym tak jeszcze raz.

– Obecnie usprawiedliwia pana starcze dzieciństwo.

– Wobec tego należy przyjąć, że zawsze byłem dziecięmiasty lub dziecienny, gdyż moje nastawienie duchowe nigdy się nie zmieniło.

– W pana przypadku mnie to nie dziwi. Już w 1922 roku był pan nienormalny. Wymyśliliście *ex nihilo* coś, co nazywaliście „higieną wiecznego dzieciństwa” – a w owym czasie pojęcie to obejmowało wszelkie dziedziny zdrowia fizycznego i psychicznego: higiena była ideologią. Ta, którą wy wymyśliliście, zasługiwała raczej na miano antyhigieny, tak była niezdrowa.

– Przeciwnie, bardzo zdrowa.

– Przekonany, że dojrzałość dokonuje swego dzieła podczas snu, zdecydował pan, że nie należy spać, w każdym razie nie więcej niż dwie godziny dziennie. Uznał pan, że najskuteczniejszym sposobem zatrzymania dzieciństwa jest przebywanie głównie w wodzie: odtąd Léopoldine i pan dniami i nocami pływaliście po jeziorach na terenie posiadłości, czasami również zimą. Jadaliście niezbędne minimum. Jedne artykuły żywnościowe były zabronione, inne zalecane w myśl zasad, które wydają mi się być tworem najczystszej fantazji; zabraniał pan spożywania dań uznanych za zbyt „dorosłe” – jak kaczkę w pomarańczach, zupę z homara i potrawy w ciemnym kolorze, natomiast zalecał jedzenie grzybów, nie tyle trujących, ile uważanych za nienadające się do

jedzenia, takich jak purchawki, którymi opychaliście się przez cały sezon. Żeby nie spać, zdobywał pan puszki niezwykle mocnej herbaty kenijskiej, bo usłyszał pan kiedyś, jak pańska babka źle o niej mówiła; sporządzał pan z niej esencję ciemną jak atrament i pijał ogromne jej ilości, takie same podawał pan kuzynce.

– Chętnie się na to godziła.

– Powiedzmy raczej, że pana kochała.

– Ja też ją kochałem.

– Na swój sposób.

– Czyżby mój sposób pani nie odpowiadał?

– Antyfraza.

– Uważa pani, że inni robią to lepiej? Nie znam nic bardziej podłego od tego, co ludzie nazywają miłością. Wie pani, co nazywają miłością? Sprowadzić nieszczęsną do roli służącej, utuczyć ją i oszpeciść – oto, co osobnicy mojej płci nazywają miłością.

– Teraz dla odmiany odstawia pan féministe? Rzadko wydawał mi się pan równie mało wiarygodny.

– Słowo daję, jest pani taka głupia, że płakać się chce. To, co powiedziałem, to absolutne antypody feminizmu.

– Dlaczego nie spróbuje pan choć raz wyrazić się jasno?

– Kiedy ja wyrażam się najzupełniej jasno! To pani nie chce przyznać, że mój sposób kochania jest piękniejszy!

– Moja opinia nie ma tu żadnego znaczenia. Rada bym natomiast wiedzieć, co o tym myślała Léopoldine.

– Dzięki mnie Léopoldine była najszcześniejsza.

– Najszcześniejsza z czego? z kobiet? z istot szalonych? z chorych? z ofiar?

– Pani kompletnie nie pojmuje istoty *rzeczy*. Dzięki mnie była najszcześniejszym z dzieci.

– Z dzieci? Piętnastolatka?

– Tak właśnie. W wieku, kiedy dziewczynki stają się okropne, krostowate, dupiaste, cuchnące, owłosione, cystate, biodrzaste, przemądrzałe i kłótlive – krótko

mówiąc stają się kobietami – w tym przygnębiającym wieku Léopoldine była wciąż dzieckiem; najpiękniejszym, najszcześniejszym, nie potrafiącym pisać ani czytać, a mimo to najmądrzejszym ze wszystkich – była najbardziej dziecinny dzieckiem i to wszystko dzięki mnie. Dzięki mnie moja ukochana uniknęła zmyły przeistaczania się w kobietę. Idę o zakład, że nie znajdzie pani piękniejszej miłości.

– Jest pan absolutnie pewny, że pańska kuzynka nie chciała stać się kobietą?

– Jakże by mogła chcieć czegoś równie strasznego? Była na to za mądra.

– Nie proszę, żeby mi pan w odpowiedzi przedstawiał swoje domysły. Proszę natomiast, by mi pan odpowiedział, czy udzieliła panu, czy też nie swojego przyzwolenia; czy powiedziała panu wyraźnie: „Prétextacie, wolę umrzeć, niż rozstać się z dzieciństwem”.

– Nie musiała mi tego mówić wyraźnie. To było oczywiste.

– Tak właśnie przypuszczałam: nie udzieliła panu zgody.

– Powtarzam raz jeszcze, że nie było to konieczne. Ja wiedziałem, czego chce Léopoldine.

– Przede wszystkim wiedział pan, czego pan chce.

– Ona i ja chcieliśmy tego samego.

– No pewnie.

– Co mi tu pani próbuje insynuować, głupia gąsko? A może wyobraża sobie pani, że zna Léopoldine lepiej niż ja?

– Im dłużej z panem rozmawiam, tym bardziej zaczynam tak myśleć.

– Zresztą lepiej to usłyszeć, niż być głuchym. Więc powiem pani, karykaturę kobiety, coś, o czym pani z pewnością nie wie: nikt – słyszy pani? – nikt nie zna drugiego człowieka lepiej niż jego morderca.

– Tu cię mam. Więc przyznaje się pan?

– Przyznaję? To żadne przyznanie się; pani przecież wiedziała, że ja ją zabiłem.

– Proszę sobie wyobrazić, że miałam jeszcze pewne wątpliwości. Jakoś trudno uwierzyć, żeby noblista mógł być mordercą.

– Co? Nie wiedziała pani, że to właśnie mordercy mają największe szansę na otrzymanie Nobla? Weźmy Kissingera, Gorbaczowa...

– Tak, ale pan dostał Nagrodę Nobla w dziedzinie literatury.

– Otóż to! Laureaci pokojowej Nagrody Nobla często bywają mordercami, ale literackiej – zawsze nimi są.

– Nie sposób rozmawiać z panem poważnie.

– Ależ nigdy jeszcze nie byłem tak poważny.

– Maeterlinck, Tagore, Pirandello, Mauriac, Hemingway, Pasternak, Kawabata – to wszystko mordercy?

– Nie wiedziała pani?

– Nie.

– No to się pani czegoś ode mnie dowiedziała.

– Można wiedzieć, z jakich źródeł czerpie pan te informacje?

– Prétéxtatowi Tachowi niepotrzebne są żadne źródła informacji. Źródła informacji – to dobre dla innych.

– Rozumiem.

– Nie, nic pani nie rozumie. Zainteresowała się pani moją przeszłością, pogrzebała trochę w archiwach i ze zdumieniem odkryła w nich morderstwo. Tymczasem zdumiewające byłoby, gdyby było inaczej. Gdyby zadała sobie pani trud poszperania z podobną skrupulatnością w archiwach tych noblistów, ponad wszelką wątpliwość natrafiłaby pani na całe mnóstwo morderstw. W przeciwnym razie nigdy by tego Nobla nie dostali.

– Poprzedniemu dziennikarzowi zarzucił pan przeinaczanie związków przyczynowych. Pan ich nie przeinacza, pan po prostu robi uniki.

– Wielkodusznie uprzedzam panią, że nie ma pani żadnych szans, próbując zmierzyć się ze mną na polu logiki.

– W to nie wątpię, zważywszy, co określa pan mianem logiki. Ale nie przyszłam tu, żeby się z panem spierać.

– To po co pani przyszła?

– By upewnić się, że jest pan mordercą. I dziękuję, że rozwił pan moje ostatnie wątpliwości: złapał się pan na mój blef.

Grubas zaśmiał się długim, odrażającym śmiechem.

– Pani blef! A to dobre. Sądziła pani, że zdoła wziąć mnie na blef?

– Mam wszelkie powody, żeby tak sądzić, bo tak się właśnie stało.

– Biedna, pretensjonalna gąsko! To nie wie pani, że blefowanie ma na celu wyduszenie czegoś z kogoś Tymczasem ze mnie pani nic nie wydusiła, bo już na samym początku wyznałem pani prawdę. Po co miałbym ukrywać, że jestem mordercą? Nie muszę bać się wymiaru sprawiedliwości, bo za niecałe dwa miesiące i tak umrę.

– A pańska pośmiertna sława?

– Stanie się przez to jeszcze większa. Już widzę te witryny księgarni: „Prétextat Tach, noblista-morderca”. Moje książki sprzedawać się będą jak ciepłe bułeczki. Moi wydawcy zacierać będą tylko ręce. Niech mi pani wierzy, że to morderstwo to świetny interes dla wszystkich.

– Nawet dla Léopoldine?

– Zwłaszcza dla Léopoldine.

– Wróćmy do roku 1922.

– A czemu nie do 1925?

– Coś bardzo się panu spieszy. Nie wolno tych lat potraktować skrótowo, bo one mają kapitalne znaczenie.

– Rzeczywiście kapitalne, są więc nie do opowiedzenia.

– Mimo to już pan o nich opowiedział.

– Nie, ja je zapisałem.

– Darujmy sobie te słowne igraszki, dobrze?

– I mówi to pani pisarzowi?

– Nie z pisarzem teraz rozmawiam, lecz z mordercą.

– To jedna i ta sama osoba.

– Jest pan tego pewien?

– Pisarz, morderca: dwa aspekty tego samego zawodu, dwie odmiany tego samego czasownika.

– Jakiego czasownika?

– Najrzadszego i najtrudniejszego ze wszystkich: czasownika „kochać”. Czy to nie zabawne, że nasze szkolne podręczniki gramatyki wybrały za wzór czasownik o najbardziej niezrozumiałym ze wszystkich znaczeniu? Gdybym był nauczycielem, zastąpiłbym to ezoteryczne słowo jakimś innym, bardziej przystępnym.

– Zabijać?

– „Zabijać” też nie jest łatwe. Nie, jakimś zwykłym, trywialnym czasownikiem typu głosować, rodzić, przeprowadzać wywiad, pracować...

– Bogu dzięki, że nie jest pan nauczycielem. Czy wie pan, jak niezwykle trudno jest zmusić pana do odpowiedzi na jakiegokolwiek pytanie? Ma pan talent do wymigiwania się, zmian tematu, rozmaitych dygresji. Bez przerwy trzeba pana przywoływać do porządku.

– Pani mi schlebia.

– Tym razem mi się pan nie wywinie: lata 1922-1925: oddaję panu głos.

Wymowna cisza.

– Chce pani cukierka?

– Panie Tach, dlaczego ma się pan przede mną tak na baczności?

– Wcale nie mam się przed panią na baczności. Mimo najszczerzych chęci, nie bardzo wiem, co pani powiedzieć. Byliśmy doskonale szczęśliwi i kochaliśmy się jak bogowie. Co innego mógłbym pani powiedzieć oprócz tego typu bzdur?

– Pomogę panu.

– Oczekuję najgorszego.

– Dwadzieścia cztery lata temu, w następstwie literackiej menopauzy zostawił pan pewną swoją powieść nieukończoną. Dlaczego?

– Już to wyjaśniłem jednemu z pani kolegów. Każdy szanujący się pisarz musi zostawić co najmniej jedną powieść nieukończoną, gdyż bez tego traci wiarygodność.

– A czy zna pan wielu pisarzy, którzy jeszcze za życia publikują nieukończone powieści?

– Nie znam żadnego. Z całą pewnością jestem sprytniejszy od innych: już za życia spotykają mnie honory, których zwykli pisarze zaznają dopiero pośmiertnie. W przypadku pisarza początkującego nieukończoną powieść kojarzy się z pewną nieporadnością młodości, nieokiełznanej jeszcze rygorami, ale w przypadku pisarza uznanego powieść nieukończoną jest po prostu szczytem elegancji. Czymś w rodzaju: „zatrzymany w swoim biegu geniusz”, „rozterki tytana”, „ośnienie w obliczu niewypowiedzianego”, „mallarmowska wizja przyszłego dzieła” – krótko mówiąc, taka rzecz się opłaca.

– Panie Tach, obawiam się, że nie zrozumiał pan właściwie mojego pytania. Nie pytam, dlaczego nie ukończył pan jakiejś powieści, ale dlaczego nie ukończył pan tej właśnie powieści.

– Cóż, w trakcie pisania uzmysłowiłem sobie, że jak dotąd nie spłodziłem jeszcze powieści nieukończonej, nieodzownej z punktu widzenia mojej sławy, i opuściwszy wzrok na rękopis, pomyślałem: „Czemu by nie ta?” Więc odłożyłem pióro, nie dodając ani zdania więcej.

– Nie liczy pan chyba, że w to uwierzę.

– A dlaczego nie?

– Powiedział pan: „odłożyłem pióro, nie dodając ani zdania więcej”. Powinien pan raczej powiedzieć: „Odłożyłem pióro i już nigdy więcej nie napisałem ani jednego zdania”. Czy to nie dziwne, że po tym sławetnym nieukończonym dziele nie miał pan ochoty już więcej pisać – pan, który pisał dzień w dzień, od trzydziestu sześciu lat?

– Przecież któregoś dnia i tak musiałem przestać.

– Zgoda, ale dlaczego akurat wtedy?

– Niepotrzebnie doszukuje się pani ukrytych znaczeń w zjawisku tak banalnym jak starość. Miałem pięćdziesiąt dziewięć lat; odszedłem na emeryturę. Co w tym niezwykłego?

– Z dnia na dzień ani linijki więcej; to starość dopadła pana tak znienacka?

– A czemużby nie? Człowiek nie starzeje się każdego dnia. Może minąć dziesięć, dwadzieścia lat i nic się nie dzieje, a potem, bez żadnego konkretnego powodu, owych dwadzieścia lat dopada go w dwie godziny. Pani też się o tym przekona. Któregoś

wieczoru spojrzawszy w lustro, pomyśli pani: „Mój Boże, od dzisiejszego ranka przybyło mi dziesięć lat!”

- Naprawdę, tak bez konkretnego powodu?
- Bez żadnego innego niż czas, który wszystko wiedzie ku zatraceniu.
- Czas to dobra wymówka, panie Tach. A pan w dużym stopniu własnoręcznie – powiedziałabym nawet obiema rękami – mu w tym dopomógł.
- Dłoń, siedlisko rozkoszy pisarza.
- Dłoń, siedlisko rozkoszy dusiciela.
- W rzeczy samej, duszenie to rzecz bardzo przyjemna.
- Dla dusiciela, czy dla ofiary, którą dusi?
- Niestety, znam tylko jedną z tych sytuacji.
- Nic straconego.
- Co pani chce przez to powiedzieć?
- Nie wiem. Pańskie igraszki słowne sprawiają, że tracę głowę. Niech mi pan opowie o tej książce, panie Tach.
- Nie ma mowy; pani to zrobi.
- Z wszystkich, jakie pan napisał, tę lubię najbardziej.
- Dlaczego? Bo jest w niej zamek, arystokraci i historia miłosna? Cała kobieta.
- To prawda, lubię historie miłosne. Czasami myślę, że nie ma niczego bardziej interesującego od miłości.
- Wielkie nieba.
- Może pan ironizować do woli: i tak nie zaprzeczy pan, że to pan napisał tę książkę i że jest to książka o miłości.
- Skoro pani tak twierdzi.
- To zresztą jedyna historia miłosna, jaką pan kiedykolwiek napisał.
- No to mnie pani uspokoiła.
- Wobec tego, raz jeszcze zadam panu to samo pytanie: dlaczego pan tej książki nie skończył?

- Może zabrakło mi wyobraźni?
- Wyobraźni? Do napisania tej książki wyobraźnia nie była panu potrzebna; opowiadał pan o tym, co zdarzyło się naprawdę.
- Co pani może o tym wiedzieć? Pani tam nie było.
- Zabił pan przecież Léopoldine, prawda?
- Tak, ale to jeszcze nie dowód, że reszta jest prawdziwa. Reszta to literatura, droga pani.
- A mnie się wydaje, że w tej książce wszystko jest prawdziwe.
- Cóż, skoro to pani sprawia przyjemność.
- Przyjemność przyjemnością, ale mam słuszne powody, by uważać tę powieść za czysto autobiograficzną.
- Słuszne powody? Proszę powiedzieć jakie, to nas trochę rozbawi.
- Archiwa potwierdziły istnienie zamku, który tak szczegółowo pan opisał. Bohaterowie występują pod swoimi prawdziwymi nazwiskami, oczywiście z wyjątkiem pana, ale Philémon Tractatus to przejrzysty pseudonim – dowodem inicjały. No i wreszcie rejestry zgonów poświadczają śmierć Léopoldine w 1925 roku.
- Archiwa, rejestry – i to nazywa pani rzeczywistością?
- Nie, lecz jeśli uszanował pan rzeczywistość oficjalną, to, rozumując logicznie, mogę wnioskować, że uszanował pan również realia bardziej sekretne.
- Słaby argument.
- Są też inne: na przykład styl. Styl nieskończenie mniej abstrakcyjny, aniżeli w poprzednich powieściach.
- Argument jeszcze słabszy. Wrażliwość zastępująca pani zmysł krytyczny nie może mieć żadnej wartości dowodowej, zwłaszcza w dziedzinie stylistyki; pariasz pani pokroju nigdy nie plotą takich andronów jak wtedy, gdy mowa o stylu pisarza.
- I wreszcie mam argument o tyle bardziej druzgocący, że nie jest argumentem.
- Co też pani wygaduje?
- To nie argument, to fotografia.
- Fotografia? Czego?

– Wie pan, dlaczego nikt nigdy nie podejrzewał, że jest to powieść autobiograficzna? Ponieważ jej główny bohater, Philémon Tractatus, był wspaniałym, smukłym chłopcem o przepięknej twarzy. Mówiąc, że od osiemnastego roku życia był pan szpetny i otyły, właściwie nie okłamał pan moich kolegów. Albo powiedzmy, że okłamał ich pan przez zaniechanie, ponieważ wcześniej był pan zachwycająco piękny.

– Co pani może o tym wiedzieć.

– Odnalazłam zdjęcie.

– To niemożliwe. Przed 1948 nigdy nie zostałem sfotografowany.

– Przykro mi, lecz pamięć pana zawodzi. Znalazłam zdjęcie, na którego odwrocie napisano ołówkiem: „Saint-Sulpice – 1925”.

– Proszę mi je pokazać.

– Pokażę, gdy nabiorę pewności, że nie będzie pan próbował go zniszczyć.

– Rozumiem, to blef.

– Nie blefuję. Odbylałam pielgrzymkę do Saint-Sulpice. Z przykrością muszę pana powiadomić, że na miejscu zamku, z którego nic nie ocalało, powstała spółdzielnia rolnicza. Większość jezior na terenie posiadłości zarosła, a dolinę zamieniono w miejskie wysypisko śmieci. Przykro mi, ale wcale mi pana nie żal. Na miejscu rozmawiałam z wszystkimi starymi ludźmi, jakich udało mi się odszukać. Pamiętali jeszcze zamek i markizów Planèze de Saint-Sulpice. Pamiętali nawet małego sierotę, którego zaadoptowali dziadkowie.

– Zastanawiam się, jakim sposobem ten motłoch może mnie pamiętać, skoro nigdy nie miałem z nim żadnej styczności.

– Istnieją różne rodzaje kontaktów. Możliwe, że nikt z panem nie rozmawiał, lecz widywano pana.

– Niemożliwe. Nigdy moja noga nie postąpiła poza granicami posiadłości.

– Lecz przecież pana dziadków, ciotkę i wuja odwiedzały różne zaprzyjaźnione osoby.

– Ale nigdy nie robili zdjęć.

– Błąd. Proszę posłuchać, nie wiem, w jakich okolicznościach to zdjęcie zostało zrobione ani przez kogo – mogę się tego tylko domyślać – ale faktem jest, że istnieje. Stoi pan na nim przed zamkiem w towarzystwie Léopoldine.

– Z Léopoldine?

– To czarujące ciemnowłose dziecko – to może być tylko ona.

– Proszę mi pokazać to zdjęcie.

– I co pan z nim zrobi?

– Powiedziałem, żeby mi pani pokazała zdjęcie.

– Dostałam je od pewnej sędziwej kobiety mieszkającej we wsi. Nie wiem, jakim sposobem znalazło się w jej posiadaniu. To zresztą nieważne: tożsamość obojga dzieci nie ulega wątpliwości. Tak, dzieci, nawet pan, siedemnastolatek wówczas, nie przejawia najmniejszych oznak dojrzałości. To niezwykle; oboje jesteście bardzo wysocy, szczupli i bladzi, ale wasze twarze i strzeliste ciała są idealnie dziecinne. Zresztą nie wyglądacie normalnie; sprawiacie wrażenie pary dwunastoletnich olbrzymów. Mimo to ogólny efekt jest zachwycający: te delikatne rysy, to naiwne spojrzenie, te zbyt drobne w porównaniu z czaszką twarze, wieńczące dziecięce tułowie i chude, nieskończenie długie nogi – para jak z obrazka. Zdawać by się mogło, że pańskie osobliwe zasady higieny okazały się skuteczne; że sekret urody leży w purchawkach. Ale największym szokiem jest pan. Nie do poznania!

– Skoro nie do poznania, to skąd pani wie, że to ja?

– A któż inny mógłby być? Poza tym zachował pan tę samą jasną, gładką i młodą skórę – jedyną rzecz, jaka w panu przetrwała. Był pan tak niebywale piękny, miał tak czyste rysy, tak delikatne kończyny i tak aseksualną konstytucję; tak chyba muszą wyglądać anioły.

– Proszę mi oszczędzić tej bigoterii, dobrze? I zamiast wygadywać te bzdury, niech mi pani pokaże zdjęcie.

– Jak to możliwe, żeby się aż tak zmienić? Mówił pan, że już jako osiemnastolatek wyglądał pan tak jak teraz; w porządku, wierzę – ale w takim razie jest to tym bardziej zdumiewające; jakim cudem zdołał pan w ciągu niespełna roku przekształcić swoją seraficzną powierzchowność w tę monstrialną kupę sadła, jaką widzę przed sobą? Mało

tego, że trzykrotnie przybrał pan na wadze, ale również pana delikatna twarz nabrała wolic kształtów, subtelne rysy rozlały się i stały się wulgarne...

– Niech mnie pani przestanie obrażać.

– Dobrze pan wie, jaki jest brzydki. Zresztą pan sam nieustannie używa w odniesieniu do siebie różnych najbardziej uwłaczających przymiotników.

– Co wolno wojewodzie, to nie tobie, smrodzie. Zrozumiano?

– Mam w nosie pańskie przyzwolenie. Jest pan odrażający, ot co; niewiarygodne, żeby człowiek tak wielkiej niegdyś urody, stał się do tego stopnia odrażający.

– Nic w tym niewiarygodnego, to zwykła kolej rzeczy. Tyle że zazwyczaj nie dzieje się to tak szybko.

– No i znów stanęło na moim. Znów się pan przyznał.

– Słucham?

– Tak. To, co pan właśnie powiedział, potwierdza implicite prawdę moich słów. W wieku lat siedemnastu był pan dokładnie taki, jakim pana opisałam – i takim, jakiego nie uwieczniła, niestety, żadna fotografia.

– Wiedziałem. Ale jak to możliwe, że mnie pani tak trafnie opisała?

– Wystarczyło mi sparafrazować opis Philémona Tractatusa z pana książki. Chciałam sprawdzić, czy rzeczywiście wyglądał pan tak, jak opisany przez pana bohater; ponieważ nie chciał pan odpowiadać na moje pytania, nie pozostawało mi nic innego, jak uciec się do blefu, żeby się tego dowiedzieć.

– Jest pani obrzydliwą małą poszukiwaczką sensacji.

– Szukanie sensacji popłaca: teraz mam już absolutną pewność, że pańska powieść jest czysto autobiograficzna. Mogę być z siebie dumna, ponieważ miałam w ręku dokładnie te same dane, co wszyscy inni. A tylko ja domyśliłam się prawdy.

– To mi dopiero powód do dumy.

– Powrócę więc teraz do mojego pierwszego pytania: dlaczego *Higiena mordercy* jest powieścią nieukończoną?

– No i mamy nasz brakujący tytuł!

– Niepotrzebnie zgrywa się pan na zdziwionego; przestanę nękać pana dopiero, kiedy mi pan odpowie, dlaczego nie skończył pan tej książki?

– Można by to pytanie zadać w sposób bardziej metafizyczny: dlaczego ta nieukończoność jest książką?

– Nie interesuje mnie pańska metafizyka. Niech mi pan wreszcie odpowie, dlaczego jej pan nie skończył?

– Do cholery jasnej, zaczyna mi pani działać na nerwy! A co, nie miałem prawa jej nie skończyć?

– Prawo nie ma nic wspólnego z tą historią. Opisywał pan prawdziwe wydarzenia i ich prawdziwe zakończenie; dlaczego więc nie skończył pan książki? Po śmierci Léopoldine utknął pan w próżni. Czy tak trudno było zamknąć tę sprawę, nadać jej należyte zakończenie?

– Trudno?! Niech pani raz na zawsze zapamięta, że dla Prétextata Tacha nie ma rzeczy trudnych do napisania.

– No właśnie. Stąd ten unik w postaci braku zakończenia jest tak niedorzeczny.

– Kimże pani jest, by decydować o niedorzeczności moich decyzji?

– Ja nie decyduję, ja się zastanawiam.

Sędziwy pisarz przeobraził się nagle w osiemdziesięcioletniego starca.

– Nie pani jedna. Ja również zadaję sobie to pytanie i nie znajduję na nie odpowiedzi. Miałem do wyboru dziesiątki zakończeń tej książki: albo samo morderstwo, albo noc, która po nim nastąpiła, albo moją fizyczną metamorfozę, albo pożar zamku w rok później...

– Ten pożar to pańskie dzieło, prawda?

– Oczywiście. Po śmierci Léopoldine Saint-Sulpice stało się nie do zniesienia. Co więcej, zaczęła mi działać na nerwy podejrzliwość rodziny wobec mojej osoby. Postanowiłem więc pozbyć się zamku wraz z jego mieszkańcami. Nawet nie przypuszczałem, że tak łatwo spłoną.

– Oczywiście, taką błahostką, jak szacunek dla ludzkiego życia nie zawracałby pan sobie głowy, ale czy nie miał pan oporów, by puścić z dymem siedemnastowieczny zamek?

– Skrupuły nigdy nie były moją mocną stroną.

– Fakt. Wróćmy do naszego zakończenia czy raczej braku zakończenia. Zatem utrzymuje pan, że nie wie, dlaczego nie skończył książki?

– W tym jednym może mi pani wierzyć. Rzeczywiście, miałem do wyboru mnóstwo eleganckich zakończeń, ale wydawało mi się, że żadne nie pasuje. Nie wiem; to było tak, jakbym czekał na coś innego, jakbym od dwudziestu czterech lat, czy jak pani woli, od sześćdziesięciu sześciu wciąż na coś czekał.

– Na co? Na zmartwychwstanie Léopoldine?

– Gdybym to wiedział, nie przestałbym pisać.

– Miałam więc rację, doszukując się związku między nieukończeniem tej powieści a pańską sławetną menopauzą literacką.

– Oczywiście, że miała pani rację. Tylko czym tu się chwalić? Mieć rację, kiedy jest się dziennikarzem, to tylko kwestia pewnej zręczności. Mieć rację, gdy jest się pisarzem – coś takiego nie istnieje. Pani zawód jest odpychająco łatwy. Ale mój – jest niebezpieczny.

– A pan sprawia, że staje się jeszcze bardziej niebezpieczny.

– Jak mam rozumieć ten osobliwy komplement?

– Nie wiem czy to komplement. Nie wiem, czy należy uznać za podziwu godne, czy za niemądre kusić los tak, jak pan to robi. Czy może mi pan wytłumaczyć, co panu strzeliło do głowy, że któregoś dnia postanowił wiernie spisać historię, nie tylko panu najdroższą, ale też niosącą w sobie największe ryzyko, że zaprowadzi pana przed sąd? Jaka to mroczna perwersja powodowała panem, gdy postanowił pan dostarczyć ludzkości własnoręcznie spisany i tak czytelny akt samooskarżenia?

– Ależ ludzkość ma to gdzieś! Dowód: już od dwudziestu czterech lat książka zalega półki biblioteczne i nikt, słyszy pani? nikt mi o niej nigdy nie wspomniał bodaj słowem. I jest to całkiem normalne, gdyż, zgodnie z tym, co pani mówiłem, nikt jej nigdy nie czytał.

– A ja?

– Pani nie biorę w rachubę.

– Jaki ma pan dowód, że nie istnieją inne osoby, których, tak jak mnie, nie bierze pan w rachubę?

– Dowód niepodważalny: gdyby ktokolwiek oprócz pani przeczytał – powiadam: przeczytał, w krwiożerczym znaczeniu tego słowa – moją książkę, już od dawna gnąłbym w więzieniu. Zadała mi pani interesujące pytanie, lecz dziwi mnie, że odpowiedź sama się pani nie nasunęła. Ma pani przed sobą mordercę, od czterdziestu dwóch lat przebywającego na wolności. Nikt nigdy nie dowiedział się o jego zbrodniach, on sam zaś został sławnym pisarzem. Tymczasem, zamiast zadowolić się tak wygodną sytuacją, ówże chory człowiek występuje z absurdalnym wyzwaniem, gdyż ma wszystko do stracenia, a nic do zyskania – nic do zyskania oprócz dowodu w najwyższym stopniu tragikomicznego.

– Pozwoli pan, że sama zgadnę: pisarz pragnie dowieść, że nikt nie czyta jego książek.

– Lepiej: on pragnie dowieść, że nawet te niezwykle rzadkie, czytające go osoby – bo takie istnieją – przeczytały go, nie czytając.

– I wszystko jasne.

– Ależ tak. Widzi pani, zawsze znajdzie się jakaś garstka próżniaków, wegetarian, początkujących krytyków, studentów masochistów lub dziwaków, posuwających się nawet do tego, że czytają kupowane przez siebie książki. Właśnie ci ludzie mieli być przedmiotem mojego eksperymentu. Chciałem udowodnić, że całkowicie bezkarnie mogę wypisywać na swój temat najgorsze potworności; bo ten akt samooskarżenia, jak słusznie go pani nazwała, jest najzupełniej autentyczny. Tak, panienko, od początku do końca miała pani rację: żaden detal w tej książce nie został wymyślony. Naturalnie można by tych czytelników usprawiedliwić na rozmaite sposoby; nikt nic nie wie o moim dzieciństwie, to nie pierwsza okropna książka, jaką napisałem, przecież trudno wyobrazić sobie, że mogłem być kiedyś tak nieziemsko piękny etc. Ja jednak twierdzę, że te usprawiedliwienia są funta kłaków warte. Zna pani może tę recenzję *Higieny mordercy*, którą przeczytałem w jednej z gazet? „Bajeczna, obfitująca w symbole opowieść, oniryczna metafora grzechu pierworodnego, a przez to i kondycji ludzkiej”. Czy nie mówiłem, że ludzie czytają mnie, nie czytając! Mogę sobie pozwolić na wypisywanie nawet najbardziej ryzykownych prawd, a i tak wszyscy dopatrzą się w nich tylko metafory. Nic w tym dziwnego: pseudoczytelnik, zakuty w swój skafander, przedziera się przez moje ociekające krwią frazy całkowicie nietknięty. Czasami zakrzyknie z

zachwytem: „Cóż za piękny symbol!” To właśnie nazywa się czystą lekturą. Wspaniały wynalazek, któremu niezwykle miło oddawać się w łóżku przed zaśnięciem; uspokaja człowieka, i nawet nie brudzi pościeli.

– A co, wolałby pan, żeby czytano pana w rzeźni albo w Bagdadzie podczas bombardowania?

– Ależ skąd, niemądra istoto. Ja nie miejsce lektury kwestionuję, lecz samą lekturę. Chciałbym, żeby czytano mnie bez tego kombinezonu nurka, bez kratki w przyłbicy, bez szczepionki i, prawdę mówiąc, bez żadnego przysłówka.

– Powinien pan wiedzieć, że taka lektura nie istnieje.

– Początkowo nie wiedziałem, lecz obecnie w świetle mojego błyskotliwego dowodu, może być pani pewna, że nie mam co do tego żadnych wątpliwości.

– I co w związku z tym? Czy to nie powód do radości, że tyle sposobów czytania, ilu czytelników?

– Nie zrozumiała mnie pani: nie istnieją czytelnicy i nie istnieje czytanie.

– Ależ istnieje, po prostu istnieją inne sposoby lektury niż pański. Dlaczego pański miałby być jedynym dopuszczalnym?

– Dobrze, już dobrze, niech pani przestanie cytować ten swój podręcznik socjologii. Skądinąd rad bym wiedzieć, co miałby do powiedzenia pani podręcznik socjologii na temat tej stworzonej przeze mnie, budującej sytuacji: pisarz morderca otwarcie przyznaje się do popełnienia zbrodni, i nie znajdzie się czytelnik na tyle bystry, żeby się w tym połapać.

– Mam w nosie opinie socjologów, a sama uważam, że czytelnik nie jest policjantem, i jeśli nikt nie próbował robić panu kłopotów po ukazaniu się tej książki, to tylko dobry znak: znaczy to, że Fouquier-Tinville wyszedł z mody, że ludzie są otwarci duchem i zdolni do cywilizowanej lektury.

– Taak, rozumiem: jest pani zepsuta tak jak wszyscy. Głupi byłem, uważając panią za inną od reszty.

– Niestety, chyba jednak jestem trochę inna, ponieważ tylko ja wywęszyłam prawdę.

– Powiedzmy, że nie brak pani węchu. Ale to wszystko. Rozczarowała mnie pani.

– Uważam to prawie za komplement. Czy mam przez to rozumieć, że przez krótką chwilę miał pan o mnie lepsze mniemanie?

– Rozbawi to panią, ale: tak. Jest pani wprawdzie banalna, jak większość ludzi, ale posiada jedną, niezwykle rzadką cechę.

– Umieram z ciekawości jaką.

– Myślę, że jest to cecha wrodzona; z ulgą stwierdzam, że pani kretyńskie praktyki nie zdołały jej zaszkodzić.

– Jaka to więc cecha?

– Pani przynajmniej potrafi czytać. Cisza.

– Ile ma pani lat?

– Trzydzieści.

– Dwa razy tyle, co Léopoldine w chwili śmierci. Biedna mała, otóż to: żyje pani o wiele za długo – to jest właśnie ta pani okoliczność łagodząca.

– Co takiego? Imputuje pan, że to ja potrzebuję okoliczności łagodzących? Chyba śnię.

– Niech pani zrozumie, że próbuję to sobie jakoś wytłumaczyć: mam przed sobą osobę o bystrym umyśle, obdarzoną rzadkim przymiotem umiejętności czytania. Więc zastanawiam się, co takiego mogło wypaczyć te wspaniałe predyspozycje. I pani mi właśnie na to odpowiedziała: czas. Trzydzieści lat to o wiele za dużo.

– I to pan, osoba tak wiekowa, mi to mówi?

– Ja umarłem, kiedy miałem lat siedemnaście. Poza tym z mężczyznami jest inaczej.

– Otóż to.

– Niepotrzebny ten sarkazm, moja mała, dobrze pani wie, że to prawda.

– Co jest prawdą? Marzę, by mi to pan wyraźnie powiedział.

– Cóż, sama pani tego chciała. Otóż mężczyznom przysługuje prawo do różnego rodzaju odroczeń. Ale nie kobietom. Co do tego ostatniego punktu jestem o wiele bardziej dosłowny i szczery niż inni: większość samców, zanim zapomni o swoich samicach, przez czas dłuższy lub krótszy zwodzi je, co jest znacznie bardziej niegodziwe,

niż gdyby je po prostu uśmiercili. Osobiście uważam takie zwodzenie za idiotyczne, a nawet niełojalne wobec samic: bowiem z powodu tej zwłoki wyobrażają sobie, że są potrzebne. Tymczasem prawda jest taka, że z chwilą, gdy stają się kobietami, z chwilą, gdy kończy się ich dzieciństwo, powinny umrzeć. Gdyby mężczyźni byli dżentelmenami, to w dniu ich pierwszej miesiączki powinni je zabijać. Ale mężczyźni nigdy nie byli rycerscy; wolą, żeby te nieszczęsnice żyły i cierpiały, zamiast zachować się elegancko i pozbawić je życia. Znałem tylko jednego osobnika płci męskiej, posiadającego dość wielkości, szacunku, miłości, szczerości i uprzejmości, by to. zrobić.

– Siebie.

– Właśnie tak.

Dziennikarka odchyliła głowę do tyłu. Śmiech narastał w niej powoli, chrapliwie. A potem zaczął nabierać coraz szybszego tempa, przechodząc w coraz wyższe oktawy, by osiągnąć wreszcie kwintę, niekończącą się, zapierającą oddech. Był to śmiech szaleńczy, w klinicznym niemal stadium.

– To panią śmieszy?

– ...?

Rozbawienie uniemożliwiło jej odpowiedź.

– Wariacki śmiech; kolejna z babskich przypadłości. Nigdy jeszcze nie widziałem, żeby mężczyzna skręcał się ze śmiechu, jak to robią kobiety. To musi mieć jakiś związek z macicą; wszystkie paskudztwa w życiu biorą się z macicy. Przypuszczam, że małe dziewczynki jej nie mają, a jeśli mają, to jest to zabawka, parodia macicy. Ale kiedy ta macica na niby zamienia się w prawdziwą, dziewczynki powinno się uśmiercać, już choćby po to, by oszczędzić im tej strasznej, bolesnej hysterii, jakiej ofiarą padła pani przed chwilą.

– Ach.

To „ach” wydobyło się z samych trzewi, wyczerpanych i wstrząsanych jeszcze chorobliwymi spazmami.

– Biedna mała. Życie okrutnie się z panią obeszło. Kim był ten łajdak, który nie uśmiercił pani, gdy przestała pani być dzieckiem? Chyba wtedy właśnie zabrakło pani

prawdziwego przyjaciela. Niestety, obawiam się, że tylko Léopoldine – jej jednej – dopisało szczęście.

– Niech pan przestanie, dłużej tego nie wytrzymam.

– Rozumiem pani reakcję. Takie spóźnione odkrycie prawdy, to nagle uświadomienie sobie porażki to straszny szok. Pani macica musi uporać się z kolejnym ciosem. Biedna mała samiczka! Biedne stworzenie tchórzliwie oszczędzone przez samczy gatunek. Proszę mi wierzyć, że głęboko pani współczuję.

– Panie Tach, jest pan najbardziej niebywałym i dziwnym osobnikiem, jakiego w życiu spotkałam.

– Dziwnym? Nie rozumiem.

– Pan mnie zdumiewa. To po prostu niesamowite, żeby wymyślić teorię równie obłąkańczą, a przy tym tak spójną. Początkowo sądziłam, że będzie mi pan wygadywał jakieś idiotyzmy w stylu macho. Jednak pana nie doceniłam. Pańska diagnoza jest straszna, a zarazem subtelna: kobiety należy po prostu likwidować, czy nie tak?

– Naturalnie. Gdyby nie było kobiet, sprawy nareszcie zaczęłyby się układać w interesie kobiet.

– Cóż za pomysłowe rozwiązanie. Jak to możliwe, że nikt wcześniej na to nie wpadł?

– Moim zdaniem byli tacy, tyle że nikomu wcześniej nie starczyło odwagi, by ów projekt, tak jak ja, wprowadzić w życie. W końcu każdy mógłby to zrobić. Feminizm i antyfeminizm to dwie plagi gatunku ludzkiego; środek zaradczy jest oczywisty, prosty i logiczny – likwidacja kobiet.

– Jest pan genialny, panie Tach. Podziwiam pana i jestem zachwycona, że mogłam pana poznać.

– Zdziwi to panią, ale ja również cieszę się z naszego spotkania.

– Chyba nie mówi pan tego poważnie.

– Wręcz przeciwnie. Po pierwsze, podziwia mnie pani za to, kim jestem, a nie za swoje wyobrażenie o mnie: punkt na pani korzyść. Dalej – wiem, że będę mógł oddać pani wielką przysługę, i ogromnie się z tego cieszę.

– Jaką przysługę?

- Jak to jaką przysługę? Chyba już pani wie.
- Czy mam przez to rozumieć, że mnie również zamierza pan uśmiercić?
- Zaczynam nabierać przekonania, że jest pani tego godna.
- To wielki komplement, panie Tach; proszę mi wierzyć, jestem nim szczerze wzruszona, ale...
- W rzeczy samej, widzę, że się pani zaczerwieniła po uszy...
- Ale proszę nie zadawać sobie aż takiej fatygi.
- Dlaczego? Uważam, że pani na to zasługuje. Jest pani o wiele bardziej interesująca, niż początkowo myślałem. Mam ogromną ochotę pomóc pani umrzeć.
- Jestem wzruszona, ale mniejsza z tym; nie chciałabym, żeby napisał pan sobie przeze mnie jakichś kłopotów.
- Ależ, dziecko, ja przecież niczym nie ryzykuję; zostało mi zaledwie dwa miesiące życia.
- Nie chciałabym, żeby z mojego powodu ucierpiała pańska pośmiertna sława.
- Ucierpiała? A niby czemu ów miłosierny uczynek miałby jej zaszkodzić? Odwrotnie! Ludzie powiedzą: „Jeszcze w niespełna dwa miesiące przed śmiercią Prétaxat Tach czynił dobro”. Stanę się przykładem dla ludzkości.
- Panie Tach, ludzkość się na tym nie pozna.
- Niestety, obawiam się, że i tym razem ma pani rację. Ale zapomnijmy o ludzkości i o mojej sławie. Mój szacunek dla pani jest tak wielki, iż dla pani i tylko dla niej, pragnąłbym uczynić coś dobrego i bezinteresownego.
- Uważam, że mnie pan jednak przecenia.
- Nie sędzę.
- Proszę otworzyć oczy, panie Tach; czyż nie mówił pan, że jestem brzydka, głupia, zepsuta i co tam jeszcze? Czy nie dyskredytuje mnie już sam fakt, że jestem kobietą?
- Teoretycznie wszystko, co pani mówi, jest prawdą. Ale stało się coś dziwnego; sama teoria już mi nie wystarcza. Odbieram teraz ten problem w innym wymiarze i

zaznaje niezwyklej emocji, jakich nie odczuwałem przez ostatnich sześćdziesiąt sześć lat.

– Niechże się pan ocknie, panie Tach, ja nie jestem Léopoldine.

– To prawda. A jednak aż tak bardzo się pani od niej nie różni.

– Przecież była piękna jak poranek, a mnie pan uznał za brzydulę.

– Niezupełnie. Pani brzydota nosi w sobie pewien rys piękna. Chwilami jest pani piękna.

– Chwilami.

– Tych chwil jest wiele.

– Uważa mnie pan za idiotkę; nie może mnie pan przecież szanować.

– Dlaczego się pani z takim przejęciem dyskredytuje?

– Z bardzo prostego powodu: ponieważ nie zależy mi na tym, by zostać zamordowaną przez laureata literackiej Nagrody Nobla.

Twarz grubasa nagle stężała.

– A może wolałaby pani noblistę w dziedzinie chemii? – zapytał lodowatym tonem.

– Szalenie zabawne. Rzecz jednak w tym, że w ogóle nie chcę zostać zamordowana, obojętnie, przez noblistę czy przez sklepikarza.

– Czy mam przez to rozumieć, że woli pani sama ze sobą skończyć?

– Gdybym miała jakiegokolwiek skłonności samobójcze, już dawno temu bym to zrobiła.

– Otóż to. Pewnie myśli pani, że to takie proste?

– W ogóle nie myślę, bo to nie mój problem. Proszę sobie wyobrazić, że ani mi się śni umierać.

– Nie mówi pani tego poważnie.

– Czy to, że człowiek pragnie żyć, uważa pan za aż taką aberrację?

– Chcieć żyć, to w najwyższym stopniu pochwały godne. Tylko że pani przecież wcale nie żyje, biedna, naiwna gąsko! I nigdy nie będzie! Nie wie pani, że dziewczynki umierają w dniu osiągnięcia dojrzałości? Gorzej, one umierają, a nadal chodzą po ziemi.

Rozstają się z życiem nie po to, by osiągnąć czarowne brzegi śmierci, lecz by rozpocząć żmudne i żałosne odmienianie przyziemnego i plugawego czasownika, który odmieniać będą we wszystkich czasach i trybach, rozkładając go na czynniki pierwsze, dobudowując mu znaczenia, skazane na niego już na zawsze.

– C to za czasownik?

– Coś w rodzaju „reprodukować”, w najobrzydliwszym tego słowa znaczeniu – lub jeśli pani woli, „owulować”. To ani śmierć, ani życie, ani stan pośredni. Nie sposób tego inaczej określić, jak „być kobietą”; bez wątpienia słownik, z typową dla siebie hipokryzją, wolał się wymigać od nadania nazwy rzeczy równie odrażającej.

– Ale skąd, na Boga, może pan wiedzieć, czym jest życie kobiety?

– Nieżycie kobiety.

– Życie czy nieżycie – pan nic o tym wiedzieć nie może.

– Niech pani zapamięta, że wielcy pisarze mają bezpośredni, nadnaturalny dostęp do życia bliźnich. Nie muszą uprawiać lewitacji ani grzebać w archiwach, by wniknąć w umysłowy świat jednostek. Wystarcza im sięgnąć po pióro i ołówek, by spisać jak przez kalkę myśli innych ludzi.

– No proszę. Drogi panie, sądząc z debilizmu tych konkluzji, uważam pański światopogląd za kompletnie wypaczony.

– Żałosna kretynka. Co mi pani chce wmówić? Czy raczej wmówić samej sobie? Ze jest pani szczęśliwa? Istnieją przecież pewne granice autosugestii. Niech pani przejrzy na oczy! Pani nie jest szczęśliwa, pani nie żyje.

– Co pan może o tym wiedzieć?

– To pani powinna zadać sobie to pytanie. Skąd pani wie, czy żyje, czy nie żyje; czy jest, czy nie jest szczęśliwa? Pani nawet nie wie, czym jest szczęście. Gdyby pani spędziła dzieciństwo w takim ziemskim raju jak ja i Léopoldine...

– Też mi coś, niechże pan wreszcie przestanie uważać się za takiego wybrańca. Wszystkie dzieci są szczęśliwe.

– Nie byłbym tego taki pewny. Pewne natomiast jest to, że nigdy żadne dziecko nie było tak szczęśliwe jak mała Léopoldine i mały Prétextat.

Dziennikarka odrzuciła głowę do tyłu i znów rozległ się jej pulsujący śmiech.

– Proszę, oto znów odzywa się w pani macica. Więc dobrze, cóż takiego śmiesznego powiedziałem?

– Przepraszam, ale to te imiona... zwłaszcza pańskie!

– No to co? Co ma pani *do* zarzucenia mojemu imieniu?

– Nic do zarzucenia. Ale żeby nazywać się Prétextat! Brzmi to jak jakiś dowcip. Zastanawiam się, co też strzeliło do głowy pańskim rodzicom, żeby dać panu takie imię.

– Zabraniam pani osądzać moich rodziców. I szczerze mówiąc, nie rozumiem, co takiego śmiesznego jest w Prétextacie. To chrześcijańskie imię.

– Naprawdę? No to tym bardziej śmieszne.

– Proszę nie żartować sobie z religii, profanko. Urodziłem się dwudziestego czwartego stycznia, w dniu świętego Prétextata; w braku innego pomysłu moi rodzice podporządkowali się decyzji kalendarza.

– O nieba! To gdyby pan przyszedł na świat w Tłusty Czwartek, nazwaliby pana Tłustym Czwartkiem lub po prostu Tłustym?

– Dość tych bluźnierstw, wstrętne kreaturo! I przyjmij do wiadomości, ignorantko, że święty Prétextat był w szóstym wieku arcybiskupem Rouen i wielkim przyjacielem Grzegorza z Tours, bardzo porządnego człowieka, choć pani oczywiście nigdy o nim nie słyszała. To Prétextatowi Merowingowie zawdzięczają swoje istnienie, gdyż to on doprowadził, skądinąd z narażeniem własnego życia, do ślubu Mérovée z Brunehaut. A mówię to wszystko, żeby pani wiedziała, iż nie należy dworować sobie z tak znakomitego imienia.

– Nie bardzo rozumiem, dlaczego pańskie objaśnienia historyczne miałyby uczynić je mniej śmiesznym. Imię pańskiej kuzynki też jest niezłe.

– Co?! Ośmiela się pani żartować z imienia mojej kuzynki? Zabraniam! Jest pani istnym potworem trywialności i złego smaku. Léopoldine to imię najpiękniejsze z wszystkich, najnobliwsze, najpełniejsze gracji i najbardziej porywające.

– Ach!

– Tak, właśnie. Znam tylko jedno, które w jakiś sposób może się z nim równać: Adèle.

– Proszę, proszę.

– A tak. Ojciec Hugo miał wiele wad, ale jednego odmówić mu nie sposób; był człowiekiem obdarzonym smakiem. Nawet jeśli jego dzieło grzeszy hipokryzją, jest piękne i wielkie. Dal swoim córkom dwa najcudowniejsze imiona. W porównaniu z Adèle i Léopoldine wszystkie inne imiona żeńskie są żałosne.

– To kwestia gustu.

– Ależ skąd, kretynko! Kto by zawracał sobie głowę gustami pani, ludu, gminu, miernoty, pospólstwa? Liczą się jedynie gusta geniuszy, ludzi takich jak Wictor Hugo i ja. Poza tym Adèle i Léopoldine to imiona chrześcijańskie.

– I co z tego?

– Widzę, że panienka należy do tej nowomodnej hołoty, rozkochanej w imionach pogańskich. W pani stylu byłoby obdarzyć swoje dzieci imionami Kriszna, Elohim, Abdullah, Czang, Empedocle, Sitting Buli czy Akhenaton, prawda? Mnie podobają się chrześcijańskie imiona. A właściwie jak pani ma na imię?

– Nina.

– Biedactwo.

– Dlaczego, biedactwo?

– Następna która nie nosi imienia ani Adèle, ani Léopoldine. Nie uważa pani, że świat jest niesprawiedliwy?

– Kiedy wreszcie przestanie pan pleść te bzdury?

– Bzdury? Ależ nie ma rzeczy nad to ważniejszej. Mieć na imię inaczej niż Adèle lub Léopoldine to kardynalna niesprawiedliwość, pierwotna tragedia, zwłaszcza dla pani, noszącej tak pogańskie imię...

– Chwileczkę: Nina jest imieniem chrześcijańskim. Dniem świętej Niny jest czternasty stycznia, data pańskiego pierwszego wywiadu.

– Zastanawiam się, co jeszcze będzie mi pani próbowała udowodnić na podstawie tego nieistotnego zbiegu okoliczności.

– Nie tak znów nieistotnego. Czternastego stycznia wróciłam z wakacji i tego właśnie dnia dowiedziałam się o pańskiej bliskiej śmierci.

– I co z tego? Wyobraża sobie pani, że stwarza to między nami jakieś afiliacje?

– Niczego sobie nie wyobrażam, to pan przed chwilą wygadywał różne dziwne rzeczy.

– Niestety, przeceniłem panią. Bardzo mnie pani rozczarowała. A już pani imię to zupełna katastrofa. Teraz jest pani w moich oczach kompletnym zerem.

– Cieszy mnie to, bo tym sposobem ocaliłam życie.

– Ocaliła pani nieżycie. I co pani z nim zrobi?

– O, mnóstwo rzeczy; na przykład skończę ten wywiad.

– Też mi coś. Tymczasem ja, w swojej dobroci, mogłem pani zagwarantować taką piękną apoteozę!

– A skoro już o tym mowa, w jaki sposób zamierzał mnie pan zabić? Zamordować zakochaną dziewczynkę, kiedy jest się samemu zwinnym siedemnastolatkiem – to łatwe. Ale w przypadku kalekiego starca zamordowanie młodej, wrogo nastawionej kobiety zakrawałoby na prawdziwy wyczyn.

– W swojej naiwności sądziłem, że nie jest pani do mnie wrogo nastawiona. To, że jestem stary, gruby i bezsilny nie stanowiłoby żadnej przeszkody, gdyby pokochała mnie pani tak jak Léopoldine, gdyby była mi pani tak, jak ona, powolna...

– Panie Tach, bardzo bym chciała usłyszeć od pana prawdę: czy Léopoldine była rzeczywiście i w pełni świadomie tak powolna panu?

– Gdyby pani mogła widzieć uległość, z jaką na to przystała, nie zadałaby mi pani takiego pytania.

– Tyle że trzeba jeszcze wiedzieć, skąd brała się jej uległość: czy pan ją narkotyzował, wzruszał, indoktrynował, bił?

– Nie, nie i jeszcze raz nie. Kochałem ją, tak jak zresztą nadal ją kocham. Więcej niż bardzo. To była miłość, jakiej ani pani, ani nikt inny nigdy nie doświadczy. Gdyby pani kiedykolwiek zaznała podobnej miłości, nie zadawałaby mi pani takich głupich pytań.

– Panie Tach, a czy potrafi pan sobie wyobrazić inną wersję tej historii? Kochaliście się, w to nie wątpię. Ale nie znaczyło to wcale, że Léopoldine chciała umrzeć. Mogła się przecież na to zgodzić z miłości do pana, a nie dlatego, że pragnęła umrzeć.

– To na jedno wychodzi.

– To wcale na jedno nie wychodzi. Mogła kochać pana tak bardzo, że nie chciała się panu sprzeciwiać.

– Mnie się sprzeciwiać! Niesamowity jest ten język rodem z małżeńskiej sprzeczki, którego używa pani w odniesieniu do chwili tak metafizycznej.

– Metafizycznej dla pana, lecz być może nie dla niej. Moment, który dla pana oznaczał ekstazę, dla niej mógł oznaczać pogodzenie się z losem.

– Chyba to ja jestem osobą, której o tym sądzić, prawda?

– Na co odpowiem, że to wcale nie takie pewne.

– Do diabła! Kto tu jest pisarzem, pani czy ja?

– Pan, i właśnie dlatego nie bardzo panu wierzę.

– A gdybym opowiedział o tym własnymi słowami, to by mi pani uwierzyła?

– Nie wiem. Proszę spróbować.

– Niestety, nie jest to łatwe. Opisałem tę chwilę dlatego, że nie sposób było o niej opowiedzieć. Pisarstwo zaczyna się tam, gdzie kończy się słowo – to wielka tajemnica, owo przejście od niewypowiedzianego do wypowiedzi. Słowo pisane i słowo mówione biegną własnym, nieprzecinającym się nigdy torem.

– Zachwycające spostrzeżenia, panie Tach, przypominam panu jednak, że rozmawiamy o morderstwie, a nie o literaturze.

– A co to za różnica?

– Jest różnica – przypuszczam, że taka sama, jak między sądem przysięgłych a Akademią Francuską.

– Między sądem przysięgłych a Akademią Francuską nie ma żadnej różnicy.

– To ciekawe, ale odbiega pan od tematu, drogi panie.

– To prawda. Ale opowiedzieć o tym?! Czy zdaje sobie pani sprawę, że nigdy w życiu o tym nie mówiłem?

– Zawsze jest ten pierwszy raz.

– Był trzynasty sierpnia 1925 roku.

– Proszę, już mamy znakomity początek.

– Dzień urodzin Léopoldine.

- Co za uroczy zbieg okoliczności.
- Czy może pani zamilknąć? Nie widzi pani, jaka to dla mnie tortura, że brak mi słów?
- Widzę, i bardzo się cieszę. Myśl, że w sześćdziesiąt sześć lat po zbrodni nareszcie zaczyna pana dręczyć sumienie, sprawia mi ulgę.
- Jest pani podła i mściwa jak wszystkie samice. Nie pomyliła się pani, mówiąc, że w *Higienie mordercy* występują tylko dwie postaci kobiece: moja babka i ciotka. Léopoldine nie była postacią kobiecą, była – i jest dla mnie nadal – dzieckiem, istotą cudowną, ponadpłciową.
- Ale posiadającą płęć, o ile mogłam się zorientować z lektury pańskiej książki.
- Tylko my wiedzieliśmy, że dojrzałość płciowa wcale nie jest konieczna do uprawiania seksu, przeciwnie: dojrzałość płciowa wszystko psuje. Zubaża zmysłowość i zdolność do uniesień, do zatracenia się. Nikt nie potrafi kochać się tak, jak dzieci.
- Zatem kłamał pan, mówiąc, że jest prawiczkim.
- Nie. W języku potocznym mężczyzna może stracić cnotę dopiero po osiągnięciu dojrzałości płciowej. A ja już nigdy potem się nie kochałem.
- Widzę, że znów zaczyna pan swoje gierki słowne.
- Skądże, po prostu pani się na tym kompletnie nie zna. Prosiłbym jednak, by mi pani co chwila nie przerywała.
- Pan przerwał życie ludzkie; musi pan teraz ścierpieć, że ktoś przerywa pański słowotok.
- Ejże, ten mój słowotok jest pani bardzo na rękę. Czyni pani pracę o wiele łatwiejszą.
- Jest w tym trochę prawdy. Proszę, niech pan to wreszcie wyrzuci z siebie, i opowie mi o trzynastym sierpnia 1925 roku.
- Trzynasty sierpnia 1925 roku – najpiękniejszy dzień świata. Chciałbym wierzyć, że każdy człowiek miał w życiu taki swój trzynasty sierpnia 1925 roku, bowiem dzień ten, bardziej niż pewną datą, był świętem. Najpiękniejszy dzień najpiękniejszego lata, ciepły, wietrzny, lekkie powietrze pod ciężkimi koronami drzew. Léopoldine i ja rozpoczęliśmy go o pierwszej rano, po naszym rytualnym, półtoragodzinnym śnie. Mogłoby się zdawać,

że przy takim rozkładzie dnia byliśmy nieustannie wyczerpani – tymczasem nic podobnego. Tak nam było spieszno do naszego rajku, że nieraz w ogóle nie mogliśmy zasnąć. Dopiero od osiemnastego roku życia, po pożarze zamku, zacząłem sypiać po osiem godzin na dobę: istoty zbyt szczęśliwe lub zbyt nieszczęśliwe nie potrafią się zdobyć na tak długą nieobecność. Léopoldine i ja niczego nie lubiliśmy aż tak, jak tych chwil przebudzenia. Latem było jeszcze przyjemniej, bo spędzaliśmy noce poza domem, śpiąc w lesie, otuleni perłową adamaszkową narzutą, którą zwędziłem z zamku. To z nas, które budziło się pierwsze, wpatrywało się w to drugie, i to spojrzenie wystarczyło, by przywrócić je do rzeczywistości. Trzynastego sierpnia 1925 roku najpierw, około godziny pierwszej, obudziłem się ja, w chwilę później ona. Mieliśmy mnóstwo czasu, by zrobić to wszystko, do czego skłania tak piękna noc; to wszystko, co na adamaszku zatracającym coraz bardziej swój perłowy kolor, nabierającym coraz bardziej barwy zeschniętych liści, wynosiło nas do godności arcykapłanów – lubilem nazywać Léopoldine hierofantką, już wtedy byłem tak wykształcony, tak uduchowiony, ale odchodzę od tematu...

– Właśnie.

– Jak więc mówiłem, trzynasty sierpnia 1925 roku. Noc bezgranicznie spokojna i czarna, i niezwykle łagodna. Były to urodziny Léopoldine, ale dla nas nie miało to znaczenia: od trzech lat czas nas już nie dotyczył. Nie zmieniliśmy się nawet w jednym calu, i tylko w cudowny sposób wyciągnęliśmy się w górę, ale ta zabawna wybujałość w niczym nie naruszyła nieufirmowanej, bezwłosej, bezwonnej, dziecięcej struktury naszych ciał. Dlatego też nie złożyłem jej tego dnia życzeń urodzinowych. Uczyniłem natomiast coś lepszego; dałem pokaz lata samemu latu. Wtedy po raz ostatni w życiu się kochałem. Byłem tego nieświadomy, ale las już to wiedział, gdyż był milczący jak stary podglądacz. Dopiero kiedy nad wzgórzami wzeszło słońce, zerwał się wiatr, rozpędzając nocne chmury i odkrywając niebo, którego czystość dorównywała niemal naszej.

– Co za liryzm.

– Proszę mi nie przerywać. Zaraz, na czym to skończyłem?

– Trzynasty sierpnia 1925 roku, wschód słońca, *postcoitum*.

– Dziękuję, panno kancelistko.

– Nie ma za co, panie morderco.

– Wolę swój status niż status pani.

– Wolę swój status niż status Léopoldine.

– Gdyby ją pani mogła zobaczyć tego ranka! Była najpiękniejszą istotą na ziemi, wybujałe dziecko o bladej, gładkiej skórze, ciemnych oczach i ciemnych włosach. Latem, z wyjątkiem tych rzadkich momentów, gdy pojawialiśmy się na zamku, chodziliśmy nago – posiadłość była tak rozległa, że nigdy nikogo nie spotykaliśmy. Większość dnia spędzaliśmy w jeziorach, które traktowałem jak owodnę, co nie było aż tak bezsensowne, zważywszy efekty. Zresztą, czy ważna jest przyczyna? Liczył się jedynie ten codzienny cud – cud czasu zatrzymanego na zawsze, a przynajmniej nam się tak wydawało. Tego dnia, trzynastego sierpnia 1925 roku mieliśmy wszelkie powody, żeby w to wierzyć, wpatrując się w siebie z pełnym zachwytem oszołomieniem. Tego ranka, jak zawsze, bez wahania zanurkowałem w jezioro, śmiejąc się z Léopoldine, której wejście do lodowatej wody zawsze zajmowało wieki. To przekomarzanie się było również częścią rytuału, sprawiającego mi wiele przyjemności, bo moja kuzynka nigdy nie była tak śliczna jak wtedy, kiedy stojąc na brzegu zanurzała stopę w jeziorze, blada, śmiejąca się z zimna, zapewniała mnie, że się na to nie zdobędzie, a potem zanurzała powoli swoje długie, zgrabiałe z zimna kończyny, żeby dołączyć do mnie jakby w spowolnionym tempie, brodząc po wodzie drżąc, ze zsiniałymi ustami. Jej ogromne oczy pełne przerażenia – strach również dodawał jej urody – jęczała, że to straszne...

– Co za potworny sadysta z pana!

– A co pani może o tym wiedzieć. Gdyby pani miała jakiegokolwiek pojęcie o rozkoszy, wiedziałaby pani, że strach, ból, a szczególnie dreszcze to jeden z najmilszych wstępów. Kiedy zanurzyła się już cała, tak jak ja, zimno ustępowało miejsca płynności, tej tak cudownie łatwej słodyczy życia w wodzie. Tego ranka, jak każdego letniego poranka, siedzieliśmy w wodzie bez przerwy, czasami wspólnie nurkując z otwartymi oczami w głębinie jeziora, patrząc na nasze ciała, którym refleksy wody przydawały odcieni zieloności, czasami pływając na powierzchni, ścigając się, kto szybszy, niekiedy pluskając się, uczepleni gałęzi wierzb, rozmawiając tak, jak rozmawiają z sobą dzieci, ale z o wiele większą wiedzą o dzieciństwie, czasami całymi godzinami unosząc się na plecach, chłonąc wzrokiem niebo w doskonałej ciszy lodowatych wód.

A kiedy zimno przeniknęło nas już do szpiku kości, wdrapywaliśmy się na wielkie wystające z wody kamienie i kładliśmy się na słońcu, żeby wyschnąć. Trzynastego sierpnia wiatr był wyjątkowo przyjemny i bardzo szybko nas osuszył. Léopoldine pierwsza ponownie wskoczyła do wody i uczepiła się wysepki, na której wciąż jeszcze się wygrzewałem. Teraz z kolei ona zaczęła się ze mną przekomarzać. Widzę ją, tak jakby to było wczoraj, z łokciami na kamieniach, z brodą opartą na skrzyżowanych nadgarstkach, jej zuchwałe spojrzenie i długie włosy, unoszące się na wodzie w rytm falowania jej ledwie dostrzegalnych nóg, których bladość z tej odległości wzbudzała niemal lęk. Byliśmy tacy szczęśliwi, tacy nierealni, tacy zakochani, tacy piękni – ostatni raz.

– Tylko proszę, bez elegii. To pana wina, że to był ostatni raz.

– I co z tego? Czy przez to staje się to mniej smutne?

– Przez to staje się to jeszcze smutniejsze, ale ponieważ pan jest za to odpowiedzialny, nie ma pan teraz prawa się litować się nad sobą.

– Prawa? Mam w nosie prawo i niezależnie od tego, jaką ponoszę odpowiedzialność, i tak się nad sobą lituję. Zresztą moja odpowiedzialność jest prawie żadna.

– Co też pan powie? To wiatr ją udusił?

– Nie, ja, ale to nie moja wina.

– Chce pan powiedzieć, że udusił ją pan przez nieuwagę?

– Nie, idiotko, ja chcę tylko powiedzieć, że była to wina natury, życia, hormonów i całego tego świństwa. Niech mi pani pozwoli opowiedzieć tę historię; niech mi pani pozwoli na elegijność. Mówiłem o bieli nóg Léopoldine, o tej bieli tak tajemniczej, zwłaszcza gdy prześwitywała przez zielonkawą toń wody. By utrzymać się w pozycji horyzontalnej, moja kuzynka lekko poruszała swoimi długimi nogami; widziałem, jak raz jedna, raz druga ukazują się pod powierzchnią – stopa nie zdążyła się jeszcze pojawić, a już noga opadała w dół zapadając w nicość, ustępując miejsca bieli drugiej nogi, i tak wciąż, i wciąż od nowa. Owego trzynastego sierpnia 1925 roku, wyciągnięty na kamienistej wysepce, obserwowałem ten pełen wdzięku widok bez cienia znużenia. Nie wiem, ile czasu trwała ta chwila. Przerwał ją pewien odbiegający od normy szczegół, którego dosadność jeszcze dziś przyprawia mnie o szok: balet nóg Léopoldine wydobył z

głębin jeziora cienką smugę czerwonej cieczy, o jakiejś szczególnej konsystencji, gdyż nie łączyła się z czystą wodą.

– Krótko mówiąc, krwi.

– Jaka pani dosadna.

– Pańska kuzynka dostała po prostu swój pierwszy w życiu okres.

– Jest pani odrażająca.

– Nie ma w tym nic odrażającego, to rzecz normalna.

– No właśnie.

– To postawa zupełnie do pana niepodobna, panie Tach. Pan, taki zapiekły wróg hipokryzji, gorliwy obrońca dosadności języka nagle, niczym bohater Oscara Wilde'a obraża się, bo usłyszał, że ktoś nazwał kota kotem. Był pan nieprzytomnie zakochany, ale ta miłość nie wyłączyła Léopoldine z gatunku ludzkiego.

– A właśnie, że tak.

– Czyżbym śniła? Pan, sarkastyczny geniusz, pióro na miarę Céline'a, człowiek przeprowadzający cyniczne wiwisekcje, metafizyk szyderstwa – i pan wygaduje takie bzdury godne barokowego nastolatka?

– Milcz, bluźnierczynie. To nie żadne bzdury.

– Nie? Romanse młodych dziedziców, chłopiec zakochany w szlachetnie urodzonej kuzynce, romantyczne wyzwanie rzucone czasowi, przejrzyste jeziora w legendarnych kniejach – jeśli to nie są bzdury, to znaczy, że w ogóle nic nie jest bzdurą na tym ziemskim padole.

– Gdyby pozwoliła mi pani opowiedzieć ciąg dalszy, zrozumiałaby pani, że ta historia naprawdę nie jest bzdurna.

– To proszę mnie o tym przekonać. A nie będzie to łatwe, gdyż wszystko, co mi pan do tej pory opowiedział, wprawilo mnie w autentyczne osłupienie. Ten chłopak, który nie potrafi pogodzić się z myślą, że jego kuzynka dostała swój pierwszy okres, to przecież groteskowe. Na odległość trąci wegetariańskim liryzmem.

– Ciąg dalszy nie jest bynajmniej wegetariański, ale potrzebuję chwili ciszy, żeby go opowiedzieć.

– Niczego nie obiecuję; trudno tego spokojnie słuchać.

– To niech pani przynajmniej poczeka z reakcją, aż skończę. Cholera, na czym to stanąłem? Przez panią straciłem wątek.

– Krew w wodzie.

– Na Boga, tak. Proszę sobie wyobrazić mój szok: brutalne wtargnięcie tej gorącej czerwieni pośród wszystkie te siności – lodowata woda, zielonkawa czernń jeziora, biel ramion Léopoldine, jej wargi niebieskie jak siarczan rtęci, a przede wszystkim jej nogi, których ledwie dostrzegalne falowanie swą bezgraniczną powolnością przywodziło na myśl jakąś hiperpolarną pieszczotę. Nie, to niemożliwe, żeby między tymi nogami mogło znajdować się źródło tego odrażającego wysięku.

– Odrażającego!

– Tak właśnie, odrażającego. Odrażającego przez to, czym był, a jeszcze bardziej przez to, co oznaczał – obrzydliwy rytuał, przejście od życia mitycznego do hormonalnego, przejście od życia wiecznego do życia cyklicznego. Trzeba być wegetarianinem, by zadowolić się cykliczną nieśmiertelnością. W moich oczach już w samych tych terminach tkwi sprzeczność. Léopoldine i ja pojmowaliśmy wieczność tylko w pierwszej osobie liczby mnogiej, mnogiej, bo odnoszącej się do nas obojga. Tymczasem wieczność cykliczna sugeruje, że jakież osoby trzecie przejmują pałeczkę życia innych ludzi – i trzeba zadowolić się tym wywłaszczeniem, i trzeba cieszyć się z tego aktu zaboru! Głęboko gardzę ludźmi, którzy przystają na tę żalosalną komedię; gardzę nimi nie dlatego, że po krowiemu godzą się z losem, ale dlatego, że ich miłość jest taka anemiczna. Gdyby byli zdolni do prawdziwej miłości, nie poddawaliby się z taką bezwolnością, nie godziliby się patrzeć, jak cierpią ci, których rzekomo kochają, i bez egoistycznego tchórzostwa braliby na siebie odpowiedzialność za zaoszczędzenie im równie podłego losu. Ta smuga/krwi w wodzie jeziora oznaczała kres nieśmiertelności Léopoldine. A ja, ponieważ całym sercem ją kochałem, postanowiłem, nie zwlekając, przywrócić jej tę nieśmiertelność.

– Zaczynam nareszcie rozumieć.

– Zajęło to pani trochę czasu.

– Zaczynam nareszcie rozumieć, do jakiego stopnia jest pan niepoczytalny.

– A co pani powie o dalszym ciągu?

– Z panem zawsze można się spodziewać najgorszego.

– Ze mną czy beze mnie, najgorsze niezawodnie przyjdzie, a ja przynajmniej jednej osobie tego najgorszego oszczędziłem. Léopoldine zauważyła, że moje spojrzenie zatrzymało się na czymś poza nią i odwróciła się. Przerażona, szybko wyskoczyła z wody. Teraz nie było już żadnych wątpliwości, skąd pochodzi ta smuga krwi. Wdrapała się na kamienną wysepkę, gdzie siedziałem. Moja kuzynka zmieniła się na twarzy; rozumiałem ją. Przez trzy poprzedzające ten dzień lata nigdy nie wspominaliśmy o takiej ewentualności. Istniał między nami rodzaj milczącego porozumienia, co należy uczynić w podobnym wypadku – wypadku do tego stopnia niewyobrażalnym, że, by oszczędzić sobie wstrząsu, woleliśmy zawrzeć milczącą umowę.

– Tego się właśnie obawiałam. Léopoldine o nic pana nie prosiła, pan zaś zabił ją w imię „milczącej umowy”, którą zrodziły mroczne otchłanie pańskiej chorobliwej wyobraźni.

– W sensie dosłownym o nic mnie nie prosiła, lecz nie było to konieczne.

– No tak, jest dokładnie tak, jak przypuszczałam. Za chwilę zaczniesz mi pan zachwalać zalety przemilczenia.

– Pani pewnie wolałaby należycie sporządzoną umowę podpisaną w obecności notariusza, co?

~ Wolałabym wszystko oprócz pańskiego postępuku.

– Zresztą nieważne, co by pani wolała. Liczyło się tylko ocalenie Léopoldine.

– Liczyła się tylko pańska koncepcja ocalenia Léopoldine.

– Ona podzielała tę koncepcję. Dowodem tego, droga pani, jest to, że nie odezwaliśmy się nawet słowem. Ucałowałem jej oczy z wielką słodyczą i wtedy zrozumiała. Sprawiała wrażenie uspokojonej, uśmiechnęła się. Wszystko stało się bardzo szybko. W trzy minuty później nie żyła.

– Co?! Tak po prostu, bez żadnej zwłoki? To potworne.

– Pani pewnie wolałaby, żeby to trwało dwie godziny, jak w operze?

– Przecież nie zabija się ludzi w taki sposób.

– Co pani powie? Nie wiedziałem, że są jakieś zwyczaje w tej materii. A może istnieje jakiś poradnik dobrych manier dla zbrodniarzy? Kompendium stosownego zachowania się ofiar? Obiecuję, że następnym razem popełnię morderstwo z większą oglądą.

– Następnym razem? Chwała Bogu, nie będzie żadnego następnego razu. Póki co zebrało mi się przez pana na wymioty.

– Póki co? Pani mnie intryguje.

– Zatem utrzymuje pan, że ją kochał i udusił, nie powiedziawszy jej nawet po raz ostatni, że ją kocha?

– Ona wiedziała. Zresztą sam mój postępek był tego dowodem. Nie zabiłbym jej, gdybym jej tak nie kochał.

– Jaką pan może mieć pewność, że ona o tym wiedziała?

– Nigdy nie rozmawialiśmy o tych sprawach; nadawaliśmy na tych samych falach. Poza tym w ogóle byliśmy małomówni. Ale proszę mi pozwolić opowiedzieć, jak ją udusiłem. Nigdy nie miałem okazji o tym mówić, ale lubię o tym myśleć – ileż to razy w sekretnych zakamarkach mojej pamięci przeżywałem od nowa tę przepiękną scenę.

– Ale ma pan rozrywki!

– Zobaczy pani, że i pani się w tym rozsmakuje.

– Rozsmakuję w czym? W pańskich wspomnieniach czy w duszeniu?

– W miłości. Lecz błagam, niech mi pani pozwoli o tym opowiedzieć.

– Skoro pan nalega.

– Znajdowaliśmy się więc na tej skalistej wysepce pośrodku jeziora. Od momentu, gdy zapadł wyrok śmierci, nasz Eden, na dwie minuty odebrany nam po raz pierwszy w życiu, w ciągu następnych trzech został nam przywrócony. Byliśmy całkowicie świadomi, że zostało nam już tylko sto osiemdziesiąt rajskich sekund, trzeba więc było dobrze wykorzystać, co też zrobiliśmy. Och, wiem, o czym pani myśli; że piękne uduszenie jest wyłącznie zasługą dusiciela. Otóż nie. Osoba duszona jest o wiele mniej bierna, niż mogłoby się wydawać. Czy oglądała pani ten okropny film, nakręcony przez jakiegoś barbarzyńcę – chyba Japończyka – który kończy się uduszeniem, trwającym prawie trzydzieści dwie minuty?

– Tak. *Imperium zmysłów* Oshimy.

– Scena duszenia jest kompletnym niewypałem. Ja, który się w końcu na tym znam, mogę stwierdzić, że wygląda to zupełnie inaczej. Po pierwsze duszenie przez trzydzieści dwie minuty dowodzi złego smaku. Wszystkie dziedziny sztuki w pewien sposób negują, że zabójstwo to zdarzenie zręczne i szybkie. Hitchcock – on jeden – o tym wiedział. Jest jeszcze jedna rzecz, której nie rozumiał ten japoński jegomość: w duszeniu nie ma nic kojącego i bolesnego, przeciwnie, jest ożywcze i świeże.

– Świeże?! Co za zaskakujące określenie! Skoro tak, to czemu pan nie powie, że witaminizujące?

– W istocie, czemu nie? Człowiek, który uśmiercił ukochaną istotę, czuje w sobie przypływ witalności.

– Mówi pan to tak, jakby robił to regularnie.

– Wystarczy zrobić coś raz – lecz gruntownie – by później robić to już nieustannie do końca życia. Zęby to jednak osiągnąć, sprawą zasadniczej wagi jest estetyczna perfekcja sceny kluczowej. Albo ten japoński gość o tym nie wiedział, albo był partaczem, bo przedstawił duszenie w sposób nieestetyczny, wręcz śmieszny: ofiara sprawia takie wrażenie, jakby wykonywała pompki, a dusiciel – jakby przejechał po nim walec drogowy. Tymczasem uduszenie w moim wykonaniu było czymś wzniosłym, może mi pani wierzyć.

– Nie wątpię. Niemniej zastanawia mnie, dlaczego wybrał pan akurat uduszenie? Zważywszy miejsce, w którym się znajdowaliście, logiczniej byłoby ją utopić. Tak pan zresztą wytłumaczył rodzicom śmierć kuzynki, kiedy przyniósł im pan jej zwłoki – wyjaśnienie mało wiarygodne, jeśli weźmie się pod uwagę ślady na jej szyi. Więc dlaczego pan po prostu nie utopił tego dziecka?

– Znakomite pytanie. Ja także owego trzynastego sierpnia 1925 roku o tym pomyślałem. Podjąłem decyzję błyskawicznie. Powiedziałem sobie, że gdyby wszystkie Léopoldine miały być topione, zamieniłoby się to w pewien proceder i stając się tym samym czymś trochę wulgarnym. Nie mówiąc, że tak niewolniczy plagiat kalałby pamięć ojca Hugo.

– Zatem zrezygnował pan z utopienia, by uniknąć skojarzeń. Lecz wybór śmierci przez uduszenie skazywał pana na inne skojarzenia.

– To prawda, lecz tego akurat motywu nie wziąłem pod uwagę. Nie, tym, co przesądziło o uduszeniu mojej kuzynki, było przede wszystkim piękno jej szyi. Tak z tyłu jak z przodu jej szyja była przepiękna, długa i giętka, doskonała w swym rysunku. I jakże delikatna! Żeby udusić samego siebie, potrzebowałbym co najmniej dwóch par rąk. Ale przy szyi tak delikatnej jak jej uścisk był czymś zupełnie łatwym!

– To nie udusiłby jej pan, gdyby nie miała tak pięknej szyi?

– Nie wiem. Może i tak bym to zrobił, gdyż posiadam wielkie zdolności manualne. A ze wszystkich sposobów zadawania śmierci duszenie wymaga największej zręczności manualnej. Dusząc, dłonie doznają uczucia niewyobrażalnej pełni zmysłowej.

– Nie da się więc ukryć, że zrobił to pan dla własnej przyjemności. Więc czemu próbuje mi pan wmówić, że udusił Léopoldine, by ją ocalić?

– Moja droga, usprawiedliwia panią kompletna nieznajomość teologii. Utrzymuje pani jednak, że przeczytała wszystkie moje książki, zatem powinna to pani zrozumieć. Napisałem kiedyś piękną powieść, zatytułowaną *Łaska współistnienia*, mowa w niej o ekstazie, którą Bóg zsyła w trakcie ludzkich czynów, by przydać im wzniosłości. To nie ja wymyśliłem to pojęcie; często doznają jej prawdziwi mistycy. Kiedy dusiłem Léopoldine, moja własna przyjemność była taką łaską, towarzyszącą ocalaniu mojej ukochanej.

– Za chwilę powie mi pan, że *Higiena mordercy* to książka katolicka.

– Nie. Jest to książka pouczająca.

– Proszę mnie więc pouczyć do końca i opowiedzieć o scenie finałowej.

– Właśnie ku temu zmierzam. Wszystko dokonało się z prostotą arcydzieła. Léopoldine zwrócona twarzą do mnie usiadła mi na kolanach. Zechce pani zauważyć, panno kancelistko, że uczyniła to z własnej inicjatywy.

– Co o niczym nie świadczy.

– Myśli pani może, że była zdziwiona, kiedy oplotłem dłońmi jej szyję, zaciskając uchwyt? Ani trochę. Uśmiechaliśmy się, patrząc sobie w oczy. To nie było rozstanie, ponieważ umieraliśmy razem. Słowo „ja” oznaczało nas oboje.

– Jakie to romantyczne.

– Prawda? Nie ma pani pojęcia, jak piękna była Léopoldine, zwłaszcza w tamtej chwili. Nie powinno się dusić ludzi, którzy chowają szyję w ramiona, to nieestetyczne. Duszenie bardziej pasuje do szyi długich i pełnych gracji.

– Pańska kuzynka musiała zostać uduszona w sposób niezwykle elegancki.

– Zachwycająco elegancki. Zaciskając dłonie na jej szyi, czułem jak łagodnie pękają jej delikatne chrząstki.

– Kto zadał śmierć od chrząstki, od chrząstki zginie. Grubas spojrział na dziennikarkę z osłupieniem.

– Czy zdaje sobie pani sprawę z tego, co przed chwilą pani powiedziała?

– Powiedziałam to celowo.

– To nadzwyczajne! Pani jest jasnowidzem. Jak to możliwe, że sam dotąd na to nie wpadłem? Wiadomo już, że syndrom Elzenveiverplatza to rak morderców, ale wciąż brakowało wytłumaczenia, dlaczego właśnie ja nań zapadłem i oto je mamy! Dziesiątka tych przestępców z Kajenny prawdopodobnie dobrała się do chrząstek swoich ofiar. Pan Nasz wyraźnie powiedział: kto mieczem wojuje, ten od miecza zginie. Dzięki pani nareszcie wiem, dlaczego mam raka tkanki chrzestnej. Czyż nie mówiłem, że teologia to nauka nad nauki!

Pisarz zdawał się przeżywać ekstazę intelektualną naukowca, który po dwudziestu latach poszukiwań nareszcie odkrywa spójność swojej teorii. Sprawiał wrażenie, iż ogarnia wzrokiem istotę jakiegoś niewidzialnego absolutu; na jego tłustym czole, niczym krople śluzu, perlili się pot.

– Nadal czekam na zakończenie tej historii, panie Tach. Szczupła młoda kobieta z niesmakiem obserwowała rozjaśnioną natchnieniem twarz otyłego starca.

– Zakończenie tej historii? Ależ ta historia wcale się nie kończy, ona się dopiero zaczyna! Pani sprawiła, że to zrozumiałem. Chrząstki, spojenia par excellence! Spojenia w znaczeniu anatomicznym, ale jeszcze bardziej w znaczeniu spoiwa tej historii!

– Czy pan przypadkiem nie bredzi?

– Bredzę, owszem, bredzę, a to z powodu tej nareszcie odkrytej koherencji. Dzięki pani będę mógł napisać ciąg dalszy tej książki, może nawet ją skończyć. Pod *Higieną mordercy* umieszczę podtytuł *Historia chrząstek*. Nie uważa pani, że to

najpiękniejszy testament świata? Ale muszę się spieszyć, tak niewiele już czasu zostało mi na pisanie. Boże mój, co za pośpiech! Co za ultimatum!

– Niech pan pisze, co tylko zechce, ale zanim pan napisze ciąg dalszy, musi mi pan opowiedzieć, jak zakończył się dzień trzynastego sierpnia 1925 roku.

– To nie będzie ciąg dalszy, to będzie *flash-back!* Proszę mnie zrozumieć: chrząstki są tym moim brakującym ogniwem; to przegubowe połączenia spełniające dwojaką funkcję, umożliwiające przemieszczanie się od tyłu do przodu, ale także od przodu w tył, umożliwiające dostęp do czasu totalnego, do wieczności! Pyta mnie pani, jak zakończył się ów dzień trzynastego sierpnia 1925 roku. Ależ on się nigdy nie zakończył, gdyż ten właśnie dzień zapoczątkował wieczność. Jest pani przekonana, że mamy dziś osiemnastego stycznia 1991 roku; wydaje się pani, że jest zima, a w Zatoce Perskiej trwa wojna. Błąd! Kalendarz zatrzymał się sześćdziesiąt sześć lat temu. Mamy pełnię lata, a ja jestem pięknym dzieckiem.

– Jakoś tego po panu nie widać.

– Dlatego, że patrzy pani na mnie nie dość intensywnie. Niech pani spojrzy na moje ręce, jakie są piękne i delikatne.

– To prawda. Przyznaję, że choć jest pan otyły i nieforemny, zachował pan dłonie pełne wdzięku, dłonie pazia.

– Prawda? To naturalne; moje ręce odegrały w tej historii niepomierne ważną rolę. Od trzynastego sierpnia 1925 roku moje dłonie nigdy nie przestały dusić. Czy nie widzi pani, że nawet teraz, kiedy z panią rozmawiam, ja duszę Léopoldine?

– Nie.

– Ależ tak. Proszę spojrzeć na moje ręce. Na kciuki, zaciskające uścisk na tej łabędziej szyi, na palce, masujące te chrząstki, zagłębiające się w tę miękką tkanę – tę miękką tkanę, która stanie się tekstem.

– Panie Tach, przyłapałam pana na gorącym uczynku metafory.

– To nie metafora. Czymże innym jest tekst, jeśli nie jedną gigantyczną werbalną chrząstką?

– Czy się to panu podoba, czy nie – to metafora.

– Zrozumiałaby to pani, gdyby mogła objąć całokształt tej sprawy, tak jak ja go teraz widzę. Metafora to wynalazek, umożliwiający ludziom zaprowadzenie pewnej spójności pomiędzy poszczególnymi fragmentami ich wizji. Ale kiedy ta fragmentaryzacja znika, metafora traci wszelki sens. Żalсна, ślepa istoto! Być może któregoś dnia zdoła pani ogarnąć tę całość i wtedy przejrzy pani na oczy, tak jak ja przejrzałem po sześćdziesięciu pięciu latach ślepoty.

– Nie przydałby się panu jakiś środek uspokajający, panie Tach? Wygląda mi pan na niebezpiecznie podekscytowanego.

– Nie bez powodu. Już zapomniałem, że można być do tego stopnia szczęśliwym.

– Co wprawia pana w takie uszczęśliwienie?

– Już mówiłem: właśnie duszę Léopoldine.

– I to pana tak uszczęśliwia?

– Jeszcze jak! Moja kuzynka bliska jest siódmego nieba. Odgięła głowę do tyłu, rozchyliła swe przepiękne usta, jej olbrzymie oczy chłoną nieskończoność, na jej twarzy maluje się uśmiech i nagle jest już po wszystkim, nie żyje, rozluźniam uścisk, wypuszczam z rąk jej ciało, które osuwa się do jeziora, przez chwilę z oczyma w ekstazie wpatrzonymi w niebo, unosi się na plecach – po czym zanurza się w wodzie i znika.

– Wyławia ją pan?

– Nie od razu. Najpierw zastanawiam się nad tym, co zrobiłem.

– I jest pan z siebie zadowolony?

– Tak. Wybucham śmiechem.

– Śmieje się pan?

– Tak. Myślę o tym, że mordercy zwykle wykrwawiają innych, gdy tymczasem ja, nie utoczywszy ze swojej ofiary nawet kropli krwi, zabiłem ją po to, żeby zatamować jej własny krwotok, by przywrócić ją jej pierwotnej i bezkrwawej nieśmiertelności. Ten to właśnie paradoks wzbudził moją wesołość.

– Pańska wesołość była wybitnie nie na miejscu.

– Potem spoglądam na jezioro, którego powierzchnię całkowicie wygładził wiatr, tak że nie pozostał nawet ślad po zatonięciu Léopoldine. I myślę, że jest to godny mojej kuzynki całun. Nagle przychodzi mi na myśl utonięcie Villequiera i mówię sobie: „Uwaga,

Prétextacie, nic z tych rzeczy, żadnych plagiatów”. Więc nurkuję do wody, schodzę w jej zielonkawym tonie, gdzie czeka na mnie moja kuzynka, jeszcze tak blisko mnie, ale już zagadkowa niczym zatopione ruiny. Jej długie włosy falują miękko powyżej jej twarzy, a ona sama posyła mi tajemniczy uśmiech Atlanty.

Długa chwila milczenia.

– A później?

– Och, później... Wydobywam ją na powierzchnię i chwytam w ramiona jej ciało, lekkie i giętkie niczym alga, i zanoszę je do zamku, gdzie pojawienie się dwojga tak czarująco nagich istot wywiera ogromne wrażenie. Wszyscy szybko spostrzegli, że Léopoldine jest o wiele bardziej naga ode mnie. Bo czy jest coś bardziej nagiego od trupa? No i zaczynają się różne śmieszne demonstracje uczuć, krzyki, płacze, lamenty, przeklinanie losu i mojej nieodpowiedzialności, rozpacz – kiczowata scena godna trzeciorzędnego pismaka; kiedy ja przestaję o wszystkim decydować, całość staje się w najwyższym stopniu niesmaczna.

– Mógł pan przecież zrozumieć rozpacz tych ludzi, zwłaszcza rodziców ofiary.

– Rozpacz, rozpacz... Uważam to za okropnie przesadzone. Dla nich Léopoldine była tylko pewnym wdzięcznym i dekoracyjnym pojęciem. Prawie nigdy jej nie widywali. Od trzech lat naszym stałym niemal miejscem zamieszkania był las, i nikogo to nie niepokoiło. Widzi pani, ci zamkowi dziedzice żyli w świecie bardzo konwencjonalnych zasad; w tym przypadku uznali, że tematem sceny jest „zwrócenie rodzicom ciała ich utopionego dziecka”. Może pani sobie wyobrazić te naiwne skojarzenia z Szekspirem i Hugo, jakie nasunęły się tym zacnym ludziom. Oni opłakiwali nie Léopoldine de Planèze de Saint-Sulpice, lecz Léopoldine Hugo, lecz Ofelię, lecz wszystkie utopione niewinności świata. Dla nich arcykapłanka była abstrakcyjnym trupem, właściwie można by powiedzieć, że stanowiła zjawisko czysto kulturowe i tym swoim zawodzeniem dawali wyłącznie dowód swej powierzchownej wrażliwości. Nie, jedyną osobą, która знаła prawdziwą Léopoldine, jedyną, która miała konkretne powody, by opłakiwać jej śmierć, byłem ja.

– Ale pan nie płakał.

– Opłakiwanie ofiary przez jej zabójcę dowodziłoby braku konsekwentnego myślenia. Poza tym tylko ja wiedziałem, że moja kuzynka jest szczęśliwa, że jest szczęś-

liwa już na zawsze. Dlatego pośród tych beładnych szlochów zachowywałem spokój i uśmiech.

– Co, jak przypuszczam, zostało potem poczytane panu za złe.

– Słusznie pani przypuszcza.

– Niestety, jestem zmuszona poprzestać na przypuszczeniach, bowiem książka pańska nie wykracza daleko poza nie.

– W rzeczy samej. Jak pani zapewne zauważyła *Higiena mordercy* jest dziełem w dużym stopniu związanym z wodą. Zakończenie jej pożarem zamku naruszyłoby tę tak doskonale wodną całość. Drażnią mnie ci wszyscy artyści, którzy nigdy nie omieszkają skojarzyć ognia z wodą: ten banalny dualizm zakrawa wręcz na patologię.

– Niech mnie pan nie próbuje wyprowadzić w pole, bo to wcale nie te metafizyczne dywagacje skłoniły pana do zarzucenia dalszej narracji. Sam pan przed chwilą powiedział, że pańskie pióro zablokowała jakaś tajemnicza przyczyna. Streszczam ostatnie strony: zostawia pan zwłoki Léopoldine w ramionach tonących we łzach rodziców, udzieliwszy im wyjaśnień tak ogólnikowych, że zakrawających wręcz na cynizm. Ostatnie zdanie powieści brzmi tak: „I poszedłem na górę do swojego pokoju”.

– Całkiem niezłe, jak na zakończenie.

– Zgoda, lecz wyobraźmy sobie, że czytelnik czuje niedosyt.

– Całkiem niezłe, jako sposób odreagowania.

– W przypadku lektury metaforycznej tak. Ale nie w przypadku tej drapieżnej lektury, którą pan zaleca.

– Droga pani, ma pani rację i zarazem jej nie ma. Ma, bo do zaniechania tej książki rzeczywiście zmusiła mnie pewna tajemnicza przyczyna. A nie ma, bo jako rasowa dziennikarka chciałaby pani, bym kontynuował narrację w sposób linearny. To było straszne, proszę mi wierzyć, bo to, co nastąpiło po trzynastym sierpnia, było, i jest do dziś, plugawym i groteskowym upadkiem. Od dnia czternastego sierpnia wychudzony niejadek stał się odrażającym żarłokiem. Czy to ta pustka, jaką pozostawiła po sobie śmierć Léopoldine? Odczuwałem nieprzeparty apetyt na jedzenie najróżniejszych paskudztw, co mi do dziś zostało. W ciągu sześciu miesięcy trzykrotnie przybrałem na wadze, stałem się mężczyzną, zamieniłem się w potwora, straciłem wszystkie włosy,

straciłem wszystko. Wspominałem już pani o konwencjonalnych zasadach mojej rodziny; zgodnie z tymi zasadami po śmierci ukochanej istoty najbliżsi powinni pościć i chudnąć. Tak więc wszyscy mieszkańcy zamku pościli i chudli, tylko ja, jeden skandaliczny w swoim rodzaju okaz, żarłem i tyłem w oczach. Nie bez pewnego rozbawienia przypominam sobie nasze, tak kontrastujące z sobą posiłki: moi dziadkowie, wuj i ciotka ledwo tknęli swoich talerzy i z konsternacją patrzyli, jak pochłaniam kolejne dania, opychając się jak wieprz. Ta bulimia plus podejrzanе krwawe wybroczyzny, jakie zauważyli na szyi Léopoldine, spowodowały, że nasunęły im się różne wnioski. Przestali się do mnie odzywać; wyczuwałem, że wokół mnie narasta aura nienawistnych podejrzeń.

– W pełni uzasadnionych.

– Niechże mnie pani zrozumie, że w tej sytuacji zapragnąłem uwolnić się od tej coraz bardziej nieznośnej atmosfery, że odrazą napawała mnie myśl o demystyfikacji mojej cudownej powieści tak żalosnym epilogiem. Nie miała więc pani racji, oczekując należytego zakończenia, a z drugiej strony miała ją, gdyż tej historii potrzebne było prawdziwe zakończenie – lecz aż do dziś go nie znałem, bo dopiero pani mi go dostarczyła.

– Ja panu dostarczyłam zakończenie?

– Tak, właśnie przed chwilą.

– Jeśli chciał mi pan popsuć humor, to się panu udało, niemniej chciałabym, żeby mi pan to wyjaśnił.

– Swoją uwagę o chrząstkach podsunęła mi pani w najwyższym stopniu interesujący pomysł na zakończenie.

– Mam nadzieję, że nie zamierza pan popsuć tej pięknej powieści bełkotem o chrząstkach, którym mnie pan przed chwilą uraczył.

– Dlaczego nie? To cholernie oryginalny pomysł.

– Nie wybaczyłabym sobie nigdy, że podpowiedziałam panu tak fatalne zakończenie. Lepiej, żeby pańska powieść pozostała nieukończona.

– O tym to już ja zadecyduję. Ale dostarczyła mi pani czegoś ponadto.

– Czego?

– Tego mam nadzieję dowiedzieć się od pani, drogie dziecko. Przejdźmy do rozwiązania całej sprawy, dobrze? Oczekaliśmy już przepisową chwilę.

– Jakiego rozwiązania?

– Niech pani nie udaje naiwnej. Czy powie mi pani wreszcie, kim pani jest? Jaka tajemnicza więź nas łączy?

– Żadna.

– Nie jest pani przypadkiem ostatnią z rodu Planèze de Saint-Sulpice?

– Doskonale pan wie, że ród ten wygasł bezpotomnie – skądinąd miał pan w tym pewien udział, prawda?

– Daleką krewną Tachów?

– Dobrze pan wie, że jest ostatnim potomkiem tej rodziny.

– Wnuczką guwenera?

– Ależ skąd! Co za pomysł?

– Kim był więc pani przodek? Administratorem, czy majordomusem? Ogrodnikiem? Pokojówką? Kucharką?

– Niechże pan przestanie bredzić, panie Tach; nic, absolutnie nic nie łączy mnie z pańską rodziną, pańskim zamkiem, pańską wioską ani pańską przeszłością.

– To niemożliwe.

– Dlaczego?

– Nie zadawałaby pani sobie tyle trudu z całym tym węszeniem wokół mojej osoby, gdyby nie łączyły nas jakieś ukryte więzy.

– Przyłapałam pana na skrzywieniu zawodowym, drogi panie. Jako pisarz obsesjonat nie może pan pogodzić się z myślą, że między pańskimi bohaterami mogłyby nie istnieć żadne zagadkowe powiązania. Wszyscy prawdziwi powieściopisarze są genealogami – sami o tym nie wiedząc. Z przykrością muszę pana rozczarować: jestem dla pana osobą całkowicie obcą.

– Z pewnością pani się myli. Niewykluczone, że jest pani nieświadoma łączącej nas więzi – rodzinnej, historycznej, geograficznej, może genetycznej. Ale więź taka ponad

wszelką wątpliwość istnieje. Zaraz, zaraz... czy przypadkiem któryś z pani przodków nie utonął? Może pośród pani dalszych krewnych znane są jakieś przypadki uduszenia?

– Niechże pan przestanie majaczyć, panie Tach. Na próżno doszukuje się pan jakichś zbieżności między nami – tak jakby te zbieżności miały w ogóle jakiegokolwiek znaczenie. Znacząca natomiast wydaje mi się pańska potrzeba stworzenia takiej analogii.

– Znacząca, z jakiego powodu?

– Oto jest pytanie, i z nim zwracam się do pana.

– Rozumiem, znów na mnie spada cała robota. W gruncie rzeczy teoretycy powieści Nowej Fali byli niezłymi kawalarzami: prawda jest taka, że w twórczości nic się nie zmieniło. W świecie pozbawionym formy i sensu pisarz zmuszony jest do odgrywania roli demiurga. Bez cudownej siły sprawczej jego pióra, świat nigdy nie byłby w stanie nadać kształtu rzeczom, historie ludzkie zaś pozostawałyby zawsze otwarte, tak jak te okropne hiszpańskie gospody. I teraz pani, zgodnie z tą wielowiekową tradycją, błaga mnie, żebym odgrywał rolę suflera, żebym komponował pani własny tekst, żebym akcentował pani własne kwestie.

– Dalej, niechże pan zabawi się w suflera.

– Głównie tym się zajmuję, moje dziecko. Czy nie widzi pani, że również ja panią o coś błagam? O to, żeby mi pani pomogła nadać sens tej historii; żeby nie okazywała złej woli, mówiąc, że sens nie jest nam potrzebny, ponieważ jest on potrzebny bardziej niż wszystko inne. Czy nie zdaje pani sobie sprawy, że od sześćdziesięciu sześciu lat czekam na spotkanie z kimś takim jak pani – proszę więc nie usiłować mnie teraz przekonać, że jest pani kimś pierwszym lepszym. Nie zaprzeczy pani chyba, że do podobnego spotkania mogło dojść tylko w wyniku najdziwniejszego z dziwnych splotu wydarzeń. Więc po raz ostatni, powtarzam ostatni, gdyż cierpliwość nie jest moją mocną stroną, zaklinam panią, by zdradziła mi pani, kim jest?

– Niestety, panie Tach.

– Co, Niestety? Tylko tyle ma mi pani do powiedzenia?

– Nie tylko, ale czy będzie pan w stanie wysłuchać tej odpowiedzi?

– Wolę nawet najgorszą odpowiedź od żadnej.

– Otóż to. Moją odpowiedzią jest brak odpowiedzi.

– Proszę wyrazić się jaśniej.

– Pyta pan, kim jestem. A przecież wie pan doskonale, kim jestem, bo sam pan to powiedział. Już pan zapomniał? Przed chwilą, pośród mnóstwa innych zniewag, utrafił pan w dziesiątkę.

– Dalej, jestem przygotowany na wszystko.

– Panie Tach, jestem obrzydliwą małą poszukiwaczką sensacji. Może mi pan wierzyć, lub nie, ale nic innego o mnie powiedzieć się nie da. Żałuję i zapewniam, że wolałabym udzielić panu innej odpowiedzi, ale chciał pan prawdy, a to jest jedyna prawda o mnie.

– Nigdy w to nie uwierzę.

– I tu popełnia pan błąd. O swoim życiu i pochodzeniu mogłabym opowiedzieć panu same tylko banały. Gdybym nie była dziennikarką, nigdy nie próbowałabym się z panem spotkać. Draży pan na próżno; wniosek będzie zawsze tylko jeden: jestem obrzydliwą małą poszukiwaczką sensacji.

– Nie wiem, czy jest pani w pełni świadoma, z jaką potwornością kojarzy się ta odpowiedź.

– Niestety, zdaję sobie z tego sprawę.

– Nie, nie zdaje sobie pani z tego sprawy, a jeśli, to nie do końca. Pozwoli więc pani, że opiszę tę potworność: proszę sobie wyobrazić umierającego starego człowieka, kompletnie samotnego i wyzbytego wszelkiej nadziei. Proszę sobie wyobrazić, że po sześćdziesięciu sześciu latach czekania pojawia się młoda osoba, i nagle przywraca temu starcowi nadzieję, wskrzeszając jego głęboko ukrytą przeszłość. Są dwie możliwości: albo osoba ta jest archaniołem, w jakiś tajemniczy sposób bliskim starcowi, i oznacza to apoteozę; albo jest kimś całkowicie obcym, kierującym się niezdrową ciekawością, i w takim przypadku powiem jedno – iż jest to niegodziwość: to profanacja grobowca, połączona z nadużyciem zaufania; to odebranie umierającemu człowiekowi jego najcenniejszego skarbu, poprzez zwodzenie go perspektywą jakiejś cudownej rekompensaty, a zamiast tego podsuniecie mu wielkiego gówna. Przybywając tu, zastała pani starca konającego pośród swoich pięknych wspomnień, pogodzonego z tym, że nie ma już dla niego teraźniejszości. Wychodząc, pozostawi pani starca umierającego pośród

rumowiska wspomnień i zrozpaczonego, że nie ma już dla niego terazniejszości. Gdyby miała pani choć trochę serca lub przyzwoitości, okłamałaby mnie pani, wymyśliła, że coś nas jednak łączy. Ale teraz jest już za późno, więc jeśli ma pani choć trochę serca lub przyzwoitości, niech mnie pani dobije, położy kres mojemu zmęczeniu, gdyż to cierpienie jest nie do zniesienia.

– Przesadza pan. Nie wydaje mi się, bym mogła pańskie wspomnienia zniszczyć aż do tego stopnia.

– Mojej powieści potrzebne było zakończenie. W wyniku swoich manipulacji zdołała mi pani wmówić, że mi to zakończenie przynosi. Była to już nie tylko nadzieja, powracałem do życia po nieskończeniu długiej hibernacji – a pani nagle bezwstydnie pokazuje mi puste ręce, przynosząc tylko jakieś zwodnicze ożywienie akcji. W moim wieku z trudem wytrzymuje się takie rzeczy. Gdyby nie pani, umarłbym, pozostawiając tę powieść nieukończoną. Przez panią, sama moja śmierć będzie niepełna.

– Skończmy już z tymi figurami stylistycznymi, dobrze?

– Ale kiedy właśnie o figury stylistyczne chodzi! To już pani zapomniała, że wyzuła mnie z mojej własnej substancji? Jedno pani powiem: to pani jest mordercą, nie ja!

– Słucham?!

– Dobrze pani usłyszała. To pani jest mordercą, i zabiła pani dwie osoby. Dopóki Léopoldine żyła w mojej pamięci, jej śmierć była abstrakcją. Ale wtargnąwszy tu w charakterze łowczyni sensacji, uśmierciła pani wspomnienie o niej, a uśmiercając to wspomnienie, zabiła pani również to, co zostało jeszcze ze mnie.

– Sofizmat.

– Gdyby miała pani jakiegokolwiek pojęcie o miłości, wiedziałaby pani, że to nie sofizmat. Ale niby skąd taka parszywa mała poszukiwaczka sensacji miałaby wiedzieć, czym jest miłość? Spośród wszystkich ludzi, jakich danym mi było spotkać, pani jest osobą, której miłość jest najbardziej obca.

– Jeśli miłość wygląda tak, jak pan mówi, to czuję ulgę, że jest mi obca.

– Jak widzę, niczego się pani ode mnie nie nauczyła.

– A niby czego mogłabym się od pana nauczyć oprócz duszenia ludzi?

– Chciałem pani uświadomić, że dusząc Léopoldine, oszczędziłem jej jedynej prawdziwej śmierci, jaką jest zapomnienie. Uważa mnie pani za mordercę, gdy tymczasem jestem jednym z tych bardzo nielicznych osobników, którzy nikogo nie zabili. Proszę rozejrzeć się wokół, proszę przyjrzeć się sobie: świat roi się od zbrodniarzy, to znaczy ludzi bez oporów zapominających o tych, których, jak utrzymują, niegdyś kochali. Zapomnieć o kimś: czy zastanawiała się pani nad tym, co to oznacza? Zapomnienie to bezkresny ocean, po którym pływa tylko jeden okręt – jest nim pamięć. Dla olbrzymiej większości ludzi okręt ten sprowadza się do jakiejś nędznej łajby, przy byle okazji nabierającej wody, której kapitan, osobnik bez skrupułów, myśli tylko o tym, na czym by tu zaoszczędzić. A wie pani, co oznacza to odrażające słowo? Oznacza codzienne spisywanie na straty tych członków załogi, których uznano za zbędnych. A wie pani, kogo uważa się za zbędnego? Łajdaków, nudziarzy, kretynów? Wcale nie: za burtę wypycha się niepotrzebnych – tych, których już wykorzystano. Oni dali już z siebie wszystko, co mieli najlepszego, więc jaki jeszcze z nich pożytek? Dalej więc, żadnej litości, robimy porządki, i hop! Wyrzuca się ich za burtę i ocean, niewzruszony, połyka ich ciała. Oto jak, droga pani, dokonują się całkowicie bezkarnie najbanalniejsze z morderstw. Nigdy nie zgadzałem się na takie jatki, i właśnie mnie, niewinnego, oskarża pani dzisiaj w imię tego, co istoty ludzkie określają mianem sprawiedliwości, a co jest po prostu rodzajem denuncjacji.

– Kto tu mówi o denuncjacji? Nie zamierzam pana denuncjować.

– Doprawdy? No to jest pani jeszcze gorsza, niż sądziłem. Na ogół poszukiwacze sensacji mają przynajmniej na tyle przyzwoitości, by wymyślić sobie jakiś pretekst. A pani szuka sensacji bezinteresownie, dla samej tylko przyjemności zanieczyszczenia powietrza. Wyjdzie pani stąd zacierając ręce i myśląc sobie, że nie był to dzień stracony, bo udało się pani skazić świat drugiego człowieka. Nie ma co, piękny wybrała sobie pani zawód.

– Jeśli dobrze rozumiem, wolałby pan, żebym go zaciągnęła przed sąd?

– Oczywiście. Czy pomyślała pani, czym będzie moja agonia, jeśli mnie pani nie wyda, jeśli po tym wszystkim, co mi pani zrobiła, zostanę w tym mieszkaniu sam, ograbiony za wspomnień i opuszczony? Jeśli natomiast postawi mnie pani przed sądem, będę miał rozrywkę.

– Przykro mi, panie Tach, sam się pan będzie musiał zadenuncjować; to nie moja specjalność.

– Pani jest ponadto, prawda? Należy pani do najgorszego gatunku: ludzi, którzy wolą skalać niż zniszczyć. Czy może mi pani powiedzieć, co działo się w pani głowie, kiedy postanowiła pani przyjść i poddać mnie tym torturom? Jaki to bezinteresownie niski instynkt panią kierował?

– To jedno wiedział pan od początku: nie pamięta pan już o naszym zakładzie? Chciałam ujrzeć pana czołgającego się u moich stóp. Po tym, co od pana usłyszałam, zależy mi na tym jeszcze bardziej. Zakład przegrany; do dzieła, niech pan się czołga.

– Faktycznie, przegrałem go, ale i tak wolę los swój niż pani.

– Tym lepiej dla pana. Dalej, niech się pan czołga.

– Czy to przez swoją babską próżność chce pani ujrzeć, jak się przed panią czołgam?

– Nie, to żądza zemsty. Na kolana.

– Więc nic pani nie zrozumiała.

– Moje kryteria zawsze będą się różnić od pańskich, poza tym wszystko świetnie rozumiałam. Uważam życie ludzkie za najważniejsze dobro i pańskie tyrady tego nie zmieniają. Gdyby nie pan, Léopoldine żyłaby z tym wszystkim, co życie niesie z sobą strasznego, ale również z całą jego urodą. Nie mam nic więcej do dodania. Na kolana.

– Zresztą nie mam do pani o to pretensji.

– Tego by jeszcze brakowało. Na kolana.

– Żyjemy na zupełnie innych orbitach. To normalne, że pani nie rozumie.

– Wzrusza mnie pańska wyrozumiałość. Na kolana.

– W gruncie rzeczy jestem od pani o wiele bardziej tolerancyjny; potrafię przyjąć, że kieruje się pani innymi kryteriami. Ale pani nie. Dla pani istnieje tylko jeden sposób postrzegania świata. Jest pani ograniczona duchem.

– Panie Tach, niech pan wreszcie zrozumie, że pańskie dywagacje egzystencjalne kompletnie mnie nie interesują. Rozkazuję panu czołgać się. Koniec, kropka.

– Niech będzie. Ale jak mam się czołgać? Zapomniała już pani, że jestem kaleką?

– A, prawda. Pomogę panu.

Dziennikarka wstała, schwyciła grubasa pod pachy i z wielkim wysiłkiem zepchnęła go na dywan twarzą do ziemi.

– Na pomoc! Ratunku!

Ale w tej pozycji piękny głos pisarza został zduszony i nikt, oprócz młodej kobiety, nie mógł go usłyszeć.

– Niech pan się czołga.

– Nie mogę leżeć na brzuchu. Lekarz mi zabronił.

– Niech się pan czołga.

– Cholera, w każdej chwili mogę się udusić.

– Tym sposobem dowie się pan, co znaczy uduszenie, które zaaplikował pan pewnej młodej dziewczynie. Niech się pan czołga.

– Chciałem ją ocalić.

– No to ja również pragnę pana ocalić i dlatego narażam go na ryzyko uduszenia. Jest pan odrażającym staruchem, któremu chcę oszczędzić dalszego upadku. Więc na jedno wychodzi. Niech pan się czołga.

– Ale ja już upadłem! Mój upadek trwa od lat sześćdziesięciu pięciu i pół.

– W takim razie chcę zobaczyć, jak upada pan jeszcze niżej. No dalej, niech pan upada.

– Nie może pani tak powiedzieć, to czasownik ułomny.

– Gdyby pan wiedział, jak głęboko mam to w nosie. Ale jeśli przeszkadza panu ten ułomny czasownik, znam inny, który takim nie jest: czołgać się.

– To straszne, duszę się, zaraz wyzionę ducha!

– Proszę, proszę. A ja myślałam, że uważa pan śmierć za dobrodziejstwo.

– Bo jest nim, ale nie chcę umrzeć tak od razu.

– Nie? A po cóż opóźniać to szczęśliwe wydarzenie?

– Bo właśnie zrozumiałem jedną rzecz i zanim umrę, chcę to pani powiedzieć.

– Zgoda. Odwrócę pana na plecy, ale pod jednym warunkiem: najpierw musi się pan przeczłgać u moich stóp.

– Przyrzekam, że spróbuję.

– Nie proszę, żeby pan spróbował, ja żądam, żeby pan to zrobił. Jeśli się panu nie uda, pozwolę panu zdechnąć.

– W porządku, czołgam się.

I wielka, spocona masa przeczołgała się po dywanie dwa metry, sapiąc jak lokomotywa.

– Sprawia to pani rozkosz, co?

– Tak, sprawia mi to rozkosz. A moja rozkosz jest o tyle większa, że mam świadomość, że biorę rewanż za kogoś. Mam wrażenie, że poprzez pana obrośnięte sadłem cielsko dostrzegam kruchą sylwetkę, której pańskie cierr pienie sprawia ulgę.

– Teatralne i śmieszne.

– Mało panu? Chce się pan jeszcze poczołgać?

– Zapewniam panią, że najwyższa pora odwrócić mnie na plecy. Za chwilę wyzionę ducha, jeśli w ogóle takowego posiadam.

– Pan mnie zadziwia. Umrzeć, żeby umrzeć – czy piękne zabójstwo nie jest lepsze od powolnego umierania na raka?

– I to pani nazywa pięknym zabójstwem?

– W oczach mordercy śmierć jest zawsze piękna. To ofiara mogłaby być innego zdania. Czy zastanawiał się pan bodaj przez chwilę nad walorem artystycznym własnej śmierci? Przyzna pan, że nie.

– Przyznaję, że nie. Litości, niech mnie pani odwróci. Dziennikarka schwyciła leżące cielsko za biodro i pod pachę, i sapnąwszy z wysiłku, przewróciła je na plecy. Grubas konwulsyjnie chwycił powietrze. Minęło trochę czasu, nim jego wykrzywiona przerażeniem twarz odzyskała nieco spokojniejszy wyraz.

– Cóż więc takiego odkrył pan przed chwilą i czym tak bardzo chciał się ze mną podzielić?

– Chciałem pani powiedzieć, że przeżyłem paskudne chwile.

– I co jeszcze?

– Nie wystarczy?

– Słucham? To wszystko, co ma mi pan do powiedzenia? Potrzebował pan aż osiemdziesięciu trzech lat, żeby dowiedzieć się tego, co każdy człowiek wie od urodzenia?

– Ja akurat nie wiedziałem. Musiałem dopiero znaleźć się o krok od śmierci, żeby zrozumieć, czym jest horror nie tyle śmierci, o której nadal nic nie wiemy, ile samego momentu umierania. To okropna chwila. Może inni ludzie noszą w sobie jej przeczucie, ale ja go nie miałem.

– Pan sobie ze mnie kpi.

– Wcale nie. Dla mnie aż do dziś śmierć to była śmierć, i koniec. Ani dobro, ani zło, po prostu zniknięcie. Nie zdawałem sobie sprawy, że istnieje różnica między tak pojmowaną śmiercią, a samym momentem umierania, który jest czymś potwornym. Tak, to bardzo dziwne: nadal nie boję się śmierci, ale obecnie pocę się ze strachu na myśl o samej chwili odejścia, choćby miała trwać tylko sekundę.

– Więc jest panu wstyd?

– Tak i nie.

– Cholera! Znów mam panu kazać się czołgać?

– Niech mi pani pozwoli to wyjaśnić. Kiedy pomyślę, że skazałem Léopoldine na podobne chwile, to przyznaję, jest mi wstyd. Z drugiej strony jednak z uporem wierzę, a przynajmniej mam taką nadzieję, że jej przypadek był wyjątkowy. Obserwowałem jej twarz w trakcie krótkiej agonii i nie dostrzegłem na niej cienia lęku.

– Podziwiam iluzje, jakimi się pan karmi, by zachować dobre samopoczucie.

– Gwizdź na samopoczucie. Moje pytanie sytuuje się na wyższym poziomie.

– Dobry Boże.

– To pani własne słowa: tak, być może to właśnie Bóg zezwala niektórym wyjątkowym istotom na odejście bez bólu i lęku, na zgon w ekstazie. Myślę, że takiego właśnie cudu doświadczyła Léopoldine.

– Proszę posłuchać, pańska historia już sama w sobie jest odrażająca; czy chce pan uczynić ją jeszcze bardziej groteskową, przez odwoływanie się do Boga, cudów i ekstazy? A może wyobraża pan sobie, że popełnił jakieś morderstwo mistyczne?

– Oczywiście.

– Jest pan niebezpiecznym szaleńcem. Czy chce pan wiedzieć, chory człowieku, jak wyglądały realia tego mistycznego morderstwa? Czy pan wie, co robi nieboszczyk bezpośrednio po zgonie? Szczą, proszę pana i sra tym, co mu zostało w kiszkach.

– Jest pani wstrętna. Proszę skończyć z tą komedią, pani mnie dręczy.

– Ja pana dręcę? Uśmiercanie ludzi panu nie przeszkadza, ale nie może pan znieść myśli, że pańskie ofiary szczają i srają, tak? Woda w tym pańskim jeziorze musiała być mocno zmacona, skoro wyławiając ciało kuzynki, nie zauważył pan treści jej jelit unoszących się pod powierzchnią.

– Litości, niech pani zamilknie!

– Litości nad kim? Nad zabójcą, którego nie stać nawet na to, by stawić czoło fizjologicznym skutkom własnej zbrodni?

– Przysięgam pani, przysięgam, że nie wyglądało to tak, jak pani mówi.

– Ach, nie? To Léopoldine nie posiadała pęcherza i jelit?

– Tak, ale... nie wyglądało to tak, jak pani opisuje.

– Niech pan raczej powie, że sama myśl o tym jest dla pana nie do przyjęcia.

– Rzeczywiście, myśl o tym jest dla mnie nie do przyjęcia, ale to tak nie wyglądało.

– Czy zamierza pan powtarzać to samo zdanie aż do śmierci? Lepiej niech mi pan wytłumaczy, skąd bierze się to pańskie przeświadczenie.

– Niestety, nie potrafię tego wytłumaczyć, wiem jednak, że wyglądało to inaczej, niż pani mówi.

– Wie pan, jak nazywa się tego rodzaju przeświadczenia? Nazywa się je autosugestią.

– Nie zdołam sprawić, żeby pani to zrozumiała, ale czy zgodzi się pani, że przedstawię tę kwestię pod innym kątem?

– Naprawdę wierzy pan, że istnieje jakiś inny kąt widzenia?

– Ta wiara jest jedną z moich słabości.

– A więc do rzeczy.

– Czy pani już kiedyś kochała?

– To już szczyt wszystkiego! Oto mamy rubrykę „Poczta serc”.

– Nie, proszę pani. Gdyby pani kiedykolwiek kochała, wiedziałaby pani, że jedno z drugim nie ma nic wspólnego. Biedna Nina, która nigdy nie kochała.

– Nie ze mną te numery, dobrze? A poza tym, proszę nie nazywać mnie Niną, bo mnie to mierzi.

– Dlaczego?

– Nie wiem. Słyszeć swoje imię wymawiane przez mordercę, a przy tym grubasa – jest w tym coś obrzydliwego.

– Szkoda. A jednak mam wielką ochotę nazywać panią Niną. Czego się pani obawia, Nino?

– Niczego się nie obawiam. Budzi pan we mnie odrazę, to wszystko. I proszę nie nazywać mnie Niną.

– Szkoda. Czuję wielką potrzebę zwracania się do pani po imieniu.

– A to dlaczego?

– Biedna mała – taka zaprawiona w bojach, taka dojrzała – a pod pewnymi względami jak nowo narodzone jagnię. To nie wie pani, co oznacza potrzeba zwracania się do kogoś po imieniu? Myśli pani może, że taką chęć budzi we mnie ogół śmiertelników? O, nie, moje dziecko. Jeśli człowiek odczuwa całym sobą potrzebę wymawiania czyjś imienia, znaczy to, że go kocha.

– Tak, Nino. Kocham panią, Nino.

– Niechże pan wreszcie przestanie wygadywać te idiotyzmy, panie Tach.

– Kiedy to prawda, Nino. Początkowo kierowałem się intuicją, potem wydało mi się, że się pomyliłem, ale to nie była pomyłka. To przede wszystkim chciałem pani wyznać, kiedy byłem już jedną nogą na tamtym świecie. Nie potrafiłbym już chyba dłużej żyć bez pani, Nino. Kocham panią.

– Niech pan otrzeźwieje, głupcze.

– Nigdy nie byłem bardziej trzeźwy.

– Trzeźwość do pana nie pasuje.

– To bez znaczenia. Ja sam już się nie liczę, teraz cały należę do pani.

– Dość tych bredni, panie Tach. Wiem, że mnie pan nie kocha. Nie ma we mnie nic, co mogłoby się panu spodobać.

– Ja też tak myślałem, Nino, ale ta miłość jest ponadto.

– Litości, tylko niech mi pan nie powie, że kocha mnie za moją duszę, bo popłaczę się ze śmiechu.

– Nie, ta miłość sięga jeszcze większych wyżyn.

– Nagle wydał mi się pan niezwykle eteryczny.

– Czy pani nie rozumie, że można kochać osobę nie przystającą do żadnych znanych człowiekowi punktów odniesienia?

– Nie.

– Trudno, Nino, jednak kocham panią z całą tajemnicą, jaka kryje się w tym słowie.

– Niechże pan przestanie! Ach, już rozumiem: szuka pan jakiegoś stosownego zakończenia swojej powieści, prawda?

– Gdyby pani wiedziała, jak ta powieść jest mi już obojętna!

– Nie wierzę. Brak zakończenia przyprawia pana o obsesję. Był pan rozczarowany dowiadując się, że nie istnieją między nami żadnego rodzaju pokrewieństwa, więc teraz próbuje pan za wszelką cenę wykreować jakąś więź osobistą, dlatego wymyślił pan w ostatniej chwili tę historię z miłością. Myśl o braku znaczenia jest dla pana do tego stopnia nie do przyjęcia, że pójdzie pan na największe nawet kłamstwa, by tylko nadać jakiś sens temu, co nigdy mieć go nie będzie.

– Jakże się mylisz, Nino! Miłość nie ma żadnego sensu i właśnie dlatego jest święta.

– Niech mnie pan nie próbuje wziąć na swoją retorykę. Nie kocha pan nikogo oprócz trupa Léopoldine. A poza tym, czy nie wstyd panu tak profanować jedyną miłość swojego życia wygadywaniem tych wszystkich niestworzonych rzeczy.

– Nie profanuję jej, wręcz przeciwnie. Kochając panią, udowadniam, że Léopoldine nauczyła mnie kochać.

– Sofizmat.

- Byłby to sofizmat, gdyby nie to, że miłość rządzi się innymi prawami niż logika.
- Proszę posłuchać, panie Tach, jeśli to pana bawi, proszę bardzo, niech pan wypisuje te głupoty w swojej powieści, ale mnie niech pan przestanie wykorzystywać jako królika doświadczalnego.
- To mnie nie bawi, Nino. Miłość nie jest dla zabawy. Miłość jest po to, żeby kochać.
- Egzaltowane.
- Kiedy tak właśnie jest. Gdyby tylko mogła pani pojąć znaczenie tego słowa, Nino, pani również poczułaby w sobie tę egzaltację, co ja teraz.
- Zechce mi pan oszczędzić swojej egzaltacji, dobrze? I niech mnie pan nie nazywa Niną, bo nie ręczę za siebie.
- Niech pani nie ręczy za siebie, Nino, i niech pani przynajmniej pozwoli się kochać, skoro nie jest pani w stanie odwzajemnić tej miłości.
- Pokochać pana? Tego tylko brakowało. Byłaby to czysta perwersja.
- Niech więc pani będzie perwersyjna, Nino; byłbym taki szczęśliwy.
- Myśl, że mogłabym pana uszczęśliwić, napawa mnie odrazą. Nie ma drugiego człowieka na świecie, który by na to mniej zasługiwał.
- Nie zgadzam się z panią.
- Jakże by inaczej.
- Jestem podły, szpetny, zły, mogę być najnikczemniejszym z ludzi, posiadam jednak pewną niezwykle rzadką zaletę, tak piękną, że wcale nie uważam się za niegodnego miłości.
- Pozwoli pan, że sama zgadnę: skromność?
- Moją zaletą jest to, że potrafię kochać.
- I z powodu tej właśnie niezwykłej zalety chciałby pan, żebym skąpała pańskie stopy we własnych łzach mówiąc: „Prétextacie, kocham pana”.
- Niech pani powtórzy jeszcze raz moje imię, to takie przyjemne.
- Niech pan zamilknie, bo robi mi się niedobrze.

– Jest pani cudowna, Nino. Posiada pani niezwykle charakter; ognisty temperament idący w parze z twardością lodu. Jest pani dumna i zuchwała. Ma pani w sobie wszystko, by być cudowną kochanką, gdyby tylko potrafiła pani kochać.

– Uprzedzam, że jeśli mnie pan bierze za drugie wcielenie Léopoldine, to jest pan w błędzie. Nie mam nic wspólnego z tym ekstatycznym dziewczęciem.

– Wiem. Czy przeżyła już pani kiedyś ekstazę, Nino?

– Uważam to pytanie za niestosowne.

– Bo takie jest. W tej historii wszystko jest niestosowne, poczynając od miłości, jaką pani we mnie wzbudziła. I dlatego, skoro już do tego doszliśmy, Nino, niech pani nie wzbrania się odpowiedzieć na moje pytanie, bardziej niewinne, niż się pani wydaje: czy przeżyła już pani kiedyś ekstazę, Nino?

– Nie wiem. To pewne, że nie przeżywam jej teraz.

– Nie zna pani miłości, nie zna pani ekstazy: nic pani nie zna. Moja mała Nino, dlaczego pani tak obstaje przy życiu, skoro pani go nawet nie zna?

– Po co mi pan to wszystko opowiada? Żeby z całą uległością pozwoliła się zabić?

– Nie zabiję pani, Nino. Jeszcze niedawno chciałem to zrobić, ale od momentu, kiedy rzuciła mnie pani na kolana, już nie chcę.

– Można skonać ze śmiechu. Wyobrażał pan sobie, że pan, taki stary i bezsilny, byłby w stanie mnie zamordować? Miałam pana za obrzydliwego, ale w gruncie rzeczy jest pan po prostu głupi.

– To rzecz powszechnie znana, Nino, że miłość ogłupia.

– Litości, niech pan wreszcie przestanie pleść o tej miłości, bo czuję, jak narasta we mnie chęć, żeby pana ukatrupić.

– Czy to możliwe? Ależ Nino, tak to właśnie się zaczyna.

– To, czyli co?

– Miłość. Czyżbym zdołał rozniecić w pani tę ekstazę? Jestem z siebie niewymownie dumny, Nino. Oto proszę, chęć zabójstwa mnie odstąpiła, a przeszła na panią. Czy jest pani świadoma, że dopiero teraz zaczyna pani żyć?

– Świadoma jestem tylko i wyłącznie głębi mojego rozjątrzenia..

– Na moich oczach dokonuje się rzecz niezwykła; wzorem ogółu śmiertelników uważałem reinkarnację za zjawisko dokonujące się *post mortem*. I oto ja, żywy człowiek, na własne oczy widzę, jak przeobraża się pani we mnie.

– Nigdy jeszcze nie usłyszałam równie obelżywej zniewagi.

– Intensywność pani rozdrażnienia potwierdza tylko, że zaczyna pani żyć, Nino. Odtąd już zawsze towarzyszyć będzie pani ten gniew, jaki mnie nigdy nie odstępował, będzie pani uczulona na hipokryzję, będzie eksplodować złorzeczeniami i ekstazą, będzie pani fantastyczna jak gniew; już nigdy niczego nie będzie się pani bała.

– Skończył pan już, nędzna kreaturo?

– Sama pani widzi, że miałem rację.

– Nieprawda! Nie jestem panem!

– Jeszcze niezupełnie, ale już wkrótce to nastąpi.

– Co pan chce przez to powiedzieć?

– Niedługo sama się pani dowie. To cudowne. Rzeczy, o których mówię, dokonują się na moich oczach, w miarę jak oblekam je w słowa. Jestem jasnowidzem terażniejszości, nie przyszłości – terażniejszości, czy pani to rozumie?

– Rozumiem tylko tyle, że postradał pan zmysły.

– To pani je ode mnie przejęła, tak jak przejmie również całą resztę. Ach, Nino, nigdy dotąd nie doświadczyłem podobnej ekstazy!

– Gdzie pan trzyma swoje proszki uspokajające?

– Nino, mam przed sobą całą wieczność spokoju, gdy mnie już pani zabije.

– Co pan wygaduje?

– Proszę mi nie przerywać. To, co mam pani do powiedzenia, jest ogromnie ważne. Czy to się pani podoba czy nie staje się pani moim drugim wcieleniem. Każdej metamorfozie mojego ja towarzyszyła osoba godna miłości; za pierwszym razem była to Léopoldine i to ja ją zabiłem; za drugim razem jest nią pani, i pani mnie zabije. Właściwa kolej rzeczy, prawda? Taki jestem szczęśliwy, że to właśnie pani; dzięki mnie jest pani o krok od odkrycia, czym jest miłość.

– Dzięki panu odkrywam, czym jest konsternacja.

– Widzi pani? To są pani własne słowa. Miłość zaczyna się od konsternacji.

– Przed chwilą pan mówił, że zaczyna się od żądzy morderstwa.

– Na jedno wychodzi. Proszę się wsłuchać w to, co w pani narasta; niech pani wczuje się w to bezbrzeżne zdumienie. Czy słyszała pani kiedykolwiek równie pięknie współbrzmiającą symfonię? To mechanizm zbyt doskonały i zbyt subtelny, by inni go dostrzegli. Czy dociera do pani ta zdumiewająca różnorodność instrumentów? Ich dysharmonia mogła zrodzić tylko kakofonię – a przecież, czy kiedykolwiek słyszała pani, Nino, coś piękniejszego? Nakładają się w pani dziesiątki różnych rytmów, czyniąc z pani czaszki katedrę, czyniąc z pani ciała pudło rezonansowe, nieokreślone i nieskończone, i wprawiają pani kruche ciało w trans, dając wytchnienie pani chrząstkom – oto coś nienazwanego obejmuje panią w posiadanie.

Milczenie. Dziennikarka odchyliła do tyłu głowę.

– Cięży pani głowa, prawda? Wiem, jak to jest. Nigdy się pani do tego nie przyzwyczai.

– Do czego?

– Do tego nienazwanego. I chociaż czaszka tak pani cięży, niech pani spróbuje podnieść głowę, Nino, i spojrz na mnie.

Uczyniła to z wysiłkiem.

– Przyzna pani, że mimo tych niewygód, sprawia to niezmierną rozkosz. Taki jestem szczęśliwy, że nareszcie pani zrozumiała. Teraz proszę sobie wyobrazić, czym była śmierć Léopoldine. Jeszcze niedawno moment umierania wydawał mi się nie do zniesienia, ponieważ pełzałem, w dwojakim tego słowa znaczeniu. Ale przejście od życia do śmierci w stanie takiej ekstazy to czysta formalność. Dlaczego? Dlatego że w podobnych chwilach człowiek sam nie wie, czy żyje, czy jest martwy. Nieścisłością byłoby stwierdzenie, że moja kuzynka umarła nie cierpiąc, czy nie zdając sobie sprawy z tego, że umiera, tak jak ci, którzy odchodzą we śnie: prawda jest taka, że umarła, nie umierając, gdyż już wówczas nie należała do świata żywych.

– Hola, mój panie – to, co pan właśnie powiedział, na odległość trąci taszowską retoryką.

– A czy to, co odczuwa pani teraz, to taszowską retoryka, Nino? Proszę spojrzeć na mnie czarujący, mały awatarze. Będzie się pani musiała jeszcze nauczyć pogardy dla logiki innych. A tym samym będzie się pani musiała nauczyć samotności – niech pani tego nie żałuje.

– Będzie mi pana brakowało.

– Jakie to miłe, że pani to powiedziała.

– Dobrze pan wie, że uprzejmość nie ma nic wspólnego z tą historią.

– Niech się pani nie lęka, zawsze przeżywając ekstazę, znów mnie pani spotka.

– A często będzie mi się to zdarzać?

– Prawdę mówiąc, nie zaznałem ekstazy już od sześćdziesięciu pięciu i pół lat, ale to, co odczuwam teraz, wykreśla ten utracony czas, tak jakby nigdy nie istniał. Będzie się pani również musiała nauczyć ignorować kalendarz.

– Obiecujące.

– Nie smuć się, mój drogi awatarze. Nie zapominaj, że cię Kocham. A miłość jest wieczna, dobrze o tym wiesz.

– Czy zdaje pan sobie sprawę, że podobne komunały w ustach laureata literackiej Nagrody Nobla nabierają szczególnego posmaku?

– Święte słowa. Kiedy osiągnęło się mój stopień wyrafinowania, nie sposób wypowiedzieć banału nie zniekształcając go, nie nadając mu akcentów najosobliwszego z paradoksów. Iluż to pisarzy wybrało tę karierę po to jedynie, by znaleźć się któregoś dnia poza zasięgiem całej tej gadaniny, w czymś w rodzaju *no man's landu*, gdzie słowo na zawsze zachowuje swą dziewiczość. Na tym właśnie być może polega Niepokalane Poczęcie: wypowiadać słowa na granicy złego smaku, samemu pozostając w cudownym stanie łaski, z dala od bitewnego zamętu, z dala od szyderczej wrzawy. Jestem ostatnią osobą na świecie, która może powiedzieć „kocham” i nie zabrzmie to nieprzyzwoicie. Miała pani wielkie szczęście.

– Szczęście? Raczej przekleństwo.

– Szczęście, Nino. Czy zdaje sobie pani sprawę, jak nudne byłoby pani życie, gdyby nie ja?

– Co pan może o tym wiedzieć?

– To przecież widać. Czyż sama nie nazwała się pani paskudną małą poszukiwaczką sensacji? Znużyłoby to panią na dłuższą metę. Wcześniej czy później trzeba przestać grzebać w gównie innych, trzeba stworzyć swoje własne gówno. Beze mnie nigdy by się pani na to nie zdobyła. O awatarze, odtąd będzie ci dany dostęp do boskich zamysłów twórców.

– W rzeczy samej czuję, jak dojrzewa we mnie pewien wprawiający mnie w konsternację zamysł.

– To normalne. Wątpliwość i strach to pochodne wszystkich wielkich inicjatyw. Pomału zrozumie pani, że taki niepokój też jest częścią rozkoszy. A pani potrzebuje rozkoszy, Nino, prawda? Widzę, że nauczyłem już panią i przekazałem wszystko. Od miłości poczynając: drogi awatarze, drzę na myśl, że gdyby nie ja, nie dowiedziałaby się pani nigdy, czym jest miłość. Kilka minut temu rozmawialiśmy o czasownikach ułomnych: czy wie pani, że słowo „kochać” jest najbardziej ułomnym ze wszystkich?

– O, to coś nowego.

– Odmienia się tylko w liczbie pojedynczej. Jego formy w liczbie mnogiej są zawsze tylko zakamuflowaną odmianą liczby pojedynczej.

– To zależy od punktu widzenia.

– Ależ nie; czyż nie dowiodłem już, że kiedy dwoje ludzi kocha się, jedno musi zniknąć, by przywrócić liczbę pojedynczą?

– Nie powie mi pan chyba, że zabił pan Léopoldine kierując się dążeniem do osiągnięcia swojego ideału gramatycznego?

– A co, uważa pani, że to błahy powód? Czy zna pani większy imperatyw od koniugacji? Wiedz, mój awatarze, że gdyby nie było koniugacji, nie mielibyśmy nawet świadomości bycia odrębnymi jednostkami; tym samym nasza wzniosła rozmowa byłaby niemożliwa.

– Dałby Bóg.

– Ejże, niech pani sobie nie psuje radości.

– Radości? Nie ma we mnie śladu radości, jedyne, co czuję to nieprzepartą chęć, by pana udusić.

– Niezbyt jesteś lotny, awatarze mojego serca. Już od dziesięciu minut z bezgraniczną otwartością robię wszystko, ażeby podjęła pani tę decyzję. Rozgniewałem panią, popchnąłem do ostateczności, by rozwiązać pani ostatnie skrupuły, a pani wciąż nie przechodzi do czynów. Na co czekasz, słodka moja miłości?

– Trudno mi uwierzyć, że pan tego naprawdę chce.

– Przysięgam.

– Poza tym brak mi wprawy.

– Tego się można nauczyć.

– Boję się.

– Tym lepiej.

– A gdybym tego nie zrobiła?

– Wówczas atmosfera stałaby się nie do zniesienia. Doszliśmy do punktu, w którym nie ma już pani wyboru. Ponadto stworzyła mi pani jedyną w swoim rodzaju szansę, by umrzeć w identyczny sposób, jak umarła Léopoldine; nareszcie dowiem się, co czuła. Do dzieła, awatarze, jestem gotowy.

Dziennikarka wykonała to bezbłędnie. Szybko i czysto. Klasyce nikt nie zarzuci braku stylu.

Kiedy było już po wszystkim, Nina wyłączyła magnetofon i usiadła na kanapie. Była całkowicie spokojna. Zaczęła mówić sama do siebie, ale nie dlatego, że postradała zmysły. Mówiła tak, jak się przemawia do bliskiego przyjaciela, z lekkim rozbawieniem:

– Nie udało ci się mnie przechytryć, kochany stary głupcze. Pana gadanie doprowadzało mnie do obłędu. Teraz czuję się znacznie lepiej. Muszę przyznać, że miał pan rację: duszenie to całkiem przyjemne zajęcie.

I awatar z podziwem popatrzył na własne dłonie.

Niezbadane są drogi, które prowadzą do Boga. Ale jeszcze bardziej niezbadane są te, które prowadzą do sukcesu. Wydarzenie to zapoczątkowało prawdziwy run na dzieła Préteikstata Tacha. Dziesięć lat później uchodził już za klasyka.